

# Kornel Makuszyński, Wyprawa pod psem

## WYPRAWA POD PSEM

### I. "Czy to pies, czy to bies?"

Zapowiadamy od razu ze zdyszczanym pośpiechem, że tytuł tej książki nie żywi złych zamiarów wobec psa. Kochamy to dobre stworzenie i jeśli nie jest zbyt obłocone albo nadziane pchłami, tulimy je do serca. Autor tej książki posiada wielu przyjaciół wśród psiego plemienia i gdyby można psa zapytać, co o nim mniema, każdy pies odpowiedziałby żywym machaniem ogona, co przełożone na nieudolną mowę ludzką oznacza pełnię życzliwego uznania. Być może, że jeden tylko wybitny przedstawiciel psiego rodu okazałby odrobinę nieukontentowania, a to z tego powodu, że mu raz dano kiełbasę owiniętą w gazetę z wierszami autora. Bliskie zetknięcie się z literaturą mogło go napełnić niesmakiem. Poza tym i autor, i każdy czytelnik z odrobiną rozsądku (bo i tacy się zdarzają...) jest gwałtownie przeciwny zwalaniu wszystkich trosk, niepowodzeń i codziennych dolegliwości na uczciwego psa. Jest to krzywda ponura i wyrządzona psu bez zastanowienia. Czy pies, chociażby najzłośliwszy, może mieć jakikolwiek wpływ na pogodę? Najwięksi uczeni przeczą temu. Ludzie Jednak powtarzają niegodnie: "Pogoda dzisiaj pod psem". Czy pies, chociażby najsprytniejszy, umie przyrządzić obiad? Jako żywo, nie! A ileż razy niezadowolony człowiek wykrzyka: "Ten obiad był pod psem!" Są to pretensje dziwaczne pozbawione krzty rozsądku, jeśli w zawiłe ludzkie sprawy wciągają psa żywego, złość ludzka sięga jednakże dalej i wszelkie winy zwała na psy martwe. Rozsierdzony człowiek powiada: "Spałem dzisiaj pod zdechłym psem". Człowiek zjadł na noc tłustą baraninę, a brak snu zwała na nieszczęsnego psa, który pożegnał świat.

Ani nam w myśli nie powstało, aby najmniejsze złe słowo powiedzieć o psim pokoleniu. Tytuł "Wyprawa pod psem" został użyty w honorowym dla psa znaczeniu. Oznacza on, że patronem i protektorem jakiejś wyprawy będzie pies. Tytuł ten wygląda jak kolorowa nazwa gospody: „Gospoda pod Królem Perskim” albo "Gospoda pod Modrym Fartuszkim".

Pies z tytułu tej książki będzie ważną osobistością, otoczoną szacunkiem autora. Będzie to niemal "pan pies". Może dlatego żaden pies nie zawyje nad tą książką, co by się jej mogło zdarzyć, gdyby była pozbawiona udziału tego kosmatego bohatera.

Uspokoiwszy sumienie tym oświadczeniem autor ma zaszczyt z życzliwym uśmiechem wprowadzić na scenę miłego czworonoga. Oto on: ma lat siedem, co jest dla psa wiekiem już mocno pochyłym; przedziwnie kudłaty, grubokościsty, czarny i dość niekształtnej budowy, nie odznacza się wybitną pięknnością. Gdy raz nocą Słowacki szedł z Odyńcem\*, ujrzeli czarnego psa przemykającego się w mrokach nocy. "Więc obadwa tak się zlekli, że w rów weszli i przyklękli". Jeden pytał drugiego: "Czy to pies, czy to bies?" Gdybym nie był pewny, że czarny pies z tej historii nie mógł wałęsać się w owych czasach, mógłbym mniemać, że to on właśnie zjeżył włosy na dwóch dostojnych poetyckich głowach. Nie widziałem psa bardziej podobnego do biesa niż ten nasz pies. Wprawdzie dotąd nie widziałem czarta na własne oczy, wedle jednak wiarogodnych opisów tych, co się z nim zetknęli, nasz nieś mógłby zrobić w piekle znakomitą karierę.

Nie jest rzeczą pewną, czy we wszystkich szczegółach przypominał diabła, zupełnie jednak nie ulega wątpliwości, że łajdackim sprytem przewyższał najsprytniejszego. Pod tym względem był fenomenem, nie zanotowanym dotąd w dziejach świata. Cygan-koniokrad, fałszerz monety, okpiświat na wielki kamień - wszyscy razem i każdy z osobna byli niewiniątkami wobec tego piekielnego psa. Zanim się znalazł na widowni i zanim można było śledzić jego dzieje, żył samotnie, na wolności, i żył własnym przemysłem. Trudno ustalić, skąd przybył. Dnia jednego wkroczył przez rogatki wolskie do stolicy - obłocony, sponiewierany i do widma podobny. Rozszarpane ucho i ledwie przyschnięta rana na łopatce świadczyły wymownie o jego sercu burzliwym i o niespokojności umysłu. Musiał stoczyć jakieś boje z chamską, lecz bitną gromadą wiejskich kundłów uprawiających politykę starożytnych Greków: wieczyste między sobą toczą waśnie, społem jednak walą się na wspólnego wroga, Persa. Takim Persem kudłatym musiał być nasz pies. Nie mogąc zdzierżyć licznym, srogim i bitnym oberwańcom wycofał się z cudzych łowieckich terenów i wkroczył do stolicy.

Pierwszy spotkany pies stołeczny, stary wyga, który wygrzebał na śmietniku potężną kość, spojrział nieufnie na przybysza i zdumiał: tak złodziejskiego spojrzenia nie widział jeszcze w swoim życiu. Przybysz oświadczył mruklawie, że należy się go wystrzegać, gdyż zauważył u siebie pierwsze oznaki wściekliwości, która nie sprzyja zbytnej poufałości i rozwojowi stosunków towarzyskich. W miejskiego Psa jak gdyby piorun trzasnął, przeto pozostawiwszy kość, uciekł tak szybko, że zdawało się, jakoby jego własny ogon mógł za nim o milę. Psi szatan pożywił się kością zdobytą w sposób niecny i

podstępny, godny szalbierza. Było to jednak mizerne dopiero preludium do całego szeregu cygaństw, szalbierstw, złodziejstw i jawnych rozbojów. Po niedługim czasie cały lewy brzeg Wisły grzmiał wieścią o przybyciu apokaliptycznego psa, co morduje i kradnie, posiada serce z lodu, a żołądek jak bezdenny worek. Widziano go wszędzie, gdy się przemykał nocą jak czarna zjawą, duch kudłaty, ślepiami krwawo błyskający. Jeden zatrwożony pies podawał drugiemu ostrzegawcze hasło: "Czarny się zbliża! Ratujcie się, psy poczciwe!" Rzezimieszek słyszał te głosy i szczyrzył wilcze zęby w uśmiechu. Sam nigdy nie wydawał głosu, lecz krążył w czarnym milczeniu. Wiedział o każdej psiej budzie i zjawiał się coraz to przy innej, zabierając jadło struchlałemu jej mieszkańcowi. Zdarzało się, że jakiś odważny kundel usiłował protestować przeciwko zbójczej napaści; wtedy koszmarny pies padał na niego jak piorun, a noc przymykała gwiaździste oczy nie chcąc patrzeć na morderstwo.

We dnie zniknął, najsprytniejszy zaś pies nie mógł dojść, gdzie się ten opryszek podziewał. Znał nie wytropione kryjówki i zatajone legowiska. Była to ostrożność złoczyńcy, który wiedział, że zrozpaczone, uczciwie prowadzące się psy zbiorą się kiedyś w gromadę i zakatrupią go w biały dzień. Czarna noc była jego czarnym sprzymierzeńcem; w smolistym mroku nie można było dostrzec nieforemnej jego sylwetki, zbliżał się zaś zawsze pod wiatr. Krążył po rozległych przedmieściach, wśród gmatwaniny uliczek, skąd było wiele wyjść, wśród pochyłych parkanów, które można było przesadzić wspaniałym skokiem, wśród ogrodów krzakami zarosłych. Gdy znieruchomiał w ciemności, sam był podobny do dziwnego krza, na którym zazieleniły się dwa osobliwe owoce: dwoje zielonych, złodziejskich oczów. Patrzył pilnie, czy gdzie nie widać człowieka. Widział setki psów na łańcuchu i wiedział o tym, że psy nie założyły go sobie same na szyję. Nieprzytomnie zuchwał, drżał na myśl o psiej budzie, dlatego usłyszawszy głos ludzki stawał nieruchomy, udając, że jest czarnym strzępem zgęstniałego, wilgotnego mroku. Czynił to tym skwapliwiej, że za ludzkiej pamięci żaden pies z najgorszą reputacją nie pomordował tylu niewinnych kur i kaczek. Posiadał przebiegłość lisa i znajdował nieprawdopodobne drogi do kurników, na poważne zaś i ciągłą rozmową zajęte kaczki polował na wąskich ścieżkach, którymi wracały o zmroku z bajorka. Wiedział o tym dobrze, że mu sto razy obiecano śmierć gwałtowną i bolesną. Przewornie przeto zmieniał miejsce pobytu i nigdy nie kradł dwa razy w tym samym miejscu, aby nie pozwolić zapamiętać się ludzkiej zemście. Okrążał miasto wielkim półkolem od brzegu do brzegu rzeki. Uczciwe psy wiedziały doskonale o tym ohydny procederze i serca drgały w nich z nienawiści, tym bardziej że niejednen z nich został pomówiony o skrytobójcze morderstwo. Tłumaczyły skomleniem i wyciem, kto jest opryskiem, nadaremnie zdzierając sobie jedynie wdzięczne barytony, człowiek bowiem znajduje się jeszcze na tak niskim stopniu rozwoju, że nie rozumie wyraźnej przecie i dobitnej psiej mowy.

Zdawać się mogło, że pies-widmo rozumie doskonale mowę człowieka. Zanurzony w lepkim, gęstym jak bagno mroku nasłuchiwał czasem pilnie ludzkich głosów. Gdy jeden człowiek oznajmiał drugiemu, że tej nocy będzie stał na straży ze strzelbą, pies-widmo przypadał do ziemi, czołgał się bezszelestnie przez dziurę pod parkanem i odchodził pogardliwie uśmiechnięty. Złym wojownikiem jest człowiek, który wykrzykuje swoje zamiary. Milczenie psa-upióra było rozsądniej sze. Nikt nigdy nie słyszał jego głosu. Wiedząc o jego diabelskiej przewrotności i niewysłowionym sprycie można by przypuścić, że opryszek ten nie przemówił dotąd ludzkim głosem jedynie z przeczornej ostrożności. Czarni ludzie opowiadają o małpach, że są to też ludzie, którzy dlatego tylko udają małpy, żeby nie pracować. Nie można by udowodnić ponad wszelką wątpliwość, czy pies tej miary co ten złoczyńca - wielki i wcale nie mały - nie zataił na wszelki wypadek swoich nadzwyczajnych zdolności. Sądząc po jego postępach pies ten był więcej niż psem.

Światem rządzi sprawiedliwość. Nieprawość musi się kiedyś skończyć. Prawdy te wszystkim wiadome nie dotarły do tego twardego serca. Przeznaczenie jednak, spokojne, wytrwałe i powolne, dojrzało psawisielca swoim mądrym, wielkim, wolim okiem. Pozwoliło burzyć się jego zuchwałości i pęcznić jego dumie. Przeznaczenie przywiodło go jednej nocy, zmoczonej jak płachta zanurzona w wodzie, na brzeg Wisły. Pies przystanął i spojrzął pożądliwym wzrokiem: za wodą spało jakieś inne miasto, szerokie i rozległe. Z oddali słychać było naszczekiwanie spokojne i stateczne. Były to beznamienne głosy obowiązkowe - ut aliquid fecisse videatur. Na terenach, na których on dotąd buszował, psie głosy były podrażnione, drgające gniewem i poczuciem krzywdy; te, za wodą, ociekały miękkim tłuszczem dosytu i poczuciem ospałego bezpieczeństwa. Pies-widmo poczuł w czarnym osierdzu nagłą żądzę zmańczenia tych marnych naszczekiwań w burzę gniewu i wydobycia z nich wysokich, rozedrganych boleśnie skowytów rozpaczy. Gdzieś daleko oznajmiły się wprawdzie podniecone głosy psiej zwady, może nawet walki, lecz tak nikłe i tak haniebnie ochryple, jak gdyby dwa stare kundele walczyły nie o życie lub o psi honor, lecz jak gdyby posprzeczały się o ilość pcheł w ogonie. Diabelska złośliwość popchnęła go ku żelaznemu mostowi. Obejrzał się pilnie, skurczył się i skulił, puszysty, wilczy ogon wparł między nogi i zaczął posuwać się chyłkiem. Dokoła było pusto i ciemno. Zimny wiatr smagał rozłtamszoną i pochlipującą jak gdyby w cichym płaczu wodę. Pies-widmo zaczął biec szybciej poczuwszy pod nogami niepokojące drgania. Żelaznym mostem wstrząsnął dreszcz, jak gdyby go nagła chwyciła febra. Jakieś głucho, stłumione głosy dudniły na ciemnej drodze. Zbliża się chyba jakiś potworny, straszliwy pies i oznajmia się przejmującym bełkotem pomruków, gniewnych i niecierpliwych. Pies-widmo zjeżył sierść i bezszelestnym a okropnym susem skoczył w ciemność. Już był po drugiej stronie szerokiej wody, u

wylotu zdradliwego, dreszczami wstrząsanego mostu. Jeszcze dwa skoki, jeszcze tylko jeden... Wtedy straszliwość jakaś zwalista i burzę przed sobą pędząca wypadła z czarnego pyska ciemności. Zaświstał nagły wicher, sto głosów żelaznych i łańcuchami szczękających potargało noc na strzępy. Pędząca nieprzytomnym biegiem straszliwość dotknęła psa czymś twardym i rzuciła go ze swej drogi takim okropnym rozmachem, że odleciał daleko, ciężko, jak kamień. Potoczył się z wysokiego nasypu i legł nieruchomy, śmiertelnie zdumiony i przerażony śmiertelnie.

Leżał bezwładny, jak gdyby zagrzebany w ziemi. Od rzeki przyleciał wiatr, obwąchał go i odleciał. Pies-opryszek otworzył ostrożnie oczy i spojrzał zielonym zezem na obie strony, jak gdyby chciał dostrzec tego, który go zabije. Nikt jednak nie przychodził.

Pies usiłował poruszyć się; podniósł się z największym trudem, w tej samej jednak chwili opadł ciężko, wydawszy cichy skowyt.

Miał złamaną tylną nogę, którą zaczął szarpać jakiś niewidzialny pies ostrymi zębami: dokuczliwy ból. Trwało to długo, bo noc zaczęła rzednąć, a na wodzie się rozwidniło. Pies dojrzał ją zalany krwią spojrzeniem, mętnym i mglistym, i poczuł rozpaczliwe pragnienie. Trzeba doczołgać się do wody. Zebrał wszystkie konające siły i począł się wlec ze śmiertelnym wysiłkiem; włókł za sobą ogromny, piekący jak ogień ciężar bólu. Była to najdłuższa droga, jaką odbył w niesławnym swoim życiu. Przystawał wciąż i znowu rozpoczynał wędrówkę. Szkarłatny strzęp języka zwisał mu z pyska, w gardle miał przeraźliwą suchość. Nie to jednak było najgorsze. Ranny w wielu bojach, umiał znieść ból, który jak gotujący się ukrop bulgotał w nim nieustannie, o szaleństwo jednak przyprawiały go diabelskie harce. Otoczyła go niepoliczona gromada psów, wijących się dokoła niego jak skłębione pijawki; to było najdziwniejsze, że żaden z nich nie wydał głosu; naigrawając się z jego hańbiącej niemocy, tańczyły przed nim, ujadały bezgłośnie, patrzyły mu w ślepią drwiąco i bezwstydnie. Warknął i wy szczyrzy! zęby, a kiedy tuż przed oczami ujrzał roześmiany psi pysk, chwycił go zębami. Było w tym jednak coś niepojętego: schwycił jedynie powietrze. Urażały mu psie zmyły, napastliwe widma. Ogarnął go zimny, wilgotny strach. Wróg odziany w mięso i kudłatą okryty skórą nie jest straszny; wróg bez ciała jest wrogiem przeraźliwym, bo niepojętym. Strach przytłumił w nim ból i zaczął go gnać ku szemrzącej opodal wodzie.

Dotarł do niej, kiedy już jasny dzień porozwieszał na niebie swoje farbkiwane płótna. Wczołgał się w nadbrzeżny muł, ryjąc w nim głębokie ślady. Psie zmyły rozwiały się, strach przepadł. Ostatnim wysiłkiem rozpląszczył się nad samą wodą i zaczął ją chleptać z rozpaczliwą zajadłością. Zalewał nią rozpalone ognisko, gorejące w nim żywym ogniem, lecz był to trud daremny. Będzie musiał wypić całą wielką rzekę. Pił i pił, odpoczywał i pił znowu. W tej chwili wszystko się w nim przyczaiło, nawet ból, gdyż usłyszał ludzkie głosy. Szarpnął się, chcąc uciec, nie mógł jednak udźwignąć łożnianego ciężaru własnej zdrętwiałej nogi. Złodziejskim, wszystko widzącym spojrzeniem ogarnął okolicę i serce w nim zamarło: leżał na otwartej przestrzeni, na której każdy widać było kamień, na piaszczystym, niskim brzegu, co tak jak on plackiem czołgał się ku wodzie. Jedynym ocaleniem była woda. Zdarzało mu się już nieraz płynąć przez stawek lub strumień, miał wtedy jednak do rozporządzenia cztery mocne łapy, zdrową zuchwałość, a niewielką odległość do przebycia. W tej chwili jest niezdarnym połamańcem, rzeka zaś jest szersza ponad psie pojęcie. Śmierć była za nim, przed nim, ponad nim i wszędzie. Chociaż głosy ludzkie oddaliły się, zjawiają się jacyś nowi ludzie, zapewne wszyscy ci, którzy mu obiecali sumiennie, że go przy pierwszej sposobności obwieszają na suchej gałęzi. O innych nic nie wiedział i nie przypuszczał, że są na świecie. Trudno. Trzeba będzie zapłacić ryczałtem za wszystko, co gdakało lub kwakało, a potem nagle umilkło. Jest to naturalny porządek rzeczy. Nosił pies, nosił, poniosą i psa. Nie warto przydawać sobie cierpień i uciekać, tym bardziej że nie ma dokąd. Trzeba leżeć nad wodą, czekać śmierci i zakończyć wolny psi żywot z całkowitym spokojem. Przecie nic innego nie uczynił ponad to, co mu kazała czynić jego natura. Ludzie, którzy przyjdą go osądzić, nie pojmą tego oczywiście, mają bowiem na te sprawy pogląd dziwaczny. Rozmyślał o tym z przedziwną roztropnością, wyostrzoną przez jadowity ból, który, znowu obudzony, zaczął go szarpać z tą uporczywą zajadłością, z jaką on szarpać zwykł zamordowaną kurę. Na domiar złego wypatrzyło go słońce i poczęło go piec żywym ogniem; blask, co się łuszczył na wodzie, raził jego oczy napełnione łzami. Wszystko, co żyło, było przeciwko niemu. Taki to już psi los. Rozpacz i nęda.

Ktoś się zbliża. I chociaż wielki rozum nakazał mu całkowitą obojętność, jednak serce w nim drgnęło. Ponieważ nie miał żadnego przyjaciela, jasnym jest, że idzie ku niemu wróg, ciężki i zawzięty; zjeżyła się wojownicza psia natura i wydała głuchy pomruk gniewu. Głos ten, napęczniały krwią, wystarczy, jeśli wróg jest nikczemny i małego ducha. Był to jednak ktoś nieustępliwy i hardy, którego głos nie przeraża, zbliżał się bowiem uparcie. Z takim trzeba inaczej. Pies obnażył białe kły, zafarbował spojrzenie krwawym połyskiem i uniósłszy głowę czekał w milczeniu. Zbliżała się ku niemu niepozorna postać, chłopczyzna, co pogwizdując szedł brzegiem rzeki. Zadarł śmieszny, płowy łeb i patrzył na gołębie, co wytrysnąwszy na Starym Mieście jak fontanna z czerwonego dachu, rozpryskiwały się na niebie jak srebrzyste, białe plamy. Była właśnie niedziela, a staromiejskie gołębie w niedziele i święta

najpiękniejsze odprawiają parady. W pewnej chwili chłopiec usłyszał cichy, szorstki, jakby zjeżony pomruk. Mało kto byłby złowił ten dziwny i ledwie słyszalny głos, chłopak jednakże, uczeń, sądząc z obleczenia, miał niebywale wyrobione ucho, zdolne do usłyszenia najcichszego szeptu przy podpowiadaniu w szkole. Mądra przyroda długo zastanawia się czasem, komu dać lepszy słuch, czy muzykowi, czy uczniakowi, obaj bowiem bez wybornego słuchu nie mogą zajść daleko.

Chłopiec spojrzał i krzyknął:

- Ależ to pies!

Znakomitemu temu spostrzeżeniu nie można było odmówić słuszności; wszystkie widoczne oznaki przemawiały na jego korzyść.

Zbliżył się odważnie do nieszczęsnego opryszka i pochylił się nad nim; w nim zaś odbywały się sprawy burzliwe i przeraźliwe. Wiedział dobrze, że nawet w tej mizerii znajdzie jeszcze dość sił, aby zmiażdżyć w zębach wyciągniętą ku niemu chudą, chłopięcą rękę. Nie była ona jednak wydłużona ani w sękaty kij, ani w połyskującą, pustymi oczami urągliwie patrzącą strzelbę. W głosie małego człowieka nie było ani gniewu, ani groźby; było to szczekanie raczej radosne i podbite miękkim futrem przyjaźni. Nie należy przypuszczać, aby ta dość mizerna istota pragnęła zabić.

Nie spotkali się nigdy i nie mieli z sobą porachunków. Ludzka istota nie mogła mieć powodów do zemsty, jakież jednak mogła mieć powody do okazywania mu przyjaźni? Człowiek jest jednak stworzeniem niepoczytalnym, kapryśnym, nierozsądnym i zdolnym do wszystkiego. Mądrego i twardo myślącego psa postępkami człowieka niepomiernie czasem dziwiły. Co zamyśla ten mały człowiek? Pies-opryszek spojrzał rozkrwawionym spojrzeniem w jego oczy, bystrze i głęboko. Ze wzroku można odczytać wszystko. Człowiek miał spojrzenie jasne i niezmacone. Podobne było do jasności wody i do bladej barwy nieba. Nie było w nim czarność gniewu i śmierci.

Nagle pies drgnął przeraźliwym drgnieniem: przez całe jego odrętwiałe ciało przebiegł spazmatyczny kurcz, gdyż chłopiec położył dłoń na jego głowie, pełnej burzliwych myśli, bólu, ognia, zjadliwych cierni i szumu. Była to pierwsza ręka ludzka, która dotknęła tej szalonej głowy. Psie ciało sprężyło się, szczęki zacisnęły się jak w paroksyzmie, serce zatrzymało się na jeden moment. Czy to śmierć? Czy człowiek zabił go dotknięciem? Nie. Dzieje się coś dziwnego. Pies-złoczyńca czuje, że chłopiec dotknięciem swej ręki zagasił czarodziejsko ogień w jego łbie i wyjął z jego wnętrza ciernie. Zanim zdał sobie z tego sprawę wielkim rozumem, poczuł błogość w sercu: kojącą błogość, i wydał jęk, głęboki, niski, niemal ludzki jęk. Wtedy mały człowiek zaczął mówić szybko miękkim, dobrym, łagodnym głosem, gładząc jego grzbiet delikatnie i ostrożnie. Potem krzyknął ujrawszy złamaną nogę. Ułożył ją troskliwie i znowu zaczął mówić. Czarny zbójca wodził za nim spojrzeniem, w którym było tyleż bólu, co zdumienia. Co teraz będzie, co się jeszcze stanie? Chyba już nic wspanialszego i bardziej rozkosznego niż to dotknięcie kosmatego łba. Stało się jednak coś, czego psie serce nie miało już nigdy zapomnieć: chłopiec objął ręką jego szyję i uniósłszy łeb przytulił go do swej piersi. Dzikie serce zalała błogość tak niezmierna jak cały świat, większa niż ta szeroka woda, większa niż piekący ból. Ból stał się mizerną sprawą. Najważniejszą jest to, aby ten mały człowiek zrozumiał, że pies nie uczyni mu krzywdy, że nie zmiażdży ręki i nie rozszarpie piersi. Pies mówi o tym szybkim, gorącym pomrukiem, ale człowiek, istota niedoskonała, zapewne tego nie rozumie; należy mu dać znak oczywisty, we wszystkich psich pokoleniach od tysiąca wieków znany i używany: ostrożnie, jakby nieśmiało, wysunął język i dotknął nim chłopięcej twarzy. Wtedy chłopiec silniej go przytulił i zabrał jego psią duszę, zdobywszy ją na zawsze. Gdyby był rozkazał w tej chwili, aby dziki pies skoczył w wodę, pies uczyniłby to śmiertelnym, ostatnim wysiłkiem.

Zaniesiony do domu i długo leczony rozmyślał głęboko nad sprawami tego świata. Nie było w ogóle żadnego świata, tylko ten chłopak, który z nim rozmawiał. Reszta: ziemia cała i wszystko na niej, ludzie i zwierzęta, były mizernym dodatkiem do tego króla, który był tak wspaniałomyślny, że gładził jego łeb. Gdy mówił, pies odpowiadał mu głosem podobnym do łkania. Gdy milczał, pies wpatrywał się w jego oczy i widział wszystko, co się w nich odbija. Gdy odchodził, pies zapadał w czarną otchłań smutku; gdy powracał, w psa powracało życie. Rozumiał każde jego słowo, każdy ruch i każde spojrzenie. Nikt nie czynił niczego złego jego promienistemu panu, lecz gdyby usiłował uczynić, stałoby się coś strasznego. Jego wielki, wspaniały pan raczył go nazwać: "Apasz". Zważywszy, że plemię Apaczów, vulgo\* Apaszów, miało odwieczną sławę największych opryszków na prerii i zdjęło więcej skalpów, niżli Wielki Duch-Manitou\* zapalał co nocy gwiazd na niebie, nazwa to była wybornie dobrana. Pies Apasz nie zwrócił nigdy uwagi na krwawą groźbę tego imienia; dla niego było ono najśodsza pieśczętą, chłodnym powiewem wiatru w dzień upalny i ciepłym oddechem wiosny w dniu sinym od chłodu. Zawołanie: "Apasz!" - byłoby go zbudziło ze śmiertelnego snu, gdyby je zakrzyknął On, wielki i wspaniały człowiek, co samym dotknięciem sprawia, że srogie serce napęlnia się błogością. Zdarzało

się, że na widok Apasza zakrzyknął niejeden:

- Czy to pies, czy to bies?

Wtedy chłopiec odpowiadał:

- To nie jest ani pies, ani bies. To jest mój brat, a zowie się Apasz.

## II. Trzej muszkieterowie

Wedle powszechnego mniemania liczba "trzy" jest liczbą bardzo szczęśliwą. Przeczył temu jeden melancholik, który dwa razy skakał przez rów i dopiero za trzecim razem złamał nogę. Pocieszono go wprawdzie tym, że mógł złamać obie, zwątpienie jego jednakże o szczęśliwości tej liczby zostało na zawsze utwierdzone. Kilka dni mrocznych nie gasi pogody lata; dobra sława trójki jest ustalona. Tresfaciunt collegium, co dowodzi, że zespół trzech rozumów rozporządza pełną mądrością. Nie zdoła obalić tej zasady nazywanie niemądrej gadaniny bredzeniem "trzy po trzy". Określenie to bardziej oczernia dziewiątkę złożoną z "trzech po trzy" niż świetną trójkę. W zespole trzech jednostek tkwi idealna harmonia zamkniętego trójkąta, najmniej złożonej figury geometrycznej. Jakkolwiek go obrócić, wszędzie będzie wierzchołek. W zespole trzech ludzi każdy jest swoim wierzchołkiem. W razie trudnego do pomyślenia zmagania wśród nich harmonii trzeci zawsze pogodzi dwóch, dwóch przekona jednego; nawet dwa rozumy mogą się mylić albo też jeden tchórzliwie ulegnie drugiemu; w zespole trzech zawsze ten trzeci będzie krytykiem, sędzią, rozjemcą, języczkiem u wagi. Dwóch myśli i rozważa, trzeci rozstrzyga. Moment szczęścia, lubiącego wyraźnie wszelką tristość, jest też sprawą nie do pogardzenia.

Wiele okazali rozsądku trzej wyborni młodzieńcy warszawskiego gimnazjum połączywszy trzy serca i trzy dusze w jeden zespół. Złączył ich przypadek, najpomysłowszy autor najpiękniejszych komedii życia. Zebrał ich razem w jednej szkole, w jednej klasie i, co najśmieszniejsze, dał im wszystkim imiona zaczynające się od litery Z. Zwał się jeden: Zdzisław, Zenobi - drugi, a trzeci był Zbyszkiem. Nie to jednak dało początek słynnemu "związki trzech"; złożyło się tak zabawnie, że jeden miał w usposobieniu to, czego brakowało drugiemu i trzeciemu, i dopiero gdy złożyli do wspólnej skarbonki wszystkie swoje cnoty, upodobania i wady, powstał z tego stwór osobliwy i niemal bliski doskonałości. Młodzian, z którego wypędzono diabła przy chrzcie świętym, wołając: "Bądź dobrym chrześcijaninem, Zdzisławie!" - była to figura zażywna, krępa, silna i wesoła. Miał, jak i jego przyjaciele, lat szesnaście, a radosną pogodę na gębie rumianej jak jesienne jabłko miał też od lat szesnastu. Był to nadzwyczajny magik, który umiał trzymać uśmiech na twarzy nawet w okolicznościach tak bardzo nie sprzyjających jak okostne zapalenie zęba. Wszelkie troski odpędzał od radosnej głowy tym niedbałym ruchem, którym odpędza się muchy. Oczy miał bystre i posiadające przedziwną właściwość świecenia w ciemności. Nie bardzo świeciły, ale świeciły. Umysł posiadał tak ostry, że można by go używać do rozcinania kart książki, gdyby go Zdzisław nie umiał lepiej używać, używał go bowiem świetnie. Nie było w całej szkole uczniaka, który by przeczytał więcej i roztropniej. Gromadził zapasy mądrości jak pilna pszczoła miody. Chłonał w siebie wszystko, zachłanny jak gąbka, łatwo i z tą radością, która sprawia, że wszystko zawile staje się nagle jasne, a każdy trud traci swój kamienny ciężar. Wobec takich cnót, szeroko znanych i głośno uznawanych, promienista lekkość ducha nie pozwalała zwracać uwagi na niejaką ociężałość ciała. Zdarzało się, że najwięksi filozofowie, ludzie wzniosłego umysłu, nie gardzili smakowitym jadem i pożerali nadmierne jego ilości, chytrze rozumując, że wdzięczna ludzkość złoży tę przywarę na karb roztargnienia, właściwego ludziom szukającym drogi do nieśmiertelności. Któż bowiem, szukając istoty wszechrzeczcy, może zwracać uwagę na ilość zjadanej baraniny? Zdzisław nie był wprawdzie umysłem aż tak górnym, ale w swojej szkole był figurą ważną, wielkie przeto miał przywileje, chętnie mu przyznane przez szkolną społeczność. Nie da się przeto ukryć, że zawsze głodny duchem, pozwalał i mocnemu swojemu, ponad miarę rozrośniętemu ciału podobną okazywać łapczywość. Powiadał na swoją obronę, że otrzymał rozgrzeszenie od wielkiej poezji. Czy Szekspir był mędrce? Był nim niewątpliwie. A cóż mówi jego Juliusz Cezar do Antoniusza? Mówi tak:

Otocz mnie ludźmi poszytymi w ciało,  
Którym się świecą policzki i którzy  
W nocy śpiją. Ten Kasjusz wygląda  
Chudo i głodno.

Przepis ten wypełniał Zdzisław tym ściślej, że umiał spać niezamordowanie i z przedziwną wytrwałością. Bełkot grzmotów i huk piorunów nie czyniły na nim wrażenia. Nagłe zawalenie się domu, być może, wywołałoby sennie mruknięcie. Zdawało się, że mądra jego dusza wychodziła z ciała, lecz nie pozostawała w kraju ojczystym, ale korzystając z wolności, odlatywała na jakieś dalekie wyspy na krańcu świata, okazując taką samą skłonność do włóczęgi jak i jej pan. Nie można jej było przywołać z

powrotem zwyczajnym i pospolicie używanym sposobem, jak głośne okrzyki lub tarmoszenie sennego ciała. W domu Zdzisława dwa wymyślono sposoby skuteczne: zatwardziały śpioch zrywał się z posłania, skoro go połaskotano w podeszwę bosej nogi, co też czasem zawiodło, lub podsunięciem mu pod nos wybornie pachnącego śniadania, co nie zawiodło nigdy. Obudziwszy się, od razu stawał się rześki i przytomny. Dzień, nawet mroczny i deszczem zlany, tak mokry, że go można było wyjąć jak ręcznik po kąpieli, witał głośnym śmiechem. Była to roztropna metoda; rycerz wdziękował od samego świtu pancierz ochronny przeciwko strzałom smutku. Smutki bały się tego radosnego chłopca jak czarne kury jastrzębia, co pływa na wysokościach. Wielce odcytany, wybrał sobie z mądrych maksym jedną, która mu się wydała najmędrszą, maksymę Chamforta, co z dojrzałego owocu doświadczeń wycisnął złocistą patokę mądrości:

"Stracony jest każdy dzień bez uśmiechu!"

Zdzisław nie stracił dotąd żadnego dnia. Miał w sobie tyle ciepła, że w jego domu palono w piecu jedynie z przyzwyczajenia, a tyle się za nim wlokło jasności, że blask padał na wszystko, a na ludzkie twarze przede wszystkim. Wyczuwał smutek lub utrapienie samym węchem,

jak ogar zająca, i gonił go w tejże chwili. Wiedział dobrze, jak ciężkie życie ma jego matka, wdowa po dramatycznym autorze; więc polował na jej zgryzoty i troski jak myśliwy na drapieżne stworzenie. Napełniał jej życie niewypowiedzianą czułością i rzucał jej pod nogi radosny śmiech jak kwiaty. Porwał czasem przedobrą matkę w ramiona i silny jak młody niedźwiadek, obnosił ją po domu wydając okrzyki albo całując jej oczy, w których ujrzał szary popiół umartwienia. Nie było tedy dwóch większych przyjaciół na bożym świecie niż ta srebrna już pani i jej synalek, radosne wydający ryki. I nie było dwojga większych oszustów. Gdy się zdarzył dzień głodny, matka udawała, że jest niedomagająca i całkowicie pozbawiona apetytu, aby syn mógł zjeść do syta, syn zaś łągał w żywe, dobre oczy, że najadł się u przyjaciela, i oświadczywszy, że sam widok jedzenia napełnia go niesmakiem, karmił matkę nieledwie przemocą, rycząc ze śmiechu. Jedno za drugie byłoby skoczyło w ogień.

Zdzisław był historycznym założycielem "związku trzech". Z rozkrzyczanej gromady uczniów wyłowił serdecznym spojrzeniem młodzieńca noszącego dość rzadkie imię: Zenobi. Imię to było utrapieniem jego właściciela. "Zdarłby je, gdyby je miał napisane", jak powiada Szekspir, o czym zresztą w całej szkole wiedział tylko nauczyciel literatury i naszpikowany cytatami Zdzisław Roześmiany.

- Nie martw się - pocieszał przyjaciela. - Gorzej by było, gdyby cię byli nazwali Arystydes, Atenogenes albo Pankracy. Zenobi jest imieniem dźwięcznym i nie można sobie na nim złamać zęba jak na tamtych. Zresztą to mi przypomina, że wybitni mężowie nosili to imię.

- Któż taki na przykład?

- Na przykład Chmielnicki.

- Nie łąż! Chmielnicki był Bohdan.

- Na pierwsze, ale na drugie było mu Zenobi.

- Mała pociecha.

- Lepsza taka niż żadna. Skąd wiesz, czy ty nie wsławisz tego imienia? Był to argument miły i naprawdę przyjacielski, Zenobi bowiem miał nadzwyczajne aspiracje artystyczne. Byłoby przesadą twierdzenie, że sztuka jego należała do rzędu sztuk wzniosłych i wpatrzonych w nieśmiertelność, była bowiem raczej sztuką magiczną. Nikt chyba w ostatnim okresie dziejów nie umiał świetniej i ze znakomitszą zręcznością udawać rozmaitych głosów, jak właśnie Zenobi: ryku automobilowej, rozdzierającym wrzaskiem płaczącej trąby, zniecierpliwionego syku wody wypuszczanej z wodociągu, buczenia okrętowej syreny, za czym: szczekania psa, miauczenia kota i rechotania zadowolonego wieprza. Nie sposób wyliczyć wszystkich tych głosów, którymi gada boża ziemia. Zenobi miał w gardle całą filharmonię, wyższą szkołę muzyczną, wszystkie orkiestry. Gdy był w ogrodzie zoologicznym, przyprawiał miłe zwierzęta o małe szaleństwo; bocian dostawał drgawek, usłyszawszy tuż nad sobą kumkanie żaby, a osioł toczył nieprzytomnym wzrokiem, słysząc zadzierzysty i pełen niewymownej rozpaczli bratni głos niewidzialnej oślicy. Ponieważ od oślego ryku niedaleko do bolesnego wycia złego aparatu radiowego, Zenobi umiał naśladować go z niezrównanym mistrzostwem. Należy przyznać, że te wspaniałe i bujne talenty nie przywiodły go bynajmniej do manii wielkości. Był chłopcem skromnym, pracowitym i serdecznie uczynnym. Odznaczał się umysłem ścisłym i trzymał na uwierzy poetyckie usposobienie przyjaciela Zdzisława, wydęte fantazją i polotem. W szkole słynął jako dobry matematyk,

choć sławę matematyczną usunął w cień rozgłos magika, co równocześnie udaje głos trąby i sapanie lokomotywy. Zenobi był synem konduktora kolejowego, siwego człowieka, tak doskonałego służbisty i wdrożonego w swoje obowiązki, że gdy mu syn przyniósł jednego razu ze szkoły świadectwo, stary pocziwiec spojrzął, szybko je odczytał, potem wydobywszy konduktorski stalowy przyrząd, przedziurawił je w dwóch miejscach. Syn wcale się temu nie dziwił, umysł ściśle bowiem nie dziwią się nigdy i niczemu.

Rano Zenobi szedł do szkoły, a ojciec na dworzec. Rozmawiali przy tej sposobności treściwie i rzeczowo:

- Kraków? - pytał syn.
- Tak. Siódma trzydzieści.
- Powrót?
- Niedziela. Dwudziesta druga siedem. Osobowy, przyśpieszony.
- Szczęśliwej podróży! - mówił syn.
- Gotowe! - odpowiadał ojciec.

Dom ich był spokojną stacją z bufetem trzeciej klasy, a zawiadowcą stacji była matka, pracowita kobiecina, gadająca z nawyku kolejowym językiem.

- Nie spóźnij się, Zenobi, wieczerza dzisiaj o dwudziestej trzydzieści. Zenobi nigdy nie mógł dojść, skąd tym prostym ludziom przyszło do głowy jego imię. Bardzo niedawno dowiedział się, że imieniem tym zachwycał się jego ojciec, znalazłszy, przed urodzeniem się syna, pozostawiony w przedziale wagonu romans pod tytułem "Zenobi, czyli książę-żebrak". Wszystko, co było w tym domu, pochodziło z kolei. Może dlatego Zenobi tak niezrównanie udawał lokomotywę, a rozum miał tak uporządkowany jak rozkład jazdy. Ze Zdzisławem zawarł przyjaźń wielką i uczciwą; dopasowali się do siebie jak sukno i podszewka, jak melodia z wtórem, jak rym z rymem. Spółka ta wyobrażała potęgę na wojowniczym terenie klasy, odzywała się też czasem głosem donośnym, ile razy pokłócone greckie szczepy groziły sobie podbiciem oka lub uszkodzeniem trzonowego zęba. Radosna pogoda Zdzisława i miłująca harmonię dusza Zenobiego nie mogły ścierpieć kwasów, mętów, intrygi i waśni. Z pobłażaniem i wyrozumiałością patrzyli obaj na sprawiedliwą i honorową walkę, gdy wszystkie sposoby pokojowego zakończenia zatargu zostały przez szkolną dyplomację wyczerpane. Ostatecznie człowiek posiada trzydzieści dwa zęby, liczbę wcale pokaźną, a guz na zapalczym łbie wrzącego Achillesa jest sprawą przemijającą, o ile uderzenie nie było zbyt gwałtowne i nie zatrzęsło treścią głowy. Wobec znanej twardości czaszki nie było o to zbyt wielkiej obawy. Najwięksi i doświadczeni wojownicy zawsze, odruchowo, strzegli raczej brzucha, nigdy prawie głowy. I Zdzisław, i Zenobi nie lubili rozpraw orężnych i nigdy nie wdawali się sami w zatargi. Najspokojniejsze jednak narody tumult powszechny wciąga czasem w wojnę.

Zdarzyło się tak i z nimi.

W trzeciej ławce, licząc od okna, siedział niepozorny chłopak, Zbyszek. Był to biedaczyna z dziwnie smutną twarzą, syn szewca, klepiącego biedę i buty na Pradze, w zapadłej uliczce, pełnej mokrych i zimnych oparów z Wisły. Matki już nie miał. Przepychał się przez szkołę z kolczastym trudem, uparcie i niezmiernie, jak gdyby urzeczony nadzieją, że się kiedyś wydostanie z nieszczęsnej, zielonym mchem liszajów obrosłej izdebki, napełnionej cierpkim zapachem smoły i miarowym, beznadziejnym stukotem młotka, nieumęczonego dziecięcia. Wędrował przez szkolne lata ze zgaszonym spojrzeniem, które ożywiało się i rozbłyskiwało na widok jedzenia przyniesionego do szkoły przez kolegę. On, Zbyszek, jadł je pożądanym wzrokiem, wreszcie zasłaniał oczy ręką, gdy głód zaczął w nim krzyknąć i namawiać: "Porwij mu kawałek! On ma za wiele!" Nie prosił jednak nigdy. Dwudziestu chłopaków oddałoby mu wszystko z serdecznym okrzykiem. Przypuszczano, sądząc z wielu oznak, że dzieje się z nim nietępo, obawiano się jednak, by go nie urazić zapytaniem. Był on najspokojniejszym uczniem, chociaż nie najwspanialszym. Myślał bardzo powoli; zdawało się, że myśl każdą rozgryza jak orzech, aby z trudem wydostać z niego ziarno mądrości. Sprawiał takie wrażenie, jak gdyby spóźnił się na pociąg o cały jeden dzień i powoli, uparcie zdążył za nim piechotą. Zanim wypowiedział słowo, kręcił długo głową, jakby mu się przyglądał nieufnie albo jak gdyby ważył je i mierzył, gdy je jednak już wypowiedział, nie cofnąłby go za nic w świecie. Mówił głosem miękkim i pieszczotliwym, Pełnym słodyczy; zdawało się, że z jego ust słowa sączą się Powoli, ciężkimi kroplami bursztynowej patoki.

Nigdy głosu nie podnosił, jak gdyby przywykł do cichego mówienia w mrocznej izbie ojcowskiej, tak ciasnej, że nie było w niej miejsca na okrzyk lub huczny rozgłos śpiewu. Muzykalnymi talentami obdarzony Zenobi słuchał zawsze jego głosu z wielką przyjemnością.

- On tak mówi, jak gdyby grał na skrzypcach - mówił do Zdzisława. Zbyszek jednak mówił bardzo, bardzo rzadko. Zdarzało się, że o coś zagadnięty słuchał pilnie z serdecznym uśmiechem, lecz nie odpowiadał. Wzruszył ten i ów ramionami i odwracał się dotknięty. Nazajutrz zbliżał się do niego Zbyszek i mówił:

- Dopiero w niedzielę.

- Co ma być w niedzielę? - pytał tamten zdumiony.

- Pytałeś mnie wczoraj, kiedy ci oddam książkę, więc ci mówię, że w niedzielę - odpowiadał smutno Zbyszek.

Opowiadano sobie, że gdy w jego domu wybuchnie pożar w poniedziałek, Zbyszek zjawi się we wtorek w siedzibie straży pożarnej i powie cicho: "Pali się!" Nie był awanturnikiem ani mąciwodą, zbyt słaby był zresztą, by dotrzymać placu burzliwym jak górskie potoki i silnym kolegom; miał w sobie za to wiele zamyślanej powagi, którą szanowano. Nikt mu wprawdzie nie zaofiarował ścisłej i gorącej przyjaźni, nikt jednak nie był jego wrogiem; toteż niemiłe zdumienie ogarnęło klasę, gdy jeden z kolegów, chłopak atletycznej budowy, o głowę od Zbyszka wyższy, mocny i gwałtowny, obraził go dotkliwie i bez powodu. Siłacz opowiadał jakąś zabawną historię, która jednakże nie była zabawna, tak że zaledwie jeden tylko z przygodnych słuchaczy uśmiechnął się z łaski, a raczej tak wykrzywił roztopne oblicze, że przy dobrej woli można to było uważać za uśmiech. Cyklopowi nie podobało się to i zaczepnym spojrzeniem spojrzał dokoła. Nie było sprawą bezpieczną zaczepienie któregoś ze znanych wojowników, atleta przeto wyszukał wśród gromadki najsłabszego, aby na nim wziąć pomstę za swoje niepowodzenie.

- Z ciebie można by zrobić przynętę na żaby - powiedział ni stąd, ni zowąd, patrząc twardo w oczy Zbyszka.

Zbyszek spojrzał na niego spokojnie, lekkim zmarszczeniem czoła dając mu do poznania, że wcale nie rozumie, czego tamten żąda.

- Bo jesteś żółta glista! - ogłosił siłacz triumfalnie i zaśmiał się głośno, niezmiernie rad z konceptu.

Wszystkim obecnym wydłużyły się twarze, a ktoś bąknął z kąta:

- Głupi jesteś, przyjacielu!

Atleta nie odwrócił się nawet w tę stronę, lecz za rozsądną tę odwagę uczynił odpowiedzialnym Zbyszka.

- Ty szewskie kopyto! - krzyknął i uderzył go w piersi zwiniętą pięścią. W tej samej chwili z dwóch stron schwycono go za ręce; jak dwa zajadłe ogary, co chwytają dziką za uszy, wczepił się w niego Zdzisław z prawej strony, a Zenobi z lewej.

- Spokojnie, spokojnie! - rzekł Zdzisław zduszonym dziwnie głosem i ze zwykłym na twarzy uśmiechem. - Zenobi, trzymasz go tam?

- Trzymam! - zameldował posłusznie przyjaciel.

Zdzisław zaczął przemowę:

- Obraziłeś niegodnie dobrego kolegę... Ty jesteś silny jak byk, a on jest chudeusz. Powinieneś dostać za to sumienne lanie... Nie szarp się, bo jeszcze nie skończyłem! Zenobi, trzymaj mocno!

- Trzymam!

- Zachowałeś się jak dziki człowiek... Na swoją obronę możesz użyć cytaty z Homera: "Atletom zresztą,



wiadomo, siła nie dana jest głowie". Dlatego nie dostaniesz lania, ale musisz go przeprosić.

- Tak, tak! - zakrzyknięto dookoła.

Zbyszek chciał coś powiedzieć, ale i on nie mógł znaleźć słowa, i Zdzisław nie pozwolił mu go znaleźć.

- Ty nie masz nic do gadania. To już nie twoja sprawa, ale nasza. On ma ciebie przeprosić.

- Gwiżdżę na was i na niego! - wrzasnął atleta i tak się zwinął, że byłby się uwolnił, gdyby nie nagła pomoc.

Niespodziewany udział dwóch przyjaciół w awanturze podobał się chłopcom, którzy tym gorliwiej zaofiarowali teraz swoje usługi, że były one dość spóźnione.

- Przepróż, natychmiast przepros! - krzyknięto.

- Ani myślę! - wrzasnął napastnik.

Jak wiadomo, sam Herkules nie da rady połączonym przeciwnikom, nic dziwnego tedy, że i to mizerne jego wydanie nie miało zbyt szans zwycięstwa. Zmuszono go, by pochylił twarde łeb przed przerażonym Zbyszkiem, bardzo nisko i pokornie.

- Zenobi, możesz już puścić! - rzekł Zdzisław.

Tamten, nagle zwolniony, chciał się w pierwszej chwili rzucić na dwóch przyjaciół, ale ujrzał przed sobą nie tylko ich. Spojrzenia zaczęły się iskrzyć, mężne serca poczęły dymić, a dusze chrzęściły, jakby wdziewały rycerskie zbroje. W ślachu duch opadł jak flaga na deszczu. Nazajutrz, gdy wychodzono ze szkoły, do wiernych przyjaciół zbliżył się nieśmiało Zbyszek. Bez jednego słowa przyłączył się do nich, a chociaż został powitany zachęcającym uśmiechem, milczał. Przeszedł z nimi przez miasto, nie biorąc udziału w ich żywej rozmowie, czasem jedynie z gorącym uwielbieniem spoglądał to na jednego, to na drugiego. Zenobi mrugnął porozumiewawczo w stronę Zdzisława, jakby mu chciał rzec:

- Dzisiaj jeszcze nic nie powie!

- Kto wie? - odpowiedział mu Zdzisław mrugnięciem.

- Katastrofa wydaje się już bliska.

Nagle zagrzmiało spod błękitnego nieba. Zbyszek przystanął, spojrzawszy im serdecznie w oczy i rzekł dobitnie:

- Dziękuję!

- Nie ma za co... - odpowiedzieli uprzejmie.

- Zaczny to jest chłop - mówił Zenobi, gdy Zbyszek odszedł. - Tylko zbyt oszczędnie używa ludzkiej mowy. Biedaczysko! Coś w nim siedzi i wydobyć się nie może. Każde jego słowo jest jak jeź. Trudno jeźą przeciągnąć przez gardło.

Uśmiechnęli się, gdy Zbyszek zaczął im towarzyszyć dzień po dniu. Natychmiast po rozpoczęciu przerwy między lekcjami zbliżał się do nich i już ich nie odstępował. Nie wiadomo, jak nieprawdopodobnej ilości słów musiał użyć, aby uprosić kolegę, zajmującego miejsce za wspólną ławką dwóch przyjaciół, do zamiany miejsc. Jednego dnia usiadł tuż za nimi i jasnym spojrzeniem oznajmił im o żywej swojej radości. W ten sposób powoli stał się trzecim w przyjacielskim związku - związku trzech. Stało się to tak jakoś naturalnie, że dwaj przyjaciele dziwili się jedynie, czemu stało się to tak późno.

Słońce uczciwej przyjaźni rozwiało tę ciężką mgłę, co się wlokła za samotnym dotąd Zbyszkiem. Objawiał on na swój sposób radość z tego powodu jak człowiek, co się na świat wydobył z ciasnego i mrocznego podziemia. Zdawało się, że pije przyjaźń jak złote światło. "Rycerz smętnego oblicza" poweselał na gębie i zdawało się, że się uczy uśmiechu.

- On się przy nas nawet mówić nauczy! - mówił Zenobi.

- Przy tobie nauczy się jedynie udawać kurę, gdaczącą po zniesieniu jaja, albo zepsuty gramofon. Całe szczęście, że ja tu jestem! - zaśmiał się Zdzisław.

- Lepiej jest czasem gdakać niż bredzić - odparł Zenobi. Zbyszek czynił istotnie znamienite postępy w używaniu Pięknej ludzkiej mowy. Coraz częściej się zdarzało, że już tego samego dnia odpowiadał na zadane mu pytanie i coraz częściej ważył się na zdanie złożone z ośmiu lub dziesięciu słów. Ponieważ na pytania zadawane przez nauczyciela nie można było w żaden sposób odpowiadać po dwudziestoczworgodzinym myśleniu, natychmiastowe odpowiedzi Zbyszka były wspaniałym bohaterstwem; rzeczą jest słuszną i sprawiedliwą, że odpoczywał w życiu prywatnym i nie rozpędzał się nieprzytomnie. Teraz sam z wielkim zdumieniem przysłuchiwał się własnemu rozgadanemu zuchwalstwu. Wygłosiwszy wspaniały okres, tak długi, że napisany byłby rozdzielony przecinkiem, nagle urywał i patrzył poza siebie, jakby chcąc dojrzeć tego, który tyle od razu gada. Rumieniec oblewał jego bladą twarz, skoro się okazało, że to on jest Demostenesem.

- Staję się bardzo pyskаты... - rzekł raz nieśmiało do dwóch przyjaciół.

- Możesz sobie jeszcze pozwolić! - odrzekli serdecznie. Jednego dnia powiada Zenobi do Zdzisława z nie tajonym zdumieniem:

- Czy mnie nie pobijesz, jeśli ci powiem coś takiego, w co trudno uwierzyć?

- Jestem dziś łagodnie usposobiony... Gadaj, bracie!

- Zbyszek śpiewał! - szepnął Zenobi.

Zdzisław, który stał, usiadł nagle.

- Jeśli łziesz, Pan Bóg cię pokaże... Słyszałeś na własne uszy? Może miewasz halucynacje?

- Gdzie tam! Przychodzę do niego, nie ma go w domu. Powiada mi jego ojciec, że poszedł nad Wisłę, bo wiosna. Szukam go, widzę: siedzi nad brzegiem, patrzy w wodę i śpiewa!

- Co śpiewał?

- To trudno powiedzieć... Coś bez związku, bez słów i bez sensu, ale śpiewał.

- Z tego chłopca będą jeszcze ludzie! - rzekł Zdzisław z wielką powagą. - Będą ludzie, chociaż się z tobą zadaje.

- A z tobą nie?

- To właśnie całe jego szczęście. Bóg jest miłosierny i sprawiedliwy.

- Czy mam cię zabić zaraz, czy dopiero jutro?

- Lepiej już jutro, przyjacielu, bo dzisiaj u nas będą na kolację raki - odrzekł Zdzisław. - A czy ty masz pojęcie, jak ja lubię raki?

### III. W drogę, panowie!

Wakacje wymyślono jedynie dlatego, że gdyby kilkuset krzykliwych buszmenów, urwipolców, zawadiaków, i innych basatyków przebywało w szkole przez dwanaście miesięcy bez żadnej przerwy, nieszczęśliwa szkoła musiałaby runąć. Najpotężniejszy budynek nie zdołałby bez wytchnienia wytrzymać tych wstrząsów i drgań, tych wrzasków i krzyków, którymi lud szkolny objawia swoje istnienie. W każdej niemal szkole można zauważyć pod koniec roku opadanie tynku z pował i szpary w podłodze. Okazało się koniecznością wypuszczanie na dwumiesięczną wolność tatarskiej czeredy, aby można załatać szczyby, pomalować powały, zasklepić pęknięcia w murach i umocnić schody. W ostatnich dniach czerwca szkoła najwyraźniej jęczy, trzeszczy i drży nocami. Kropla wydrąży skałę non

vi, sed saepe cadendo. Szkoła jest to skała, drażona non vi, sed saepe wrzeszczando. Połączone głosy kilkuset wspaniałych wyjców są groźną potęgą w przyrodzie. Szkoła jest to dobra i kochająca matka, ale i najlepsza matka często zatyka sobie uszy, potem ukochane dziatki wypycha na boży świat, aby na szerokiej przestrzeni wykrzykiwały swoją radość. Wytrzymałość ludzka ma swoje granice. Szkoła, w której "związek trzech Z" ćwiczył się w mądrości, wypchnęła swoje dziatki w upalny czerwcowy dzień, pachnący wonią akacji, nabrzmiały nadąsanym buczeniem bąków i upstrzony kolorowymi plamkami motyli. Słońcu było tak gorąco, że uczyniwszy sobie wachlarz z białych chmur jak z bujnych piór strusich, chłodziło sobie rozpaloną twarz. Jaskółki zmęczone upałem siadały na telegraficznych drutach tak gęsto, że najpilniejsze depeche brnęły po nich z trudem. Zdawało się, że tkwiące na łanach pszenicy strachy na wróble zaczną niedługo zdejmować pogniecione kapelusze z patyka głowy i gałganiaste odzienia z chudych ramion.

- Strasznie gorąco! - rzekł Zdzisław. - Nie chce mi się gadać, bo mi się zdaje, że słowa oblewają się potem. Czy tobie też tak gorąco?

- Nie wiem - odrzekł sennie Zenobi.

- Jak możesz nie wiedzieć?

- Po prostu. Jestem umarły z gorąca i niczego nie czuję. Patrz, idzie Zbyszek... Właściwie to nie idzie, ale się jeszcze porusza.

- Pokój temu domowi! - rzekł Zbyszek radośnie.

- Jakiemu domowi? Przecie siedzimy nad rzeką... Wyrwało ci się jak umarłemu kadzidło.

- W tym wcale nie ma sensu! - zaśmiał się Zbyszek.

- Śmiejesz się jak Piekarski na mękach - rzekł Zdzisław.

- Za gorąco jest na wszelki sens. Siadaj, bo za chwilę otworzę posiedzenie, a posiedzenie musi być na siedząco.

- Czy leżeć można?

- Można, bylebyś nie zasnął, bo to nie Liga Narodów.

- O, o! - krzyknął Zenobi. - Statek płynie wodą... Takiemu to dobrze! Statek na Wiśle nie był zdarzeniem wstrząsającym, lecz trzy spojrzenia wlokły się za nim z wyrazem tęsknoty. Wypływał z miasta rozprażonego jak piec piekarski, zanurzony w chłodnej wodzie, pomiędzy zielone łęgi w daleką szerokość. Wałęsał się tam rzeźwy wiatr, zieleniła się radość nadbrzeżna i każdy znużony dzień kąpał się w głębokiej rzece. Oni zaś byli bardzo utrudzeni. Gadali wesoło, bo nie umieli inaczej, zdawało się jednak wszystkim trzem, że powrócili z dalekiej, męczącej podróży, trwającej bez mała dziesięć bitych miesięcy. Przedzierali się przez mrok i gęstwiny, czasem długo w noc. Pracowali sumiennie, zapalczywie i ze szlachetnym uporem, a Zbyszek najwięcej z nich. Mało posiadał książek własnych, więc późnym dopiero wieczorem pożyczał potrzebne od innych, gdy ci inni zrobili swoje. Uczył się przy stukaniu ojcowskiego młotka; już był zmęczony, kiedy pochylał się nad książką, bo wracał z dalekich korepetytorskich wypraw; dlatego dłużej patrzył na brzuchaty okręcik, który na bielańskim zakręcie zahaczał radośnie, a gdy zniknął, Zbyszek cicho westchnął. Zdzisław spojrział uważnie na bladą i wymizerowaną twarz przyjaciela i cień smutku, jak cień przelatującego ptaka, przebiegł przez jego twarz. Zaraz mu się jednak oczy roześmiały. Nikt ze śmiertelnych nie powinien widzieć zmartwienia na jego obliczu. Potężne jego myśli i najwspanialsze plany zawsze się zjawiały na świecie w kwiecistym uśmiechu, co właśnie stało się w tej chwili, sądząc z niezwykle migotania oczów.

- Wielkie mecyje, statek! - rzekł z wątpliwym szacunkiem o wybitnej jednostce wiślanej floty, bijącej łapami wodę.

- Muszę jednak przyznać, że ta dorodna kaczka sprowadziła na mnie natchnienie.

- Uciekajmy, przyjacielu! - wrzasnął Zenobi w stronę Zbyszka. - On zacznie improwizować.

- Upał zmaćł mu zmysły - odrzekł Zbyszek z powagą.

- Nie możemy go opuścić w tym stanie.

- Żaden z was nawet się nie ruszy - mówił Zdzisław - bo skamienieje z radości i podziwu. Jeśli padniecie przede mną na twarz i uderzycie imitacją głowy o ziemię siedem razy, gotów jestem wam powiedzieć, jak wspaniały pomysł przyszedł do mojej prawdziwej głowy. Czy padacie na twarz?

- Padamy!

- Czy tłuczecie o ziemię głowami?

- Zrobione!

- Teraz wam mogę powiedzieć, ale powoli, gdyż mam umysł niezmiernie wzburzony.

- Woda niedaleko - wtrącił ze współczuciem Zenobi.

- Może jaki mały okład...

- Z Kolumba też pokpiwały różne kiepskie matole. Nie szkodzi! Ale jeśli mi będziesz przerywał, powiem ci o wszystkim dopiero jutro, a jutro będę gadał już do nieboszczyka, bo w nocy umrzesz z ciekawości. Zbyszku! Będę mówił do ciebie, a ta kreatura niech usłyszy przy sposobności. Gdzie dwóch mądrze gada, tam trzeci korzysta.

- Czy ty tak długo potrafisz? - krzyknął Zenobi. - Jeśli zaraz o wszystkim nie powiesz, utopimy cię we dwóch.

- Dawniej palono geniuszów na stosie, teraz ich chcą topić. Dobrze, będę mówił. Powiedzcie mi bracia Zety: czy jest gorąco? Czy jest lato? Czy są wakacje?

- Ślepy koń dawno już to zauważył...

- Niech ci będzie! Nie zadaję wam naiwnych pytań, używam jedynie rozropnej metody Sokratesa\*, wypróbowanej wobec maluczkich, prostodusznych i ludzi niedołążnego umysłu. Odrzuć ten kamień, bo ja mam tu obok cięższy! Słuchaj raczej, co ja wymyśliłem.

Zapytuję was: dlaczego trzech zdrowych małpisonów siedzi w mieście i smaży się na rozżarzonej patelni zamiast, jak ten statek, podążyć w szeroki świat?

- Jest to wcale rozropne pytanie - przyznał Zbyszek.

- Oczywiście! Połowa miasta czyni jakieś wyprawy, wyjeżdża, wędruje, wylatuje, wybiega, ucieka i szuka powietrza, wody, morza, gór, tylko my, niedorajdy, siedzimy tutaj. Licho wie po co. Dlaczego my nie wyjeżdżamy?

- Bo jesteśmy łapserdaki - rzekł Zenobi ciemnym głosem.

- Za co? - zapytał ściślej Zbyszek.

- O nieporadna duszo, która pytasz: za co? Czy wolność cokolwiek kosztuje? Czy za radość się płaci?

- Za jazdę koleją się płaci...

- A któż nam każe jechać koleją? Mamy nogi czy ich nie mamy?

- Jeżeli wszystko na świecie nie jest złudzeniem, zdaje mi się, że mam nogi

- rzekł Zenobi. - Zbyszek, jak jest z tobą?

Zbyszek, oszczędzając słów, wyciągnął przed siebie dwa chude pedały, z czego jawnie się okazało, że i on ma nogi.

- Posłuchajcie, małpoludy! - rzekł Zdzisław gorąco. - Mamy przed sobą dwa miesiące, sześćdziesiąt dni...

- Sześćdziesiąt dwa - poprawił ścisły Zenobi. Lipiec i sierpień mają po dni trzydzieści jeden.

- Tym lepiej! Wybieramy się jutro o świcie i idziemy przed siebie...

- Dokąd?

- Wszystko jedno dokąd. W nieznanie! Najcudowniej się idzie, gdy się nie wie, dokąd się dąży. Pójdziemy na zachód i będziemy gonić słońce.

- Zedrzymy buty - wtrącił nieśmiało syn szewca.

- Wtedy będziemy wędrowali boso. Zdarzało się to większym od nas. Co o tym myślicie? We trzech damy radę wszystkiemu. Pójdziemy sobie po szerokiej drodze, przez pola, przez łąki, pod obłokami.

- A jeśli będzie padało? - zapytał Zenobi.

- Kapuściane głowy dobrze rosną na deszczu. Czy nigdy na ciebie nie padało? Przeczekaś deszcz i pójdziesz dalej...

- Ostatecznie mogę to zrobić.

- Zrobisz, zrobisz... Będzie to piękna wyprawa, wspaniała wyprawa! Powiedz, Zenobiuszku, dobrze wymyśliłem?

Zenobi zmarszczył czoło i nagle wydał z siebie przeraźliwy głos, przypominający grube, opasłe, ochryple i zakopcone buczenie okrętowej syreny.

- Rozumiem cię! - rzekł Zdzisław z zachwytem. - Już jedziesz... A ty, Zbyszku?

- Pogadam z ojcem. Biedaczysko zostanie sam...

- Wierz mi, że mu będzie lżej, gdy z domu zniknie jedna żarłoczna paszcza, ale pogadaj.

- Dobrze, a co my będziemy jedli?

- Co się zdarzy... - odrzekł Zdzisław niepewnie.

- Bardzo rzadko się zdarza, aby na drzewach rosta kielbasa, a przydrożne kamienie zamieniały się w chleb.

- Coś trzeba będzie kupić...

- Słusznie! Ludzie jednak mają takie zastarzałe poglądy, że za wszystko chcą od razu pieniędzy. Tak od razu nie da się ich tego oduczyć. Widzę, że cię opuściło natchnienie.

- Bynajmniej! Pozwólcie, że dzisiaj będę rozmyślał, a jutro wam o wszystkim powiem dokładnie. Czy panowie zechcą odwiedzić mnie jutro około dwunastej?

- To zła pora. Czy nie można by około piątej?

- Można, ale czemu tak późno?

- Bo o tej porze dostajesz podwieczorek, a przecie nie będziesz opychał się sam, gdy na to będzie patrzyło dwóch przyjaciół.

- Uwaga twoja jest głęboka, chociaż godna złoczyńcy. Przybywajcie o piątej. Przyjaciele rozeszli się w

trzy strony świata, jedną pozostawiwszy wolną i w tej panował spokój. Wszyscy byli podnieceni, nie wyłączając projektodawcy, Zdzisława-Almanzora, który swoim pomysłem "wszczepił im w duszę jad, co ich będzie pożerać". W spokojną wodę biedniutkiego ich życia cisnął kamień, co padł aż na dno serca. Jak ziarno w pulchną ziemię rzucone, poczęła w nich pęcznić tęsknota. Spracowani chłopcy zamarzyli nagle o tej oszałamiającej wyprawie po zielonej bożej ziemi, rozśpiewanej gwarem lata. Rośli wśród kamiennych murów, w zaduchu miasta, krążyli bez końca po asfalcie, wyświechtanym i nudnym, oddychając powietrzem ciężkim, przesyconym spalenizną benzyny i smarów, a tam gdzieś daleko leżą niezmiernie dywany łąk i pola nieskończone, "malowane zbożem rozmaitem". Bardzo byli zmęczeni, a tam daleko lasy siwe i brodate, pachnące i rozszumiane śpiewały chórem, wołając dusze zmęczone. Będą nieszczęśliwi, jeśli nie ruszą na tę wyprawę po radość i słońce; tacy będą nieszczęśliwi jak Beduin na Saharze, co śmiertelnie znużony ujrzał z oddali palmy i wieżyczkę minaretu, a po godzinach wędrówki przekonał się, że to kłamliwe złudzenie, fatamorgana. Wyprawy tej najbardziej, najserdeczniej zapragnął Zbyszek, biedny syn biednego łatacza butów. On nigdy jeszcze nie wyrzał poza krańce miasta. Zdzisław był gdzieś daleko, Zenobi, posiadając ulgi kolejowe, zawędrował w ubiegłym roku aż do Krakowa. Wilanów był ostatnią stacją, do której dotarł Zbyszek. Dalej był już koniec świata. O, gdyby się teraz udało pójść w wesołej, najcudowniejszej kompanii, z przyjaciółmi od serca... Gdyby się udało... Jakże się to jednak może stać?

Dziwił się stary szewc, że jego pierworodny wzdycha przez sen i czasem głośno wykrzyka. Nigdy tego nie czynił, śpiąc kamiennym snem, zresztą w rodzinie nie było takich, co śpiąc gadali. Zdarzał się nieraz zgrzytający zębami, jakby z nudów gryzł orzechy, i zdarzył się osobnik chrapiący, nikt jednak nie gadał. Szewcy są milczący na jawie, po cóż mają gadać we śnie?

- Mowę miałeś w nocy - rzekł rano do syna stary, pracowany szewc. - Co ci się stało? Rozumiałbym, gdybyś był na noc zjadł baraninę, bo po baraninie ludzie śpią niespokojnie, ale ty nic nie jadłeś. Co cię trapi, chłopcze? Zbyszek opowiedział, co go trapi. Mówił tak pięknie i tak zapalczywie, że ojciec połowy z tego nie rozumiał, wiadomo jest jednak, że Pan Bóg dał szewcom rozum wielki i zdrowy, który pomnażają pracowicie, siedząc całymi dniami w poważnym milczeniu sprzyjającym filozoficznym rozważaniom. Pojął przeto, że temu dziecku jedynemu, dobremu chłopcu, co się nigdy nie skarżył ani na głód, ani na chłód, nie może dać odrobiny radości. Tarł ręką zmarszczone czoło i targał siwe wąsy, taka jest już bowiem natura ludzka, że tymi gwałtownymi ruchami pobudza szybsze krążenie myśli. Musi to w jakiś sposób pomagać,

nieraz się już bowiem zdarzyło, że człowiek zatroskany tak długo drapał się w głowę, aż coś wreszcie wydrapał. Starożytni filozofowie drapali się dość często, i nie tylko w głowę, co jedni przypisują dziwnej niechęci wspaniałych tych mężów do oczyszczającej wody, inni natomiast drapaniu temu głębsze przypisują znaczenie.

- Idź teraz - rzekł stary ojciec - a ja pomyślę.

Zbyszek spojrzął na ojca ze zdziwionym zachwytem i wyszedł z domu. Spojrzął na niebo i przyczajona tęsknota aż w nim krzyknęła. Na niebie piętrzyły się wysokie, śnieżnobiałe chmury, zwalone jedne na drugie, tarzające się po błękitach. Dzień był promienisty i upajający. Jaskółki szyły niebieskie płótno nieba czarnym ścięciem, a wysoko, wysoko, kapał się w lazurowej topieli aeroplan i płynął przez chmury; znudziło mu się pływanie na brzuchu, więc się położył na wznak, potem dał nurka, pływak znamienity. Skoro tutaj jest tak pięknie, jakże cudownie musi być tam, gdzie te białe chmury dotykają ziemi? W tamte strony pełnie właśnie po moście pociąg, żelazna gąsienica... Po co Zdzisław tak okrutnie pokazał mu tę Ziemię Obiecaną?

To samo pytanie zadawał sobie Zenobi. Ojciec-konduktor nie mógł pojąć tego nierozważnego planu.

- Gdy wszyscy będą chodzili piechotą - rzekł z niesmakiem - kolej zbankrutuje.

Matka jednakże przeczuwając radość syna była zgoła innego zdania.

- Czego się nauczy w pociągu? Że podczas jazdy nie wolno otwierać drzwi i wychylać się przez okno?

- A na piechotę więcej się nauczy? - pytał drwiąco konduktor.

- Więcej. Kraj zobaczy i zobaczy ludzi. Nałyka się dobrego powietrza i będzie im wesoło we trzech. Chłopiec napracował się, więc niech idzie; nic mu się złego nie stanie, a użyje za wszystkie czasy. Ma zresztą swoje oszczędności.

Przedstawiciel mechanicznego środka lokomocji protestował, ale słabo, gdyż odjeżdżał o jedenastej trzynastcie, więc miał mało na to czasu, poza tym nie on - jak się rzekło - był zawiadowcą stacji, lecz matka. I kasa była w jej ręku, a to było najważniejsze. Zenobi spenetrował szybko, że właściwe mocarstwo było po jego stronie. Czule przeto pożegnał się z ojcem, który wracał dopiero za dwa dni, a wyprawa mogła wyruszyć już nazajutrz o świcie.

- Nie przechodź przez tory kolejowe - rzekł mu ojciec na pożegnanie. - I jeszcze jedno ci powiem. Gdy już nie będziecie mogli powłóczyć nogami, będziesz pewnie próbował pojechać pociągiem na gapę, ty albo twoi przyjaciele. Chciałbym wtedy capnąć jednego z was! Będzie mu gorąco...

- Ukaralbys własne dziecko? - krzyknęła ze zdumieniem matka.

- W pociągu nie ma własnych dzieci... W pociągu są pasażerowie!

- A mnie też byś capnął, co?

Konduktor zastanowił się poważnie: kto jest potęgą większą - kolej czy prawowita małżonka? Ponieważ zagadnienie było niezmiernie trudne do natychmiastowego rozstrzygnięcia, wołał nie odpowiedzieć i udając, że się bardzo śpieszy, szybko począł się żegnać.

O piątej godzinie Zenobi pobiegł czym prędzej do Zdzisława, u którego już był Zbyszek. "Trójka hultajska" była w doskonałym komplecie; zawsze rozważna i spokojna, w tej chwili zdradzała żywe objawy opętania. Wszyscy mieli roziskrzzone oczy i rumieńce na twarzach. Jedynie dlatego żaden z nich nie tańczył ani nie wydawał przeraźliwych okrzyków, które są śpiewem radości, że w naradzie brała udział matka Zdzisława. Objęła ona nad wyprawą najwyższy protektorat, uznawszy, że pomysł jej syna, chociaż na pozór awanturniczy, jest piękny.

- Ale nie powinniście iść bez celu - rzekła - bo gdy was wędrowanie znuży, nie będziecie mieli podniety i zawrócicie czym prędzej, kiepskie mieszcuchy. Otóż niech tak będzie: pójdziecie, którędy się wam podoba, a w powrotnej drodze odwiedzicie moją cioteczną siostrę, do której dam wam list. Mieszka ona w górskiej już okolicy. Nie widziałam jej od kilku lat i nie wiem dobrze, co się z nią dzieje. Jest to przeczna kobieta, która ocalała po śmierci męża mały mająteczek i mieszka w nim z córką.

- Doskonale, mamusiu - rzekł. Zdzisław. - Rzecz cała w tym, czy w ogóle pójdziemy. Nie wiemy jeszcze, jak brzmią meldunki wielkich wędrowników.

- Więc sobie tutaj gadajcie, a ja pójdę po bułki na podwieczorek.

- Sienkiewicz mówi: "po spyżę". Tak się powinno mówić, gdyż w tej chwili jesteś w rycerskim obozie.

- Dobrze! Idę po spyżę.

- Kipling woła w tym miejscu: "Powodzenia w łowach!" - zaśmiał się odczytany Zdzisław. - Do rzeczy, do rzeczy! - zakrzyknął, gdy zostali sami. - Idziemy? Zenobi, gadaj, co wiesz.

- Idę - rzekł z powagą Zenobi. - Moja matka przygotowuje w tej chwili zapasy, a ja mam przy sobie kapitał, z którym można zawędrować na koniec świata.

- Ile? ile?

- Dwadzieścia siedem złotych!

- O Boże... -jęknął cicho Zbyszek.

- Są to oszczędności moje i mojej matki - mówił Zenobi i z dumą, i ze wzruszeniem. - Zbierała je długo, drogie matczyńsko. Ale to jeszcze nie wszystko! Dostałem plecak ojca i starą pelerynę matki, dwa garnuszki, maszynkę spirytusową i latarkę konduktorską.

- Stanley, wędrując przez Afrykę, nie mógł mieć wiele więcej. Zenobi, jesteś bogatym podróżnikiem, a twoja matka jest cudowną matką. Wnieśmy okrzyk na jej cześć: niech żyje!

- Niech żyje! - ryknęli wspaniałym chórem, Zenobi zaś uwieńczył gorące głosy gwizdem tak wspaniałym, że zwisająca z pułapu lampa zadrżała szklanym głosem.

- Teraz na mnie kolej, przyjaciele - mówił Zdzisław. - Ja posiadam mniej gotówki, bo tylko dwadzieścia dwa złote i sześćdziesiąt groszy, co razem z twoimi tworzy potężną sumę czterdziestu dziewięciu złotych z groszami. Moglibyśmy założyć bank! Poza tym posiadam rzecz najważniejszą: namiot.

- Nie może być!

- Może być! Istnieją rozmaite legendy, skąd się ten dziwny przedmiot znalazł w naszym domu, dość, że jest i dzisiaj w nocy został załatany. Sądząc z wielkiej ilości dziur w namiocie, używał go jakiś romantyk, który lubił patrzeć na gwiazdy. Mam dalej: potężne i gwoździami podkute buty po ojcu, bo mój ojciec chodził po górach, nóż prawie morderczy, ale kupiony, bo w rodzinie nie było żadnego mordercy, mapę i rozmaite pożyteczne drobiazgi.

Czy to dość?

- Zdzisławie - rzekł Zenobi - jak się nazywał ten wielki afrykański podróżnik, którego znalazł Stanley?

- Livingstone.

- Prawda! Wobec tego Livingstone, wędrując przez Afrykę, nie mógł mieć wiele więcej - rzekł Zenobi z powagą, powtarzając słowa Zdzisława. - Zbyszku, wystąp! Zbyszek był błądliwy i drżącą ręką otarł sobie pot z czoła.

- Ja nie mogę pójść - powiedział cichym głosem.

- Czemu? - wrzasnęli tamci.

- Bo wy macie dużo, a ja nic...

- I myślisz, że dlatego nie pójdziesz?

- Myślałem, że pójde... Ale teraz zmieniłem zdanie... Jakbym mógł? Nie chcę być ciężarem... Wszystko robiłem... Właściwie nie ja, lecz mój ojciec... Wczoraj zniknął na pół dnia i zdobył... zdobył... trzy złote. To za mało.

- Kto ci o tym powiedział, że za mało? Siedemnaście złotych za mało?

- Jakie siedemnaście? Trzy!

- Trzy i czterdzieści dziewięć, to razem pięćdziesiąt dwa, pięćdziesiąt dwa przez trzy to siedemnaście i coś. Tak mówi Pitagoras.

- To wy tak mówicie...

- Zbyszku, stary przyjacielu - rzekł poważnie Zdzisław.

- Nasze serce jest twoim sercem. Nasz kawałek chleba jest twoim kawałkiem chleba. Czy jeszcze tego nie pojąłeś? Gdybyś ty miał trzydzieści złotych, a my nic, nie powiedzielibyśmy, że każdy z nas ma po dziesięć?

- Oczywiście - szepnął Zbyszek.

- Więc czemu kręcisz, zbójco? - zaśmiał się Zenobi. - Panowie, wznieśmy okrzyk na cześć jego ojca, który zdobył trzy złote, co było tak trudne, jak dla innego zdobycie tysiąca. Niech żyje!

- Niech żyje! - wrzasnęli we dwóch, bo Zbyszek ze wzruszenia nie mógł dobyć głosu.

Nagle oczy mu się zaświeciły, jak gdyby sobie coś radosnego przypomniał.



- Ale ja coś mam! - rzekł szybko.
- A widzisz... Gadaj prędko, co to jest: widelec, termos, laska?
- Ja mam psa! - wykrzyknął Zbyszek triumfalnie.
- Psa? - zdumieli się. - Nigdy o tym nie mówiłeś, nikt go nie widział.
- Bo to jest taki dziwny pies, który się chowa przed ludźmi. Jest to mój przyjaciel... Wierny pies, a taki mądry jak diabeł. Jeżeli pójdzie z nami, może się bardzo przydać.
- Nie bardzo - rzekł zafrasowany Zenobi. - Psu trzeba dać jeść.
- Jemu nie trzeba - zaśmiał się Zbyszek. - On się sam żywi, własnym przemysłem. Na moim utrzymaniu zginąłby z głodu, a jednak żyje. Opowiedział im dokładnie, jak jednego dnia znalazł przedziwnego kundla ze złamaną nogą, jak go wyleczył i jak z nim zawarł przymierze.
- To jest tajemniczy pies - mówił. - Znika czasem na długo, potem zjawia się jak gdyby nigdy nic. Nie chcę przesadzać, ale on rozumie ludzką mowę. Nazywa się Apasz.
- Nomen-omen - zaśmiał się Zdzisław. - Szkoda, że nie Zagraj!
- Czemu właśnie Zagraj?
- Bo wtedy cała kompania byłaby na Zet. Dobrze, ale jeżeli on jest taki dziwak, może nas nie uznać.
- Powiedziałem wam, że on rozumie ludzką mowę. On już wie o wszystkim.
- Zwierzyłeś mu się? I cóż on na to?
- Oszalał z radości. Mam niejaki podejrzenia, że zanim dostał się do uczciwego domu, wiódł bardzo podejrzaną drogę. Wolę was uprzedzić.
- Jak myślisz, Zenobi, zabrać tego opryszka?
- Zabrać. Skoro mamy mieszkać w namiocie, będzie nas strzegł.
- Dobrze. Będziemy mieli z sobą nie byle jakie kapitały. Wobec tego wszystko załatwione, a jutro w drogę, panowie!

#### IV. Pierwszy dzień

Zdzisław i Zenobi spojrzeli z ciekawością na czwartego towarzysza wyprawy.

- To naprawdę nie jest pies, to bandyta - rzeki Zdzisław.
  - Mów ciszej - wtrącił Zbyszek. - On wszystko rozumie. Apasz spojrzał na nich wzrokiem tak mądrym, że niemal ludzkim; okrążył ich z powagą, jakby chciał ich sobie na zawsze zapamiętać; nie zbliżył się zbyt i polegając jedynie na rekomendacji swego pana nie objawiał żadnych uczuć nieprzyjaznych. Uspokojony, że ci dwaj niczego przeciw niemu nie knują, nagłymi spojrzeniami rzucał na wszystkie strony. Był przecie jasny dzień, bystrze patrzący okiem słońca, przeto pora niezbyt sprzyjająca wolnym duchom, żyjącym z rozboju, których curriculum vitae jest litanią czynów sromotnych.
  - Trzeba by go wziąć na sznurek - rzekł Zenobi.
- Pies, usłyszawszy to, przystanął nagle i zawahał się, czy ma iść dalej.
- On naprawdę wszystko rozumie, ten czarny czort.

- Niech idzie bez uwięzi - mówił Zbyszek. - W razie czego będziemy udawali, że to nie nasz pies.

- Słusznie. Za miastem możemy się do niego przyznać, wśród ludzi jednak nie bardzo wypada. Słuchaj no, Zbyszek!

A może lepiej będzie gadać przy nim po francusku? Apasz, kosmaty diable'. Czemu na mnie patrzysz, jak gdybym ci ukradł kość?

- Zdaje się, że mu się podobałeś - zaśmiał się Zbyszek. Pokazał Apaszowi ręką kierunek i powiedział cichym, powolnym głosem:

- Idź no, psino, prosto i udawaj, że nas nie znasz.

- Ładna "psina" - rzekł Zdzisław, patrząc z podziwem na odbiegającego truchcikiem kundla. - Od dzisiaj będę mówił do krokodyla: "moje kociątko! Czy on nas odnajdzie? Na kraniec miasta pojedziemy tramwajem. Okazało się, że pies leżał przy drodze, ukryty w gęstych burzanach.

- Obawiam się - rzekł Zenobi - że ten pies nie skończy naturalną śmiercią.

- A ja się obawiam, że my przez niego skończymy na więziennej słomie, przykuci łańcuchami do ściany. Przecie on ma taki wzrok, że mógłby zamordować człowieka!

Apasz towarzyszył im przez pewien czas, okazując żywą radość. Starego włóczęgę owiało szerokie powietrze; żaden mur nie zagraadzał drogi, żaden zaułek jej nie wikał. Gdyby był zwyczajnym, byle jakim psem, zaszczekałby z radości, czego jednak nie czynił nigdy. Tylko niemądre czworonogi dają znać wrogom o miejscu swego pobytu. Jemu wystarczyło gwałtowne powiewanie puszystym ogonem. Od czasu do czasu, zwietrzywszy świeży powiew od złocących się pól, przystawał i obnażał białe kły w jadownicę sonej oprawie. Był to jego uśmiech znamionujący najwyższe szczęście. Wiedział, że za nim kroczy powoli jego najdroższy pan, a on strzeże drogi. Tamci dwaj, co idą razem, są to jakieś istoty nieszkodliwe, zresztą dość sympatyczne. Jeden jest uśmiechnięty, od drugiego zaś z zawiniątka na plecach bije rozkoszna woń kiełbasy. Człowiek zły niósłby ze sobą kij, a nie kiełbasę. Rozpatrzywszy teren i upewniwszy się, że jego pan i ci dwaj zdążają prosto gościńcem, pies dał nurka w zielone rozlewisko i przepadł. Trzej wędrowcy szli miarowym krokiem. Lekko im było na duszy, nieco ciężiej na ciele. Matka Zdzisława uczyniła ze wszystkich bagażów trzy jednakowego ciężaru zawiniątka, którymi objuczyci się sprawiedliwie. Najwspanialszym ich bagażem była radość. Droga wiała się przed nimi w nieskończoność, niebo lśniło nad nimi wysokie, powietrze drgało, złotym przesiane pyłem. Wielka, potężna, kamienna zmora miasta zapadła się poza nimi, a na ich spotkanie wybiegł wiatr. Pogładził czuby ziarniste zbóż, zaszemrał wśród liści przydrożnych drzew, a potem przywitał ich pocałowaniem. Rozśpiewany ptak wyciągał z gardziółka cieniutką, srebrzystą nitkę śpiewu. Dymy z kominów wznosiły się prostym słupem, jak uczciwa ofiara Abła.

- Będzie pogoda - rzekł Zenobi. - Wszystko wróży, że będzie pogoda. Dym idzie do góry, a jaskółki latają wysoko.

- Ja wierzę w przepowiednie - odpowiedział Zdzisław.

- Przepowiednie są niezawodne: "Jeśli na świętego Prota jest pogoda albo słota, na świętego Hieronima deszczyk jest albo go nie ma".

- Jest to roztropna przepowiednia, gdyby jednak ta zawiodła, ja mam w zapasie inną: "Jeśli na świętego Jana pada wieczór albo z rana, na świętego Izydora pada rano lub z wieczora". A czy ty, Zbyszku, nie umiesz przepowiadać?

- Umiałbym, gdybym miał ojca pod ręką. Kiedy mojego staruszka drze lewa noga, będzie padało na amen, a gdy prawa, będzie też padało, ale dłużej.

- Dzisiaj nie będzie padało. Zbyszku, gdzie jest twoja apokaliptyczna bestia?

- Żebym ja wiedział... Apasz! Apasz!

Czarny czort przepadł jednak bez śladu, jedynie w oddali, w wiosce ukrytej wśród wysokich drzew, podniósł się przeraźliwy psi rejwach i serdeczne narzekanie.

- On musi być tam - rzekł Zbyszek markotnie.

- Ja mam najgorsze przeczucia - powiedział Zenobi. - Ten kundel postawi na nogi wszystkie wsie po drodze.

Około południa, gdy skwar począł dopiekać, usiedli na skraju sosnowego lasu, pachnącego żywicą. Było tu cienisto i zacisznie. Rozwiązali jedną sakwę i wydobyli część zapasów.

- Radujmy się! - rzekł Zdzisław. - Pierwszy posiłek na wolności. Wziął na twardo ugotowane jajo z należytą powagą uderzył nim kilkakrotnie o głowę Zenobiego.

- Nie możesz tłuc jajka o drzewo? - zapytał z żywym zainteresowaniem Zenobi.

- Jajko należy tłuc o przedmiot należycie twardy. Znajdź sól, przyjacielu. Zbyszek, rozdziel chleb!

Zbyszek jednakże nie słyszał. Legł na gorącej trawie i patrzył w las rozszerzonymi oczami, jak gdyby po raz pierwszy w życiu ujrzał taką gromadę drzew. Tyle miał w spojrzeniu radosnego zdziwienie, że Zdzisław trącił nieznacznie Zenobiego. Tamten mrugnął porozumiewawczo. Szczęście biednego chłopczyny, najmilszego przyjaciela, pomnożyło ich szczęście. Nie mówili przeto nic, w milczeniu położywszy przed nim jego część. Ujrzał ją dopiero po długiej chwili; zdawało się, że powrócił z innego świata, pożegnanego westchnieniem.

Zbliżyła się do nich godzina senna, zamroczona zapachem lata, leniwa i jakby nieprzytomna, ciężka, południowa godzina.

Zaczęły się im kleić oczy, a wielka błogość owinęła ich miękkim dotknięciem. Zdzisław usiłował oprzytomnieć, gdy pociąg, wybijając swoim zwyczajem rytm heksametru, przebiegł po pobliskim torze, ale i jego zmogło woniami i błękitną ciszą nasycone upojenie. Dwaj towarzysze już spali, więc i on, w tym fachu najbardziej zaprawny, też usnął.

Po niejakim czasie Zbyszek poczuł, że ktoś go gwałtownie trąca. Zerwał się, nie wiedząc dobrze, gdzie jest i co się z nim dzieje. Nie mógł pojąć w pierwszej chwili, dlaczego znalazł się w lesie. Przetarł oczy i krzyknął przeraźliwie. Krzyk ten zatarmosił Zenobim, żadnego wrażenia nie uczyniwszy jedynie na Zdzisławie, który spał jak ósmy brat śpiący.

- Co ci się stało? - zduszonym z lęku głosem zapytał Zenobi.

- Patrz, patrz! - mówił rozpaczliwie Zbyszek.

Przed Zbyskiem, w oczy mu przenikliwie patrząc, siedział piekielny Apasz i najwyraźniej śmiał się; przed nim leżały smętne, mocno potargane zwłoki dorodnej kury, wszystkie zaś znaki mówiły, że zginęła śmiercią gwałtowną.

- Łotrze! - krzyknął Zenobi chwytając kij. - Co ty zrobiłeś? Pies miał minę zdziwioną. Poczciwie przyniósł kurę, którą przecie mógł zjeść na własny rachunek. Skądże przeto te zdumione i krzykliwe gniewy? Przystanął ostrożnie na stronie i patrzył.

- Uciekajmy! - mówił gorączkowo Zenobi. - Za chwilę cała wieś na nas się zwali... Wcałe bym się nie zdziwił, gdyby niedługo na trzech sosnach dyndało trzech wisielców... Nie! Nie trzech! Czterech! Czterech... Ten pies powinien wisieć pierwszy. Ach, ty podły kundlu! Zdzisławie, obudź się! Obudź się! - wrzasnął - musimy uciekać... Czy on umarł? A ty, psie, precz mi z oczów! Jeszcze tu?... Zdzisławie, obudź się!

Poczęli tarmosić przyjaciela gwałtowniej, niż się tarmosi topielca, aby z niego wytrząść niepotrzebny nadmiar wody. Śpiący krzyknął wreszcie przeraźliwie i porwał się w niebotycznym zdumieniu.

- Czy już dzień? - zapytał. - Czemu mnie budzicie?

- Musimy wiać - mówił gorączkowo Zenobi. - Przekłęty pies zamordował kurę.

- To niech on ucieka - krzyknął Zdzisław.

Wiedząc jednak z Sienkiewicza, że podczas nagłego alarmu należy najpierw uciekać porwawszy dobytek, a potem dopiero pytać, chwycił juki i choć snem zamroczony, po kilku minutach biegł ścieżyną na skraju lasu. Długo biegli w zdyszonym milczeniu, wreszcie Zbyszek jęknął:

- Ja już nie mogę...

- Trzeba zwolnić - rzekł spoconym głosem Zenobi - gdyż wszyscy popadamy. Usiedli na pochyłości kolejowego plantu i wszyscy obejrżeli się poza siebie.

- Więc nas gonią? - zapytał Zdzisław.

- Czy gonią, nie wiem - odrzekł Zenobi. - Ale powinni gonić... Opowiedział mu dokładnie o krwawym postępku Apasza.

- Widziałem tę kurę - mówił z namysłem Zdzisław.

- A gdzie jest pies?

Psa nigdzie nie było w pobliżu.

- Zapewne zjada w tej chwili obiad - mówił Zenobi.

- Wesół piesek, nie ma co! Uraczyłeś nas, Zbyszku, uraczyłeś, że nie można było lepiej.

- Ja nie wiedziałem... - zaczął Zbyszek płacząco.

- Czego nie wiedziałeś? Myślałeś zapewne, że twój pies jest takim dziwakiem, który się żywi szczawiem i marchewką? Ty we wszystko uwierzysz!

- Przestań, Zenobi! - krzyknął Zdzisław. - Stało się... Wiemy, że w uczciwej kompanii mamy złodzieja, a cała rzecz w tym, że go się trzeba pozbyć czym prędzej.

Zbyszek milczał ponuro i patrzył w stronę, z której przybiegli. Zabolały go wymówki Zenobiego. On naprawdę nie wiedział, że Apasz uprawia niegodny i rozbójniczy proceder. Co oni teraz zrobią z psem? Oby się tylko nie pojawił w tej chwili, bo go czeka jakaś krzywda...

- Co z nim zrobić? - zawołał gwałtownie Zenobi. - Zastrzelę go!

- Ejże! A z czego? Z kija? Spokojnie, spokojnie, Zenobiuszku... Popatrz na Zbyszka; wprawdzie jeszcze nie płacze, ale za chwilę zemdleje z bóleści.

- Ja do Zbyszka nie mam pretensji, ale z tym czworonogiem trzeba zrobić porządek. Przecie zaledwie wyszliśmy z miasta, a on już kradnie i morduje w biały dzień. Co będzie później? Przyłapią go, udowodnią, że to nasz pies, i będzie bał. Ja nie chcę towarzyskich stosunków z tym urwipółciem. Zdzisław milczał, zanim Zenobi wydyszał swój burzliwy gniew, a potem rzekł:

- Zbyszku, czy twojemu psu wielka stanie się krzywda, jeśli go zgubimy w drodze?

- Bynajmniej - odpowiedział głucho Zbyszek - to mądry pies...

- Dobrze! Otóż widzę stąd jakąś stację kolejową. Wsiądziemy w pociąg i za tanie pieniądze przejedziemy pewną przestrzeń, a potem pójdziemy dalej. Inaczej zawsze nas znajdzie. Czy tak będzie rozsądnie?

- Doskonale! - krzyknął Zenobi. - Chodźmy czym prędzej, bo pociąg może nadejść lada chwila. Wstawaj, Zbyszek!

Zbyszek jednak zapatrzył się w las jak urzeczony; ukrywając się zręcznie, indiańską modą, niemal pełzając przy ziemi wśród drzew, przekradał się Apasz. Przystanął i spoza rudego pnia sosny spojrzął wprost na swojego pana, tak że oczy ich się spotkały. Pies powiedział mu wyraźnie spojrzeniem:

"Widzę cię, ale się nie zbliżę, bo tamci mają do mnie złość. Nie troszcz się o mnie!"

- Zbyszek! W co ty się tak wpatrujesz? - zapytał podejrzliwie Zenobi. Zbyszek porwał się, jakby schwytyany na gorącym uczynku.

- Patrzę... tak sobie... chodźmy! - rzekł szybko. - Zamyśliłem się... Nie obejrzał się ani razu i szedł na samym przedzie z gorliwym pośpiechem. Dopiero po jakimś czasie, siedząc już w wagonie, wyjrzał nieznacznie przez okno: Apasz przysiadł za studnią i wychyliwszy głowę szpiegował.

- Bardzo ci przykro? - spytał miękko Zdzisław.

- Oczywiście - odrzekł Zbyszek. - Kocham tego psa. To wierny pies...

- Ale łotr spod ciemnej gwiazdy! - wtrącił Zenobi.

- Mój drogi - rzekł Zdzisław. - Pies jest psem. Bardzo wątpię, czy lew zapytuje Murzyna: "Czy szanowny czarny dżentelmen nie ma nic przeciwko temu, abym go zjadł?" Gdybyś przez sto lat tłumaczył Apaszowi, że mordowanie kur jest towarzyskim nietaktem, nigdy ci nie uwierzy.

- Istnieją przecie spokojne i dobrze wychowane psy...

- W tym rzecz! Jego, zdaje się, chował głód. Zresztą nie należy mówić źle o nieobecnych.

Był pies, nie ma psa... Na dobrą sprawę, gdyby był przy nas, można by go jako tako upilnować, ale dreszcz mnie przechodzi na myśl, co on teraz pokaże. Niedługo jajko w tej okolicy będzie kosztowało złotego, bo kury wyginą. Zbyszek! Rozchmurz twarz, bo się ciemno robi na świecie. A teraz się uśmiechnij! Dobrze... Za godzinę wysiadamy.

- Siedemnasta osiem - rzekł fachowo Zenobi.

W przedziale znajdował się jedynie jakiś mężczyzna izraelski, który patrzył na nich ciekawie. Od dawna chciał coś rzec, ale się wahał, teraz dopiero zapytał z żywym zainteresowaniem:

- Panowie daleko jedzie?

-Do Rzymu! - odparł ponuro Zenobi.

-Gdzie to jest?

-Za Skierniewicami.

-Może być... A czemu jajko ma kosztować złotego? Co znaczy: jedno jajko złotego?

-Ach, o to panu idzie, panie kupiec?

-Pewnie, że o to. Kurów nie ma być? Czemu nie ma być?

-Tak opowiadają... - odrzekł Zenobi niepewnie.

-Kto opowiada, kto? Ja jestem kupiec na jaja, no to chciałbym wiedzieć.

- Podobno jakiś pies dusi kury w tej okolicy - objaśnił Zdzisław.

- Słyszałem, jak panowie mówili... No, to co? Niech zdrów będzie! Jak on cokolwiek wydusza, będzie lepiej. Teraz jajka jest dużo, że się psuje i jajko kosztuje dwa grosze. Co można zarobić na dwa grosze? Pytam się. Czy to jest cena? Jak w Brazylii mają za dużo kawy, to ją wsypują w morskie wodę, aby utrzymać cenę. W Rumunii pomarańcze też wrzucali do oceanu. W te okolice jest tak samo. Zapytasz się, czy jest cielaki na sprzedaż, mówią, że cielaki nie ma, tylko jajka. Zapytasz o masło, nie ma masła, tylko znowu jajka jest. Jak tu żyć? Bardzo się cieszę, że ten pies ma kepele. On wie, co robi. Jak on wygląda?

- A skąd my możemy wiedzieć?

- To dziwne... Soli sajn gesind! Panowie nie wie, jak wygląda ten psina? To ja pana powiem... Jest czarny i taki wielki jak cielak.

- Skąd pan wie? - wrzasnął Zenobi.

- To nie jest sztuka wiedzieć. Jak panowie wsiadali na stacji, on się schował za pompę od studnie i spoglądał do tego okna. Ja bym jego kupił... To mądry burek musi być...

- Uciekajmy! - szepnął Zdzisław, nachyliwszy się do Zenobiego.

- Zaraz będzie stacja - odszepnął Zenobi, zaniepokojony. Gdy pociąg począł podskakiwać na skrzyżowaniach, wynieśli się czym prędzej z przedziału, uprzejmie pożegnawszy gadatliwego brodacza, który zapytał z głupia frant:

- Czy to już Rzym?

- To zaczyna być przeraźliwe! - mówił Zenobi, gdy znaleźli się na drodze. - Ten pies jest upiorem. Słyszeliście? Był na stacji i na oczy się nie pokazał.

- Rozumny pies! - rzekł Zdzisław z uznaniem. - Arcywyga! Podniesie cenę jaj w okolicy i wpłynie na giełdę. Wiesz, Zbyszku, co ci powiem? To bardzo pięknie ze strony Apasza, że nas nie opuścił i szedł naszym śladem, okazawszy poza tym wiele taktu, że nie chciał się nam pokazać.

- On zawsze był taki - odrzekł Zbyszek z przejęciem. Zenobi milczał, wzruszywszy ramionami.

Szli powoli ku zachodowi, okolicą żyzną i zbożną, ścieżkami wśród pól, nie tracąc z oczów gościńca, co od czasu do czasu dymił białym pyłem, zwijającym się w kłęby, gdy po nim przebiegł automobil. Odwalili pociągiem szmat drogi, postanowili przeto wędrować do zachodu słońca i pod wieczór dopiero rozbić obóz. Szli jednak nietęgo, nieprzywykli do wielkich marszów i do dźwigania tobołków. Po dwóch godzinach począł patrzeć jeden na drugiego, oczekując wezwania do spoczynku, żaden jednak nie chciał się przyznać pierwszy do utrudzenia. Nie było zresztą w pobliżu odpowiedniego miejsca na obóz, bo jak okiem sięgnąć, płasko położyły się pola i nigdzie nie było wody. Po niejakiem czasie dopiero, ciemną, skłębioną fontanną wytrysnęły na widnokręgu czuby drzew. Bez porozumienia skierowali się od razu w tę stronę. Szli ostatnim już wysiłkiem, coraz więcej pochyleni, a wspa- niałe drzewa były wciąż daleko.

- Najdłuższą jest zawsze ostatnia część drogi - stęknął Zenobi. - Która to może być godzina?

- Prawie siódma - odpowiedział Zdzisław spojrzawszy na zegarek.

- W takim razie, z małymi przerwami, jesteśmy od czternastu godzin na nogach. Do tych drzew będzie najmniej mila. Zbyszek, dychasz jeszcze? Zbyszek chciał odpowiedzieć, ale nie mógł. Pokazał ręką na Piersi i smutno się uśmiechnął.

- Za chwilę będziemy go nieśli... - rzekł zaniepokojony Zdzisław.

- Coś szemrze! - radośnie oznajmił Zenobi. - Cicho! Poczęli nasłuchiwać zaczaiwszy się w wielkiej ciszy.

- Woda! - krzyknął Zdzisław. - W tamtej stronie.

Za wzgórkim wydętym jak bochenek chleba (żytniego chleba, bo wzgórze szumiało żytem) wiła się wężowymi skrętami rozpadlina, obrzeżona jak rżęsami ciżbą karłowatych, w wiecznym strachu drżących osik. Na dnie mruczał strumyczek, zły i niecierpliwy, gdyż kamień zagrażał mu drogę. Nikły był to głosik, popłakiwanie rozżalonego smarkacza i tylko wspaniałe muzykalne ucho Zenobiego mogło go uchwycić.

- Co to jest? - przerażonym szeptem krzyknął Zdzisław i odskoczył. Tuż nad jego uchem rozdarł się triumfalny ryk spragnionej krowy, która ujrzała wodę.

- To ja się tak cieszę - zaśmiał się Zenobi.

- Przepadnij, trąbo jerychońska\*! Rycz, ile chcesz, ale nie nad uchem. Do roboty, chłopaki!

Duch się w nich naprężył, poczuwszy woń kielbasy. Jest to jedna z tajemnic ludzkiego ducha. Zrzucili z siebie juki i nie mieszkając poczęli ustawiać białe gniazdo namiotu. Był to smętny namiot i sądząc z żalostnego jego wyglądu można było śmiało przypuścić, że ochraniał ludzkie głowy już podczas odsieczy Wiednia. Namiot nieba zwisa jednak nieco dłużej i jest dobrze. Wsparty na szybko wyciętym osikowym kijku, zabielił się wdzięcznie na tle nieba pomalowanego w tej chwili na śliczny kolor, jakim się barwi pierś gołębia.

- Niech zapłonie ognisko! - z wielką powagą rzekł Zdzisław. - Zbyszku, przynieś wodę!

Owładnęła nimi gorączkowa radość, a znużenie opadło z nich jak zakurzone szaty z wędrowca. Poruszali się szybko i zręcznie. Zbyszek, który niedawno padał z nóg, krzątał się najżywiej; przyniósł wodę w blaszanym naczyniu i czekał, kiedy Zenobi wspaniałym oddechem rozżarzy tłący się ogieniek. Zdzisław wydobywał zapasy.

Zdaje się, że wielkie szczęście mieszka na szerokich polach pod wysokim niebem, bo gdy legli przy ogniu, w tej samej chwili uśmiechnęły się trzy twarze najszczęśliwszym uśmiechem. Tak było na całym świecie cicho, że słyhać było, jak czasem jeden kłós zboża otarł się o inny. Strumyczek popłakiwał cichuteńko, jakby i on usypiał. Znużony dzień owinał się we mgłę i zasnął.

- Gwiazdy, o, jakie gwiazdy... - szepnął Zbyszek.

Zdawało się im, że są jakieś inne, nieznane, czystsze i piękniejsze niż te, co drżą ponad zadymionym miastem. Trzej szczęśliwi przytulili się do siebie, patrzyli w niebo i słuchali wielkiej, głębokiej ciszy.

## V. Kto zjadł kielbasę?

Wspaniały namiot był nieco większy od parasola, toteż zaledwie do połowy okrywał trzy śpiące postacie; trzy pary nóg spało już poza granicami tego szczupłego domu. Mała ta niedogodność nie miała wpływu na znużony, głęboki sen dzielnych wędrowników, noc bowiem była pogodna i ciepła. Gdyby te trzy pary pedałów można było zapytać o zdanie, oświadczyłyby one z żywym zadowoleniem, że znacznie przyjemniej spało się im na powietrzu niż głowom w zaduchu płótniska.

O pierwszym świtaniu, gdy niebo na wschodzie zabarwiło się czerwienią i gdy zaszemrały liście na drżących, karłowatych osikach, z gęstwy zboża, rosistym mrokiem jeszcze zalanej, wypełznął czteronogi cień, kosmate widmo i poczęło się skradać ku namiotowi. Duch więcej budzi szelestów, niż ich czyniło to zjawisko. Naturalista rozpoznałby w nim od razu czarnego kundla. Był to Apasz, smętny, sponiewierany, niewypowiedzianie znużony; boki miał zapadłe i wynędzniałe, wzrok zgaszony, a wywalony język był widomym znakiem przebytego trudu. Rozejrzał się, spenetrował wszystko i począł ostrożnie kroczyć ku strumieniowi. To było najważniejsze: woda! Począł ją chłeptać zachłannie, z cichym mlaskaniem, ze szczęśliwym zachwytem. Wypił z nią zimny i krzepiący eliksir życia, więc się otrząsnął, aby się pozbyć drażniącego pyłu gościńca i zrzucić z siebie uciskające go znużenie.

Zdawało się, że woda przemyła mu zmacone oczy, bo spojrzął w stronę namiotu wzrokiem ostrym i przenikliwym. Bezszelestnymi krokami czarnego, kosmatego widma zbliżył się do trzech par nóg i lekko trącił środkową parę. Środkowa para nie zwróciła na to uwagi. Trzeba ją było obudzić sposobem gwałtowniejszym, przeto Apasz ujął jedną nogę zębami i począł ją ciągnąć lekko. Przerażona noga zbudziła czym prędzej głowę wewnątrz namiotu, a głowa wydała cichy okrzyk. Musiała równocześnie spojrzeć zdumionymi oczami i ujrzeć widmo, krzyk bowiem zgasł natychmiast, jak świeca gwałtownie stłumiona ręką.

Zbyszek wysunął się ostrożnie z namiotu. Pan i pies "padli sobie w objęcia". Chłopiec objął gwałtownie szyję Apasza, a pies zarzucił mu łapy na ramiona i mokrym pyskiem dotykał jego twarzy.

- Jesteś, jesteś... - szepnął chłopak.

Nagle znieruchomiał i zaczął nasłuchiwać. Nie... Nikt się nie zbudził... To Zenobi krzyknął przez sen zduszonym głosem. Nie można jednak rozmawiać w tym miejscu, tak blisko namiotu, z banitą wyświeconym z kompanii. Skinął na psa jak spiskowiec na spiskowca i ukryli się w krzakach ponad

woda; tam dopiero Zbyszek ująwszy głowę psa w obie ręce spojrzął mu w oczy.

- Coś ty narobił? - szeptał. - Coś ty narobił?

Pies skomlił cicho, ledwie słyszalnym skomleniem, złożonym z najcichszych jęków szczęścia, trwogi i żalu. Patrzył równocześnie na usta najdroższego człowieka, jak gdyby przyglądał się jego drżącym słowom. Pieścił się jego gorącym oddechem, a gdy człowiek położył rękę na jego głowie i pogłaskał ją, psie oczy zaszyły mgłą niewypowiedzianego zachwytu. O, niech głaszczcie, niech głaszczcie jak najdłużej!... Trzeba jednak słuchać, bo ten chłopiec, droższy niż cały świat i największe szczęście, znowu mówi ciepłym szeptem: - Musieli cię wygnać... Mordujesz niewinne stworzenia...

Mogłeś sprowadzić na nas nieszczęście... Taki pies, taki rozumny, wierny pies... - mówił Zbyszek z wyrzutem.

Apasz, szczwany wyga, spuścił oczy i niby się kajał. Rozumiał dobrze, o czym Zbyszek mówi, więc stroił miny bardzo skruszone. Wie o tym dobrze, że cała awantura rozpoczęła się od tej niemądrej kury. Mądrej głowie dość jedna kura. Można jednak już podnieść głowę, bo jego pan zmienił barwę słów, które z czarnych stały się czerwone gorącą czerwienią.

- Ileś ty przebiegł drogi, biedaku! Jak ty wyglądasz! Apasz... Apasz... mój kochany Apasz!

Dotknął rękami jego zapadłych boków jak rusztowania żeber obciążonych skórą.

- Musisz być głodny, straszliwie głodny... Lecz tutaj... Czekaj... Powtórzył swoje słowa znakami i starając się stąpać jak najciszej, powrócił do namiotu. Wpełznął, giętko i zwinnie jak wąż, i tajemniczo czynił tam historie, wypełznął bowiem z połową bochenka chleba i z resztą kiełbasy. Apasz pożarł ją jednym kłapnięciem, potem gryzł chleb zwilżony w potoku.

- Zbyszek! Gdzie jesteś? - zawołał Zenobi.

Chłopiec porwał się, jakby mu kto strzelił nad uchem. Apasz drgnął i najeżył kudły na szyi.

- Uciekaj! - szepnął chłopiec wskazując psu ręką kierunek. Apasz zrozumiał i jednym skokiem przesadziwszy strumyczek, przepadł.

- Zbyszek! Czyś się utopił?

- Tutaj jestem! Myję się...

Zaczerpnął wody w obie dłonie i chlusnął nią na głowę. Zenobi szedł ku niemu zataczając się, bo mocny sen jeszcze z niego nie opadł.

- Czemu porwałeś się tak wcześniej?

- Zimno mi było...

- A mnie, wyobraź sobie, coś ugryzło.

- Może wąż?

- Nie, coś mniejszego. Strasznie poza tym twardo na gołej ziemi. O, jak cudownie słońce wschodzi. Chodźmy budzić Zdzisława. Cokolwiek dłużej to potrwa, bo nie mamy armaty, ale są inne sposoby.

Zdzisława można było wziąć na plecy, sprzedać na jarmarku za wielkie pieniądze i wywieźć do Egiptu; tam byłby się może obudził. Spał potężnie, a tak roztropnie, że głową nie odpowiadał na żadne wrzaski ani tarmoszenia, jedynie nogami bronił swojego prawa do snu. Wierzgał przez sen dość ruchliwie i zręcznie.

- Nie damy rady - mówił Zenobi. - Trzeba go wrzucić do wody albo czekaj no... Jest tam jeszcze kawał kiełbasy... Znajdź ją prędko, gdy ją poczuje, zerwie się natychmiast!



- Czyżby?... - niepewnie zapytał Zbyszek.

- Powiadam ci, że się zerwie! Daj kiełbasę...

Zbyszek pochylił się nad plecakiem i bardzo długo szukał. Zenobi tymczasem, chwyciwszy przyjaciela za nogi, wyciągnął go spod namiotu na zroszoną murawę.

- Dziwna rzecz... nie ma kiełbasy... - powiedział Zbyszek cicho.

- Jak to: nie ma? Myszy zjadły?

Zbyszek nie odpowiedziawszy odwrócił się.

W tej chwili Zdzisław, poczuwszy zapewne zimno rosy, obudził się, podniósł się niespodziewanie i jakby błędny zaczął iść przed siebie.

- Stój! Dokąd idziesz? - krzyknął Zenobi.

Zdzisław przystanął, jakby schwytyany na arkan krzyku, rozejrzał się ze zdumieniem i zapytał:

- Co się stało właściwie?

~ Nic się nie stało, tylko ty dostałeś kołowacizny, a kiełbasa zniknęła. ~ Jaka kiełbasa?

Widać było, że duch Zdzisława z trudem wraca do swojej stałej siedziby, na wzmiankę jednak o kiełbasie z nagłą tę czynność przyspieszył.

- Taka kiełbasa - odrzekł Zenobi drwiąco - którą mieliśmy zjeść na śniadanie. Ale nic nie szkodzi, będziemy jedli żaby. Teraz dopiero Zdzisław pojął ogrom klęski.

- Czy nas okradli? - krzyknął z przestachem. - Niczego nie poczułem.

- Ty byś nie poczuł, gdyby ciebie samego ukradli. Przejrzałem rzeczy, nic nie zginęło, tylko tę nieszczęsną kiełbasę porwali diabłowie!

- Ja ją zabrałem! - krzyknął nagle Zbyszek, tak czerwony jak rozkwitły mak. W jego głosie drżała tłumiona rozpacz. - Ja ją zabrałem - powtórzył nieco ciszej - i pół bochenka chleba!

Spojrzeni na niego ze zdumieniem, nigdy bowiem nie podnosił głosu.

- Ty zabrałeś? - zapytał przeciągle Zenobi. - No to wszystko w porządku. Czemu jednak nie powiedziałaś od razu?

- Wstydzilem się... - bąknął Zbyszek niepewnie.

- Czego? - zaśmiał się Zdzisław. - Gdybym się był obudził wcześniej, ja byłbym urwikiełbasą. Kto rano wstaje, temu Pan Bóg kiełbasę daje. A nie mogłeś, kanibalu mięsożerny, zostawić odrobiny dla przyjaciół?

- Bardzo was serdecznie przepraszam... Bardzo przepraszam... Zdzisław się nie gniewa, a ty, Zenobi?

- Ja? Dlaczego miałbym się gniewać? Stało się... Nie ma o czym mówić... Przynieś wody, napijemy się herbaty... Przynajmniej herbaty... Zbyszek spojrzał na niego z takim roztkliwionym żalem, że Zenobi powoli się odwrócił. Zdzisław zbliżył się do niego szybko, gdy Zbyszek oddalił się ku ruczajowi.

- Czego od niego chcesz? Zjadł, to zjadł. Czemu stroisz miny i ciągniesz słowa jak smołę? Zbyszek miał łzy w oczach!

- Wiesz, że go kocham - odparł Zenobi cicho. - Jesteśmy jednak w podróży, jakaś dyscyplina być musi. On zjadł dzisiaj nasze wspólne śniadanie, a ja zjem jutro czekoladę, a ty ser i co będzie?

- Słyszałeś jednak, jak serdecznie nas przeprosił?

- Słyszałem i teraz mi jest głupio, że do niego niezręcznie zagadał. Zaraz to załatwię.

Zbyszek zbliżył się patrząc w ziemię.

- Zbysiu - rzekł Zenobi - mam wrażenie, żeś się rozżalił. Daj pyska, bracie, i śmiejmy się.

Objął go serdecznie i ucałował. Rozmowa jednak nie mogła się jakoś skleić i więcej było pogody na niebie niż na ziemi. Skowronek, szara grudka ziemi w ptaszka zamieniona, zawiesił się na błękitnie na cieniutkiej niteczce śpiewu i chwalił boży poranek. Na kłosach żyta migotały diamentowe rosy. Żółty kwiat zachwiał się pod złotym ciężarem pszczoły, po czym prostował się, obrabowany. Cała ziemia dymiała świeżym, świetnym zapachem poranka. Zbyszek rozpałał ognisko, a tamci dwaj poszli nad potok, aby zmyć sen z oczów; Zenobi cokolwiek zawstydzony, Zdzisław roześmiany do siebie, do nieba, do ziemi i do wszystkiego, co na niej żyje. Zanurzył łeb w wodzie i parsknął jak hipopotam, tak rozgłośnię, że niewinne ptaszę, na kamieniu stojące i merdające ogonkiem, zerwało się w przerażeniu.

- Czemu uciekasz, idioto? - zaśmiał się Zdzisław.

- Co mówisz? - zapytał Zenobi.

- Gadam z ptaszkami, nie z tobą. Co ty tam węszysz? ~ zapytał ciekawie, widząc, jak Zenobi pochyliwszy się nad grząskim brzegiem wody pilnie się czemuś przygląda.

~ Ciekawa rzecz, Zdzisławku... - powiedział Zenobi ściszym głosem. - Zbliż się tutaj! Czy widzisz?

- Błoto? Widzę...

- A na błocie?

- Mało zabawne rzeczy można ujrzeć na błocie. Coś tu jest jednak, jakieś ślady... Jakiś zwierzak wędrował tędy albo pił wodę. Czy umiesz czytać ślady jak Winnetou, czerwonoskóry dzentelmen?

- Umiem.

- I wiesz, jaki zwierz tędy przechodził?

- Wiem: kiełbasa.

- Powtórz jeszcze raz, a dopiero wtedy uderzę cię w brzuch.

- Tędy przeszła nasza kiełbasa. Spójrz: tu stał Zbyszek, a tu Apasz, nadziany naszą kiełbasą. Rozumiesz teraz? Zdzisław cicho zagwizdał.

- To doskonała historia! Pomyśl sobie, że mi się w głowie nie mogło pomieścić, aby Zbyszek mógł wziąć cośkolwiek dla siebie samego. Więc ten opryszek tu był, a Zbyszek go nakarmił! Słowo daję, że mi się to podoba. Zaczne chłopisko, rozczulające chłopisko... Kocham go dzisiaj więcej niż wczoraj. Nagadałeś mu nieprzyjemnych rzeczy, a on nic...

- Darować sobie nie mogę... - mówił Zenobi zamyślony.

- Ale ten pies to jakiś nadzwyczajny magik! Przecie on przebiegł ze trzydzieści kilometrów. Pomyłony jest na temat Zbyszka, a Zbyszek pomyłony jest na temat Apasza. Gdzie się drab podziewa w tej chwili?

- Pewnie spogląda na nas z ukrycia i będzie szedł za nami, czarny Belzebub. Czy powiedziec Zbyszkowi, że wiemy o jego wizycie?

- Broń Boże! Niech sobie idzie naszym śladem, bo widocznie stanął między nimi taki układ.

- To oni naprawdę z sobą gadają?

- Nie ulega wątpliwości. Cicho... Zbyszek!

- Herbata gotowa! - rzekł Zbyszek nieśmiało. - Jeszcze raz was przepraszam, że nie ma niczego do herbaty.

- Jajka są tanie w tej okolicy! - zaśmiał się głośno Zdzisław. - Znajdziemy jakąś wioskę i zjemy śniadanie.

Począł wykrzykiwać i rechotać i taki czynił zgiełk, że się wszyscy roześmieli. Spakowali manatki, zwinęli namiot i Zdzisław wziął go na plecy.

- Życie nie jest tak ciężkie jak ten przeklęty namiot, a dzisiaj będzie się nam szło trochę gorzej niż wczoraj.

- Czemu gorzej?

- Bo nie umiemy chodzić. Wierzę jednak w nasze nadludzkie talenty. O, pociąg nadjeżdża!

Przystanęli na skarpie, machając rękami powitalnie w stronę pociągu. Nagle z jednego okna wyleciał radosny krzyk:

- Zenobi! Zenobi!

- Tata! - wrzasnął zdumiony Zenobi. - Dojrzał mnie... Krzyczcie, krzyczcie! Który ma chustkę?

Podnieśli równocześnie i ręce, i wrzask tak wielki, że spłoszony pociąg uciekł czym prędzej.

- Co za spotkanie - zaśmiał się nerwowo szczęśliwy Zenobi. - A to staruszek będzie dopiero w domu opowiadał! Nie widzieliście: śmiał się czy był zagniewany?

- Gdyby był zagniewany, toby ciebie nie wołał, ale rzuciłby z okna pustą butelką. Ucieszył się!

Zenobi patrzył rozrzuwionym wzrokiem w tę stronę, w której pociąg znikł w lesie; po długiej dopiero chwili ruszył w drogę, uśmiechnięty.

- Stara Polska jeździ, a młoda nie ma za co chodzić piechotą - rzekł ni z tego, ni z owego Zdzisław. - Zapamiętajcie to sobie, gdyż jest to tak zwana "złota myśl". Złote myśli tym się różnią od zwyczajnych, że układają je ludzie genialni, a zwyczajni ludzie nic sobie z tego nie robią. Dlatego mało mam nadziei, abyście mnie pojęli.

- Takie to mądre, że gdyby w tej chwili był jaki pies, toby zawył - rzekł Zenobi.

Zbyszek na wzmiankę o psie obejrzał się niespokojnie. Tamci mrugnęli ku sobie porozumiewawczo.

- Widać wieś! - zawołał skwapliwie Zenobi.

- "Wsi spokojna, wsi wesoła"! - gadał Zdzisław - przytul znużonych wędrowników i przywitaj ich bocianim klekotem i rykiem krów. Ryknij, Zenobi, a może ci co krowiego odpowie. Napijemy się mleka, podróżnicy! Rażno kroczyli zapyłoną drogą, płynącą jak sucha rzeka przez biedną wieś. Kilkoro płowych pędraków przezornie chowając się za płoty patrzyło bławatami ocząt na trzech dziwnych ludzi z garbami na plecach. Gdy przysiedli na darni pod drzewem, zaroilo się od bladych, umorusanych dzieci, okazujących swój podziw, zachwyt i strach starożytnym sposobem: przez włożenie jednego lub dwóch palców do ust. Z chłodnego cienia wylał stary, śmiertelnie sfatygowany kundel, tak oblazły, że nawet pchły nie miały żadnego interesu w przebywaniu na tym terenie, i usiłował zaszczekać, nie ze złości, lecz z uczciwego psiego obowiązku; to, co z siebie wydobył, było raczej do zdartego buta podobne niż do głosu. Wtedy ukazała się na progu podejrzliwie patrząca kobiecina.

Zenobi, pięknie zagaiwszy rozmowę, okrężną drogą zapytał o chleb, masło, ser, mleko, miód, jaja i o te wszystkie drobne owoce ziemi, którymi dobra Rzepicha, żona Piasta, syna Koszyczka, karmiła witeziów,

żupanów i kmiociów. Kobięcina nastawiwszy ucha słuchała pilnie i poczęła uśmiechać się tak rzewnie jak człowiek, któremu opowiadają o cudach nieba i o rajszych słodyczach. Smakowite nazwy padały tak ciężko jak złote krople miodu na jej serce. Po dłuższej rozmowie okazało się, że niczego nie ma prócz kilku jajek, którymi trzeba nakarmić dzieci.

To samo powtórzyło się w drugiej wsi i trzeciej.

Skręcili na polne drogi, bardziej miękkie niż gościniec i nie tak beznadziejnie proste. Jasność jarzyła się nad polami, upał wielkim zwiślał ciężarem. Słońce prażyło zboża, bo wielki już czas był, aby wyzłocić bladą ich żółtość.

Przepiórki wydzwaniały swoje pszeniczne godziny. Po cieniutkiej łodydze żyta, chyląc ją gwałtownie, drapała się ku kłosowi ruda myszka jak wspaniała chiński gimnastyk, co mknie w górę po gnącym się bambusowym kijku. Zaskrzybiał konik polny jak grajek, co nie nasmarowanym smykiem szarpie niedźwięczną strunę.

- Słyszycie? - rzekł Zdzisław. - Musieliśmy o tym powsinodze uczyć się na pamięć wierszów, dlatego że chciał pożyczyc od pracowitej mrówki.

- Nie oczerniaj go! - zawołał Zenobi. - Stokroć wolę tego śpiewającego młodziana niż czarną, kąśliwą mrówkę.

- Ha! - krzyknął Zdzisław. - Dlaczego, przewrotny człowieku, wieszasz psy na mrówce?

- Bo ta mądra mróweczka od wieków oszukuje ludzi; nawet Salomonowi zamydliła oczy! Pracuje, krząta się, biega nieprzytomnie, ani na moment nie odpocznie i sama nie wie, po co to robi. Po co dźwiga ciężar dziesięciokrotnie od niej większy i wcale jej niepotrzebny? Buduje, zbiera, gromadzi i nikomu z tego nic nie da, bo od razu wysyła mordercze wojsko, aby rozszarpało jakiegoś biedaczynę. Jest to obłudnie pokorne stworzenie.

- Ale mądre!

- Jakaż to mądrość ciągnąć sosnową igiełkę, a skoro jej odbiorą sosnową igiełkę, chwycić żdźbło, a gdy jej odbiorą żdźbło, dźwigać słomę? Przyniesie, rzuci i znowu biegnie. To furia, a nie praca, smutne opętanie bez wytchnienia i bez radości.

- Zbyszek, słyszysz?

- Słyszę i bardzo mi się to podoba.

- Patrzcie, patrzcie! Więc śpiewający leń, konik polny, jest lepszy?

- Większy z niego pożytek!

- Trzymajcie mnie, dobrzy ludzie! Jaki pożytek? Co ten bałwan robi?

- Śpiewa. Nic innego nie robi, ale to dość. Jest, oczywiście, lekkomyślny, bo to szeroka, wesoła, cygańska natura taki muzyk i dlatego mrówka, dusigrosz, sknera i kutwa, odmówiła mu pomocy. Możesz się ze mnie śmiać, ale jest mi niemiło, gdy patrzę na mrówkę, a niezmiernie mi przyjemnie, skoro słyszę chór polnych koników. Gdy słyszę konika, zdaje mi się, że to biedny grajek gra biednym ludziom. I temu zbożu zapewne jest przyjemnie, i tym kwiatom, i cały letni dzień się cieszy. A mrówka? Przyrządza konfitury na zimę. Sama ich nie zdoła zjeść i drugiemu nie da. Oświadczam uroczyście, że nie pójdę do mrówki uczyć się mądrości. A was, koniki polne - krzyknął donośnie - kocham, kocham!

- Czytałem - rzekł nieśmiało Zbyszek - dziwne zdanie:

- "Ach, to tym piękniejsze, im mniej użyteczne". Prawie to samo i ty powiedziałaś. Księżyc żadnego nie przynosi pożytku, a jest piękny!

- Teraz ja ci powiem - zaśmiał się Zdzisław - że się grubo mylisz z tym księżycem. Pytał raz jeden drugiego: "Powiedz mi, co jest bardziej na świecie potrzebne: słońce czy księżyc?"

- "Słońce, oczywiście!" - odrzekł roztropnie zapytany. - "A nieprawda! Księżyc jest bardziej potrzebny, bo świeci w nocy, kiedy jest ciemno, a słońce świeci w dzień, kiedy i tak jest jasno!"

Wy buchnęli śmiechem wszyscy trzej.

- Wyborny kawał! - rzekł Zenobi. - Ale jeśli już mówi o księżycu... Czy czytaliście Makuszyńskiego: "O dwóch takich, co ukradli księżyc"?

- Morowa książka - uśmiechnął się Zdzisław. - Ten Makuszyński to mi się wydaje taki sam pomyłony jak twój konik polny. Ty, Zbyszku, czytałeś?

- No chyba!

- Więc cóż z tym księżycem, Zenobiuszku?

- W tej książce jest taka scena, kiedy to ludzie ze złota, dokoła których wszystko jest złote, oddaliby wszystkie skarby za kawałek zwyczajnego chleba.

W tej chwili zdaje mi się, że jesteśmy takimi złotymi bałwanami. Mamy pieniądze i nie możemy niczego kupić. Gdybym teraz znalazł worek brylantów, wrzasnąłbym z rozpaczą jak ów Arab, co krzyknął po arabsku: "Myślałem, że to kasza, a to diamenty!" i zaraz potem zwariował. Jestem tak głodny, że gdybym miał pod ręką ścianę, uderzyłbym o nią głową. Nie widać gdzie takiej ściany?

- Głowy też nie bardzo widać. Musi to być twoje osobiste urojenie - śmiał się Zdzisław. - Czekaj no! Przecie mamy czekoladę... Jest w twoim plecaku. Stań no, Zenobi!

Zenobi, jakby nie dosłyszał, szedł dalej i przyspieszył kroku.

- Stań, mówię ci! - krzyczał Zdzisław.

- Daj pokój - rzekł cicho Zbyszek. - Już nie ma czekolady...

- Jak to: nie ma? Przecie była...

- Kiełbasa też była i nie ma kiełbasy.

- Zenobi zjadł czekoladę, sam?

Gdzie tam! Gdyśmy wychodzili ze wsi, Zenobi oddał chyłkiem wszystką czekoladę dzieckom... Tyle tego było, co wróbli... Szkoda, żeś nie widział ich min na widok czekolady... Byłbym im wszystko oddał.

- To on dlatego tak hańbił mrówki - zaśmiał się cicho Zdzisław. - Ach, ty koniku polny!

- Widać jakieś miasteczko! - wrzasnął od przodu Zenobi, Jak marynarz, co obwieszcza ziemię. - Jeśli i tu są tylko jajka, to podpalę ten gród na czterech rogach.

## VI. Diabeł niszczy pudełko sardynek

Miasteczko drzemało sobie nad płytką rzeką i sądząc z tego, że opasłe wieprze odbywały powolne przechadzki po rynku "dla przemiany materii", musiało być rządzone przez dobrotliwego burmistrza. Zegar na wieży wskazywał niezgodną z istotnym stanem rzeczy godzinę, co dowodziło, że czas jest tu tyle wart, co zgniłe jabłko. Było go za wiele, nie wiadząco, co z nim począć, więc został zatrzymany. Niech sobie stoi! Nie uczynili tego ludzie, lecz jakaś wrona, usiadłszy na dłuższej wskazówce zegara. Czas jest w małym miasteczku tak znudzony i tak wycieńczony tępą nudą, że zdołała go zatrzymać głupia wrona, a ludzie nawet nie zwrócili na to uwagi. Po co komu zegar? Kogutów jest dość i wszystkie pieją dokładnie. Gdy otwierają aptekę, jest godzina ósma, gdy pan doktor idzie na piwo, jest siódma wieczorem, gdy wraca, jest dziesiąta. Każda godzina ma swojego nieomylnego patrona, który ją dokładnie znaczy.

Przybycie trzech zakurzonych młodzieńców, uginających się pod ciężarem niesionego na plecach

dobytku, nie sprawiło żadnego wrażenia w handlowych sferach miasteczka. Każdy człowiek rozsądny wiedział o tym doskonale, że prędzej umarły przyszedłby kupić sobie świeczkę, aniżeli wędrujący uczeń kupiłby cośkolwiek, doświadczone zaś oczy poznały od razu uczniowskie gęby. Przyszli, przejdą i pójdą.

Stało się jednak coś przeraźliwego i coś przeciwnego naturze. Trzej młodzieńcy długo się naradzali, przystanąwszy na rynku, po czym zwrócili się do sennej gromadki tubylców z żywym zapytaniem, gdzie by tu można co zjeść? Gdyby granat padł na ratuszową wieżę, mniejsze uczyniłoby to wrażenie. Trzech łapserdaków chce jeść, trzech kapcanów będzie jadło! Dreszcz wstrząsnął miasteczkiem i wieść biegła wzdłuż uliczek, pukając w szyby okien. Ze zgiełkiem i wrzaskiem zaczęto im dawać roztropne rady, wreszcie rozgarnięty niedorostek, zapewniwszy sobie odpowiednie honorarium, zawiódł ich do zacisznej jadłodajni, najwyższej rangi, bo sam doktor pija tutaj piwo. Byłoby niejaką przesadą twierdzenie, że jadłodajnia ta mogłaby zrobić furorę w Paryżu lub w Londynie, była jednak, jeśli nie przytulna - to przylepna, gdyż Zenobi, położywszy rękę na stole pokrytym ceratą, nie mógł odlepić ręki. Miał wrażenie, że jest muchą schwytaną na lep. Porównanie nasuwało się łatwo, gdyż taką ilość much razem zebranych jak w tej zacisznej jadłodajni nie zawsze można ujrzeć; może dlatego zupy w niej były zawiesiste i gęste.

Przyjęto ich tu z zachwytem i ze staropolską gościnnością i nakarmiono wprawdzie nie wykwiłnie, lecz obficie. Dano im jakąś przedziwną potrawę, o której zdania były podzielone: czy to jest pieczona cielęcina, czy kalosz, czy też kawałek opony z automobilowego koła. Ogórek jednak z całą pewnością był ogórkiem. Ponieważ zachłanna furia głodu doprowadziła ich do szaleństwa, wazyli się na zjedzenie trzech ciastek i wtedy to okazało się, jak szczęście sprzyja podróżnikom i jak los o nich myśli. Zenobi znalazł w swoim ciastku sznurek, więc przedmiot niesłychanie w podróży potrzebny, a Zbyszek metalowy guzik. Jakże często szukamy w podróży guzika. Zatrzymali w tajemnicy znalezione przedmioty, aby im nie podniesiono ceny. Nasyciwszy się ponad ludzką miarę, odpoczywali wyciągnawszy nogi; Zdzisław, korzystając z nieuwagi towarzyszy, chciał chyłkiem zasnąć, lecz nie zdążył przymknąć oczów, gdyż do jadłodajni wszedł dziwaczny gość. Przystanął niepewnie w drzwiach, rozejrzał się nieufnie i zbliżył się powoli do stolika. Miał twarz miłą, lecz zbiedzoną i zafrasowaną. Od czasu do czasu chwycił się nagłym ruchem rąk za głowę, jak gdyby głowa miała pęknąć, a on pragnął powstrzymać rozsypujące się klepki. Najmniejszej uwagi nie zwracał na muchy, zajęty tym trzmielcem, co mu huczał w głowie. Kazał sobie podać piwo i zaczął je pić w nerwowym roztargnieniu, nie spojrzawszy nawet na tych kilka much, którym sennie i nudne życie tak obrzydło, że w radosnej żądzy samobójstwa utopiły się w szumiącej pianie piwa. Odstawiwszy szklanekę, znowu schwytał się za głowę, która znowu chciała się rozpaść jak zbyt dojrzały owoc. Potem się wstrząsnął, jakby go opadł nagły mróz, chociaż w jadłodajni tak było gorąco, że kiełbasa, stara i na kość wyschła, wisząca na ścianie, rosistym była okryta potem.

Najdziwniejsze było, że w tych krótkich chwilach, kiedy głowa tego pana nie zdradzała chęci rozpadnięcia się, pilnie przyglądał się trzem młodzieńcom. Sprawiał takie wrażenie, że pragnie do nich zagadać, lecz nie ma odwagi. Znowu westchnął i znowu chwycił głowę w ręce, jakby ją chciał oderwać i cisnąć daleko od siebie.

- Ten dzentelmen ma jakieś ciężkie zmartwienie - szepnął Zenobi. - Zostawmy go samego.

Zdzisław podniósł się niechętnie i począł nakładać juki na plecy.

- Za pozwoleniem - rzekł nieśmiało nerwowy człowiek. Zwrócili się ku niemu i grzecznie skłonili głowy.

- Za pozwoleniem... - powtórzył jegomość i chwycił się za stroskaną głowę. - Panowie już odchodzą?

- Tak jest, panie - odrzekł Zdzisław. - Odbywamy podróż po kraju...

- Rozumiem, wakacje... I nie będziecie tu nocowali?

- Ależ nie, szkoda pieniędzy! My nocujemy w polu.

- Jak to: w polu? W szczerym polu? Panowie się nie boją?

- Czego? - uśmiechnął się Zenobi.

- Czyja wiem? Diabła... duchów...

- A pan by się bał?

- Bałbym się! - krzyknął ów jegomość.

Głowa jego, napełniona nagłym okrzykiem, znowu usiłowała uczynić coś bardzo lekkomyślnego, gdyż chwycił ją w obie dłonie. Wzruszyło to Zbyszka, więc zapomniawszy o tym, że nigdy nie należy pytać nikogo o jego tajemne sprawy, zapytał serdecznie:

- Czy pana boli głowa?

Jegomość spojrział na niego przestraszonym wzrokiem, potem krzyknął:

- Dlaczego ma mnie boleć głowa? Młodzieńcze! Mnie nic nie boli, ale ja jestem wariat! Wariat jestem... Mam pomieszanie zmysłów...

- Masz, babo, placek... - szepnął Zdzisław.

- Dlatego przyszedłem tu za wami - szepnął obcy najspokojniej w świecie.

- Jeśli ma rewolwer, będzie po nas - szepnął na odmianę Zenobi.

Dziwny człowiek mówił zbiedzonym głosem:

- Przepraszam panów... Może was nastraszyłem... Mówiąc, że jestem wariatem, chciałem powiedzieć w zrozumiałym skrócie, że mi głowa pęka.

- Aha! - rzekł Zdzisław uradowany. - A co my na to możemy pomóc?

- Czy ja wiem? Ale ja się wszystkiego czepiam. Tu w tym zakazanym miasteczku nikt mi nie pomoże, bo się każdy boi, tak zresztą jak i ja. Pomyślałem sobie: może jaki obcy? Nagle ujrzałem was... Myślę: chłopaki pierwszej klasy...

- Dziękujemy panu...

- Nie ma za co. (Schwycił się za głowę). I jeszcze myślę:

- Jakieś skauty, jakieś uczniaki... Taki to się niczego nie boi... Gołe to i głodne...

- Bardzo bystra i trafna uwaga - wtrącił z powagą Zenobi.

- I dlatego poszedł pan za nami?

- Dlatego. Niech mi panowie wybaczą to dziwne zachowanie, ale jestem już u kresu rozpacz. (Schwycił się za głowę). Pomóżcie mi, błagam was, pomóżcie mi.

- Ale w czym? - zapytał Zdzisław.

- Jeśli wam powiem, nie będziecie się śmiali?

- Nie śmiejemy się z cudzych zgrzyot.

- Młodzieńcze, mówisz jak filozof. Ale, za pozwoleniem... Napijcie się piwa? (Schwycił się za głowę).

- Bardzo dziękujemy, ale nie.

- Może chcecie co zjeść? Nie? To dobrze! Najwięksi truciele nie truli tak jak ta jadłodajnia...

- Dziękujemy za pociechę, bo już jesteśmy jedli - rzekł Zenobi ponuro.

- To nic! Czasem, gdy kto ma szczęście i strusi żołądek, ten będzie żył. Wy (schwycił się za głowę) zdaje się możecie jeść kamienie... Ale do rzeczy, do rzeczy, bo wieczór zapada... Panowie! Siedzi przed wami człowiek bardzo nieszczęśliwy!

- Czy skrzywdził kto pana? - zapytał Zbyszek ze współczuciem.

- Tak, młody człowieku!

- Kto taki?

- Diabeł! (Schwycił się za głowę).

- Znowu go wzięło! - szepnął Zenobi, a głośno rzekł:

- Bardzo nam żal, proszę pana, ale diabłu nie damy rady.

- Może dacie, może dacie! Śmiałe serca, niewinne dusze... Trzech was jest. Panowie! Błagam was, posłuchajcie tylko, o co idzie.

- Cóż robić? Niech pan mówi...

- Jest taka rzecz: w zimie umarł mój wuj, zacny człowiek, i zapisał mi dom, piękny dom, dwa kilometry stąd, nad rzeką, w lesie. Dom jest stary, ale widok z niego jest prześliczny. Długo stał zabity deskami, bo w nim nikt nie mieszkał. Przyjechałem przed miesiącem, aby w nim zamieszkać, i uciekłem. (Schwycił się za głowę). Pierwszej nocy od razu uciekłem.

- Czemu, czemu?

- Bo w tym domu zamieszkał diabeł. Co ja mówię: diabeł? Czterech diabłów, pięciu diabłów z żonami, dziećmi i z ciotkami! W piekle musi być ciszej i spokojniej niż w tym moim domu. Coś zaczęło wyc, jęczeć, płakać i ryczeć... Krzesła latały w powietrzu, a gdy łożko, na którym leżałem, zaczęło stawać na tylnych nogach, uciekłem przez okno.

- Oj, oj! - stęknął Zbyszek. - A we dnie?

- Powróciłem nazajutrz z ludźmi i przeszukaliśmy cały dom. Wszystko stało na swoim miejscu, tylko w kuchennym piecu znaleźliśmy gorący popiół i żarzące się węgle. Wynająłem dwóch odważnych ludzi, a jednym był grabarz, aby spędzili tam noc. I oni też uciekli. (Schwycił się za głowę). Stolarzowi ktoś pomalował całą gębę na zielono, a grabarzowi na czarno. Powiedzcie mi, czy może człowiek zwariować?

- Może! - odrzekł Zdzisław z głębokim przekonaniem.

- Nikt już więcej nie próbował?

- Owszem, nawet kilku, ale każdy uciekał prócz jednego, co zemdłał, i tego rano znaleźli nad rzeką. Co ja mam robić, szlachetni młodzieńcy? Chyba podpalę ten dom.

- Niech go pan sprzeda!

- Komu? Na dziesięć mil dookoła wszyscy wiedzą, że w nim straszy, a mieszkańcy tego miasteczka obchodzą go kilometrami. Gorzej, proszę panów! Uczciwe duchy straszą w nocy, ale te z mojego domu straszą nawet w biały dzień. Zalaźł w pobliże jakiś pastuch z krowami i też uciekł. Taki straszny ryk rozległ się w domu, a przez komin ukazała się taka okropna postać, że biedny chłopak ledwie żywy dobiegł do miasteczka, w którym ja od miesiąca siedzę i płaczę. (Schwycił się za głowę). W nocy tutaj śpię, a we dnie idę tam i z bezpiecznej odległości patrzę na własny dom, który do diabła. Jedni natrzęsają się ze mnie, drudzy mnie a ja tracę rozum.

- I my mamy panu pomóc?

- To moja ostatnia próba. Pomóżcie mi, drodzy, kochał panowie! Zbadajcie tę sprawę... Spędźcie tam jedną noc a może się wam uda odsłonić tajemnicę. Ja (schwycił się za głowę) jestem człowiekiem



zamożnym i ogłosiłem nagrodę i tego, co przez jedną noc tam wytrwa do białego świtu. Zdzisław trącił Zenobiego w bok.

- Jak uważasz, co?

Zenobi milczał zamyślony, potem rzekł:

- Niech pan nas na chwilę zostawi samych.

Jegomość zerwał się z błyskiem nadziei w oczach i szepnął gorąco:

- Przejdę do drugiej izby...

Złapał się za głowę i wybiegł w podskokach.

- Przedziwna heca - mówił szybko Zdzisław i niespodziewanie mimo woli schwycił się za głowę. - Odważy się z was który?

- A ty? - zapytał przezornie Zenobi.

- Ja bym poszedł... Spróbujmy. Będzie gorąco, to uciekniemy. Zbyszek, boisz się?

- Trochę się boję. To nieczysta sprawa, ale jeśli wy pójdziecie...

- A może temu panu coś się przywidziało? - pytał Zenobi.

- Trudno, żeby się stolarzowi przywidziało, że go pomalowano na zielono. Dziwny to jednak diabeł, co używa farby. I wesoły jakiś czort. Nie robi żadnej krzywdy, tylko stroi psie figle. Ja myślę, że przez noc wytrzymamy! Długo jeszcze rozmawiali szybkim, gorącym szeptem, Cokolwiek byli bladzi, gdy Zenobi przywołał nerwowego właściciela domu.

- Pójdziemy! - rzekł.

Wspaniałe to słowo drżało niewidocznie i gdyby miało nogi, widać by było, jak się pod nim nogi trzęsą.

- O zbawcy! - krzyknął jegomość. - Chodźcie ze mną do tego mieszkania. Człowiek z pękającą głową mieszkał niedaleko. Pozostawił ich samych, a sam wybiegł i po niedługim czasie powrócił z koszem nadzianym jadem i napojem.

- Nie będziecie spali, więc będziecie jedli... Wszystko tu jest... Szynka, bułki, sardynki, masło i owoce... A to są świece...

- A na co ten powróż?

- Może trzeba będzie kogo związać. (Schwycił się za głowę). A to rewolwer! To nic,

że zepsuty i nie ma do niego ładunków, ale człowiek zawsze raźniej się czuje... O cudowni chłopcy! Dostaniecie nagrodę. Chcecie połowę od razu?

- Żadnych zaliczek! - rzekł Zenobi. - Bo jeżeli będziemy musieli uciekać, to uciekniemy z zaliczką.

- Słuszna uwaga... Panowie, duch we mnie wstąpił. Czuję, że wam się poszczęści, czuję, że się wam uda. Jak to mówili Rzymianie o odważnych? Łaj daces fortuna...

- Audaces fortuna iuvat - poprawił Zdzisław z powagą. Jegomość schwycił się za głowę.

- Tak, tak! To jest właściwe brzmienie. Spieszmy się... Słońce zachodzi... Czas, czas, wielki czas! Już i tak zmarnowałem go wiele, gdyż u rzeźnika, u którego kupowałem szynkę, wybuchła wściekła awantura. Wyobraźcie sobie, czaroy pies, ogromna bestia, w biały dzień...

Zbyszek jęknął i chwycił się rękami za głowę.

"To już trzeci, co chce grać głową w kręgle!" - pomyślał Zenobi. A głośno zapytał: - I cóż ten pies?

- ...Ten pies? W biały dzień wszedł do sklepu rzeźnika za ms uczciwie kupującym, udając, że z nim przyszedł, potem bez pośpiechu chwycił trzy kiszki, jedną kaszaną i dwie krwawe, wyrzucił w pędzie kogoś wchodzącego i znikł. Całe miasto w tej chwili za nim goni, a rzeźnik pobił owego domniemanego właściciela psa, uderzając go twardym i nabitym w sobie salcesonem po głowie. Tamten wrzeszczał, że nie zna tego psa, a ja mu wierzę, bo ten pies (schwyił się za głowę) musi należeć do załogi diabelskiej, którą mamy wystraszyć.

- Zbrodnia wlecze się za nami - bąknął ponuro Zdzisław.

- Cave canem! - "Strzeż się psa!" - wołał Rzymianin i mądrze wołał - dodał Zenobi.

- Chodźmy, chodźmy! - krzyknął niespodzianie dziwnym głosem Zbyszek. Wolał pójść na wojnę z diabłami niż słuchać o zbójceckich czynach Apasza, drżąc równocześnie na myśl, że go schwytają i wezmą na nim pomstę za dwie kiszki krwawe i jedną kaszaną.

Na rynku istotnie były rozruchy. Opowiadano sobie zgiełkliwe, że czarny pies był wielkości krowy, a oczy miał zielone i diabelskie. Już po nim nie było śladu. Rozwiął się w chmurę albo rozlał się w maź.

- A co on miał zrobić? - szepnął płaczliwym szeptem Zbyszek, ująwszy Zenobiego pod ramię. - Wygnaliśmy go jak psa...

- Porównanie jest słuszne - bąknął Zenobi. - Ale przestań o tym gadać, bo jeszcze kto usłyszysz i zrobią z nas trzy nadziewane kiszki. Masz czas... Możemy gadać przez całą noc.

Przez diabły napastowany jegomość wywiódł ich opłotkami poza chuderlawe miasteczko. Szli szybko przez łąki rozgrzane i pachnące. Słońce, płomienisty ptak, zatrzymało się nad lasem, jakby szukając na noc gniazda. Szli długo, bo coraz powolniej; nerwowy jegomość niósł koszyk w rękę, a trwogę w sercu, więc ciężką miał drogę. Wreszcie przystanął.

- To tam!

Dotknął głowy tylko jedną ręką, bo drugą miał zajęta. Ładny, niewielki domek stał pod samym lasem, na całkowitym odludziu, i uśmiechał się różowym, zachodnim blaskiem szybek. Ganek obrosły dzikim winem wiele miał w sobie uroku. Nic nie zwiastowało, że dom ten jest "nawiedzony".

- Ja dalej nie pójdę, a jutro rano będę czekał na was w tym samym miejscu. Oto klucz... Żegnam was, drodzy przyjaciele... Który z was ma rewolwer?... Żegnajcie, żegnajcie i niech Bóg czuwa nad wami. Oddaję cześć waszej odwadze!

- Przede wszystkim niech pan odda koszyk - rzekł Zdzisław.

- Słusznie, słusznie... Strach czyni człowieka nierozumnym. Chwycił się za głowę, zawrócił i szybko odszedł. Oni podeszli w milczeniu do domku i przystanęli pod drzwiami, nasłuchując. Nic. Cicho.

- Najpierw obejdźmy dom dookoła - mówił Zenobi ściszym głosem. - Trzeba poznać teren.

Las, który dotykał tylnej ściany, pełen już był mroku, na którym srebrnym haftem śpiewu dziergał jakiś ptaszek esy-floresy. Dom spoglądał w las czterema oknami. W tylnej ścianie tkwiły wąskie drzwi, na głucho zamknięte. Od czoła dom patrzył w śliczną dolinkę, w której tuliła się niewielka rzeczka. Na dole miał również cztery okna, a dwa na facjatce.

- Wejdziemy? - szepnął Zdzisław.

- Trzeba wejść i obejrzeć go za dnia - odrzekł Zenobi. Rozmawiali szeptem, nie zdając sobie sprawy, dlaczego tak czynią. Z gorączkową, nienaturalną odwagą otwarli drzwi wielkim kluczem. Drzwi nieznośnie skrzypnęły, jakby były cierpiące na bolesne zapalenie stawów, dawno nie smarowanych oliwą. Sień była mroczna.

Pierwszy szedł rozrostły i mocny Zdzisław, za nim Zenobi roztropny, wreszcie Zbyszek z koszykiem. Zenobi chciał zamknąć drzwi.

- Lepiej zostaw otwarte - szepnął Zdzisław. - Należy mieć zapewniony odwrót.

- Wierzysz w te brednie? - zapytał niby drwiąco Zenobi.

- Czyja wiem? O, jak tu cicho...

Ostrożnie weszli do lewej izby, zaproszonej czerwonym odbłyśkiem zachodu.

- Stąd uciekł człowiek chwytający się za głowę - mówił Zenobi. - Patrzcie: łóżko, świeca nie dopalona na stoliku i niedopałek papierosa. Chodźmy na prawo!

Na prawo był rodzaj "salonu" od siedmiu boleści i sześciu kulawych krzeseł. Wszędzie popielił się kurz i grubą warstwą siadł na stole. Graty były mizerne, jak zwykle na letniskach. Na ścianie wisiał obraz wyobrażający odyrica osaczonego przez psy, wisiał zaś tak krzywo, że stłoczona gromada tylko cudem nie wyleciała z ram na podłogę. Był to koszmarny obraz i z tego powodu godny największego podziwu, że odyniec podobny był do wielbłąda, a psy do ichtiozaurów; odyńca można było jednakże poznać po kłach, które miały długość tureckiej szabli, a psy po ogonach. Odyniec odznaczał się barwą burozieloną, a psy, jak się zdarzyło: jeden był różowy, inny pomarańczowy, a inny czarny jak smoła. Zza drzewa wychylał się myśliwy, który zapewne z wielkiego wzruszenia dzierżył lufę fuzji w prawej ręce, a lewą naciskał t; yngiel; mierzył z niej przyłożywszy ją do piersi i zapewne piątego, gdyby fuzja przez jakieś boskie zrządzenie wystrzeliła, kula wyrznięłaby w piec.

- Nawet zły duch musi wyć na widok tego bohomazu - powiedział cicho Zdzisław.

Zbici w gromadkę, zwiedzili kuchnię i wszystkie zakamarki; rzędzie spała nagrzana i cokolwiek stęchliwą pachnąca cisza.

- Bardzo się tu przyjemnie mieszka... - ozwał się Zenobi Jeco głośniej i nieco weselej.

- Jeszcze jest góra - przypomniał ponuro Zbyszek.

- Prawda... To tędy. Tu są schody...

Schody wydały głos jak nadeptany psi ogon. W ciszy głos każdy mnożył się i stawał przeraźliwy.

- Te drzwi są zamknięte - oświadczył Zdzisław szybko.

- Spróbuj dobrze!

Zdzisław targnął gwałtownie wąskimi drzwiczkami.

- Zamknięte na amen!

- Tym lepiej - bąknął Zenobi. - Wracajmy.

Usadowili się w sypialni i przede wszystkim szeroko otwarli okna.

- Zrobimy tak - mówił Zenobi, powoli i z namysłem.

- Najpierw zjemy kolację, a potem dwóch będzie spało, a trzeci będzie czuwał.

Okna pozostaną otwarte i drzwi do sieni. W jakim porządku będziemy czuwali?

- Mnie jest wszystko jedno - rzekł Zbyszek. - Ja nawet oka przez całą noc nie zmruję...

- Ja zmruję - wtrącił Zdzisław.

- Otóż to właśnie! - mówił Zenobi. - Skoro ty pierwszy zaśniesz, siła ludzka ciebie nie zbudzi, więc lepiej będzie, abyś czuwał pierwszy. Cicho, co to? Zaczęli nasłuchiwać, wstrzymawszy w piersiach oddechy.

- Coś skrzypnęło... - najcichszym szeptem oznajmił Zbyszek. Długą chwilę trwali w milczeniu, ale skrzypnięcie nie powtórzyło się.

- Jakieś krzesło... - szepnął Zdzisław. - Uczyniło się chłodno i rozgrzane meble trzeszcza starym zwyczajem... Zapal świecę!

Patrzyli spod oka, jak Zbyszkowi drgały ręce przy zapalaniu świecy, która rozbłysła miękkim, aksamitnożółtym, przymilnym światłem.

- Która godzina?

- Minęła dziewiąta. Słońce wschodzi po trzeciej... Sześć godzin to nie rok...

Noc była prześliczna i wlewała się przez otwarte okno jak czarna, cichuteńko szumiąca woda. Oni usiedli wygodnie: dwaj na łóżku, a pierwszy wartownik, Zdzisław, na krześle. Jasnym było, nawet przy chwiejnym świetle świecy, że żaden z nich spać nie będzie, chociaż naznaczyli warty. Zgodzili się buńczucznie na spędzenie tutaj nocy, żaden jednak nie przyznałby się w tej chwili, że tego żałuje. Strach siedział w każdym, bohatersko utajony, ale schowany niezbyt głęboko. Wciąż nasłuchiwali. Przemawiali do siebie nieco obcymi głosami.

- Czy myślisz - mówił cicho Zdzisław - że to był Apasz?

- Głowę dam, że to on! - odpowiedział Zenobi.

- Nikt inny - szepnął zrozpaczonym głosem Zbyszek. - On idzie za nami... Śledzi nas i nigdy nas nie opuści!

- Wiecie, co wam powiem... Jest to pierwszorzędny zawalidroga i urwipoleć, ale jeśli naprawdę za nami się wlecze, w takim razie musi być gdzieś w pobliżu - rzekł Zenobi patrząc na nich bystrze.

- Nie miałbym nic przeciw temu, aby był tu razem z nami - mówił Zdzisław.

- Naprawdę? - zawołał ze wzruszeniem Zbyszek. - Przebaczenie mu?

- Oczywiście! - powiedzieli razem i bardzo szybko. Zbyszek skoczył ku oknu, wychylił się i krzyknął rozgłośnie:

- Apasz! Apasz!

Nasłuchiwali w oczekiwaniu, bardzo długo. Apasz nie zjawił się.

- Obraziła się psia dusza - bąknął Zenobi niechętnie.

- Boi się - rzekł smutno Zbyszek.

- Wobec tego zjedźmy wieszak. Dziesiąta.

Jegomość z rozlatującą się głową okazał się hojnym; kosz był małym, przenośnym sklepikiem, w którym można dostać wszystkiego. Zenobi dobywał z niego powoli i z należyтым podziwem najprzedziwniejsze smakowite rzeczy jak magik, który z cylindra wydobywa kaczkę, prosię, dwa gołębie i całą menażerię. Wielkie uznanie wzbudziły trzy pudełka sardynek, o których Francuz jeden pięknie mówi i dowcipnie, że są to "skowronki morza". W tym całym towarzystwie, które tego dnia po kolei chwyciło się rękami za głowę, one jedne nie mogły tego uczynić, nieszczęsne.

- Umiesz otworzyć? - zapytał Zbyszek. - Ja w życiu moim nie jadłem sardynki...

Zenobi otwierał pudełko sprawnie i umiejętnie.

- Powąchaj, jak to pachnie! - mówił z uśmiechem, podając pudełko Zbyszkowi. W tej chwili okropny ryk nappełnił cały dom, a z sieni wyleciał jakiś czarny, rozczapierzony przedmiot, z nadludzką zapewne wyrzucony siłą. Uderzył w pudełko sardynek, które wypadło z rąk Zbyszka, i zwałił świecę; świeca zgasła.

Trzy zduszone głosy splotły się w rozpaczliwym krzyku i trzy drżące ciała przytuliły się do siebie.

## VII. Czort i malarz - dwa bratanki

Strach odjął im wszystkie siły, głównie zaś zaatakował nogi; jest to stara i wszystkim znana złośliwość wszelkiego strachu, że przede wszystkim pęta nogi, bez których współdziału ucieczka jest niemożliwa. Podnoszenie się włosów na głowie jest mizernym efektem dekoracyjnym. Nogi, zamienione w dwa kamienne słupy, są największą rozpaczą.

Zenobi zdołał z trudem wydobyć z siebie krzyk.

- Uciekajmy! - wrzasnął.

Jak trudno jest czasem rozsądne hasło wprowadzić w czyn! Nie mogli ruszyć się z miejsca. Dwa otwarte okna były tuż, tuż, trzeba było trzech lub czterech skoków, aby dopaść ich i smyrnąć przez nie na pola. Piekielny jazgot oszołomił ich, ogłupił, unieruchomił, zatarasował im drogę. Dołączył się do niego stukot wywracanych krzesel, trzaskanie drzwi, walenie czymś twardym o ścianę. Widać, że diabłowie chętnie używali instrumentów drewnianych.

- Światła! - jęknął Zdzisław.

Zbyszek znajdował się najbliżej świecy; pochyliwszy się, odnalazł ją drżącymi rękami i z nadludzkim bohaterstwem zapalił. Nagłe jej błysniecie dodało im odrobinę odwagi, zaskoczyło zaś piekielne moce. Krzyk złamał się nagle z trzaskiem jak kij, słyhać było tylko szepty. Jakaś narada odbywała się w mrocznej sieni.

Zenobi wyciągnął rękę i dotknął tego pocisku, który im zgasił świecę. Podniósł go ostrożnie i rzucił z obrzydzeniem.

- Martwa wrona! - szepnął z rozpaczą.

Wrona, czarny, złowróżbny ptak, miewa zwykle jakieś szacherki z piekłem. Spojrzeli po sobie i ujrzeli, że strach maluje twarze na biało, a przygrywa sobie rytmicznie na przedziwnym instrumencie, bo na ludzkich zębach. Wszyscy trzej uderzali zębami o zęby, wydając odgłos suchy i trzaskający, przy jakim tańczą Hiszpanie, gdy uderzają w kastaniety, przyrząd złożony z dwóch drewniek kształtu muszli. Nie mieli jednak czasu snuć głębokich rozważań nad zwyczajami i obyczajami strachu, gdyż ciemność zaczęła znowu napęlniać się wyciem i jękami.

Wprawne ucho Zenobiego odkryło bezwiednie muzyczne fałszy tej orkiestry, niezgodnej i niestrojnej, lecz nowy atak piekielnej furii kazał mu myśleć o czym innym. Z czarnej sieni znowu wyleciał w ich stronę osobliwy jakiś pocisk, mierzący w świecę.

- But! - krzyknął Zenobi.

- Trzymaj świecę! - zduszonym głosem rozkazał Zdzisław. Oni dwaj stali naprzeciw drzwi, jak naprzeciwko smoczej gęby, z której wylatują pociski. Zbyszek ze świecą stał za tym żywym murem. Świeca była ich ocaleniem. Wskutek przedziwnych związków duchowych światło rozrzedziło ich strach do tego stopnia, że poczuli władzę w nogach, więc powoli, ostrożnie poczęli zmierzać ku oknom. Żaden czort ich nie dogoni, gdy się znajdują na polu. Nieczysta siła jednakże, ukryta w sieni, nie chcąc wejść w tę smużkę światła, które padało od świecy, strzelała z boku i ciężkimi przedmiotami ostrzeliwała teren tuż przed oknami.

Po huraganowym ogniu piekło odpoczywało i oczekiwało jakiegoś aktu rozpaczony ze strony napastowanych. Rozpacz istotnie przemówiła, ale w sposób najmniej spodziewany. Czy strach

pomieszał rozum Zenobiemu, czy przedziwne na niego spłynęło natchnienie, tego on sam nie wiedział, "ni wtenczas, ni potem". Prawdą jest, że zdumiał pospołu i duchy napastliwe, i dwóch swoich towarzyszy, niesłychanie zdumiał! Stał blady, z rozszerzonymi oczami i z otwartymi ustami. Nagle jakaś ponura zawziętość zjawiała się na jego twarzy, jak gdyby sobie powiedział: wszystko mi jedno!

Gdy diabelska muzyka ucichła na krótki moment, Zenobi odetchnął głęboko, brzuch napełnił jak balon i z opętaniem we wzroku - ryknął. Był to głos tak niespodziany, że wzdrygnęli się przyjaciele i spojrzeli na niego z nieludzkim zdumieniem. On zaś ryczał wspaniałym rykiem; wydał go wszystkim wiatrem z płuc i z brzucha, wyciągnął w górę i nagle go potoczył jak bulgotanie grzmotu. Jeszcze echo nie przebrzmiało i jeszcze było słyhać opadający tynk z pułapu, gdy Zenobi, powietrza łyknąwszy, zabeczał tak rozdzierającym głosem jak zrozpaczony baran, który ujrzał, że życie go zawiodło, więc je żegna na progu rzeźni. Jeszcze baran nie skończył, a genialny Zenobi wyciągnął już z gardła chrapliwe szczekanie psa, aby je mistrzowsko zmienić na rozplakane, rozjęczone miauczenie kota, który nagle zmienił się w gdaczącą nieprzytomnie i bez najmniejszego sensu kurę; umilkła kura i odleciała w noc, a oto świnia, wielka, ciężkiego kalibru świnia wpadła z rechotem i takim serdecznym kwikiem, jak gdyby własną ujrzała śmierć.

"Mistrz! mistrz!" - pomyślał z przelękłym zachwytem Zdzisław.

- Co się stało - szepnął Zenobi, nagle urwawszy.

Miał minę tak ogłupiałą, jakby się nagle zbudził. W strasznym domu była cisza: czorty musiały być zdumione i ze zdumienia straciły mowę. Najwięcej jednak zdumiony był Zenobi. Spojrzał pytającym wzrokiem na Zdzisława, a Zdzisław uśmiechnął się. Uśmiech ten był wprawdzie cokolwiek bolesny i bardzo przypominał grymas po wyrwaniu zęba, świadczył jednak o powrocie do życia.

Wtem Zbyszek wsunął pomiędzy nich głowę i szepnął:

- Naradzają się...

Zaczęli nasłuchiwać. Było słyhać ciche szepty, potem ostrożne kroki.

- Będziemy strzelać! - wrzasnął niespodzianie Zdzisław. Nieprzytomny strach, ten sam, który wywołał koncert Zenobiego, kazał teraz krzyknąć Zdzisławowi.

- Całuj psa w nos! - odkrzyknął duch zniecierpliwionym, ale ludzkim głosem. Trzy ciężkie młyńskie kamienie potoczyły się z trzech dogorywających serc. Więc to są ludzie!

Można było odgadnąć już dawno, że diabli nie ciskają butami, największy jednak mędrzec zatraciłby bystrość sądu z wielkiego strachu.

- K-to wy jesteście? Czego tu chcecie? - zakrzyknął niewidzialny.

- Trzymaj rewolwer - szepnął Zdzisław. - Trzymaj tak, żeby go widzieli. - Potem odkrzyknął: - My mamy prawo zajmowania tego domu!

- A my was z niego wykurzymy!

- Spróbujcie...

- Zaraz spróbujemy!

- Jużeście próbowali i co? I nic!

- Jak to: nic? Jeszcze szczękasz zębami, idioto!

Jeszcze tylko Zbyszek nie uczynił dotąd żadnego wariactwa, więc w tej chwili, dźwignięty zniewagą przyjaciela, chwycił leżący na podłodze but i z rozmachem cisnął go w mroczną czeluść sieni.

- Dziękuję! - ryknął głos stamtąd. - Zimno mi było w nogę... A teraz wynoście się stąd i nie wracajcie. Jeden z was bardzo dobrze udaje psa i kota, ale mamy tego dość.

- To my mamy tego dość! - piskliwym głosem wrzasnął Zbyszek. To jakieś sztubaki - ozwał się drugi z diabłów, dotąd milczący. - Moi panowie, pogadajmy uczciwie, a potem idźcie sobie na zbity łeb.

- Oj, oj! - zawołał Zenobi, który się pilnie przysłuchiwał.

- Głowa mi pęka!

I on wreszcie schwycił się za głowę, ze wszystkich już ostatni. Wyrwał świecę z rąk Zbyszka i nie zważając na to, że go Zdzisław chwyta za ramię, uczynił krok naprzód.

- Panie Rafale! - krzyknął z dziwną nadzieją w głosie.

- Ki diabeł? - zapytał diabeł w sieni. - Kto mnie woła? Spoza drzwi wyjrzały dwie głowy, młode, sympatyczne i wcale nie piekielne.

- Rzuć rewolwer, młodzieńcze - zawołała jedna - bo znowu cisnę butem! Zbyszek spojrzał pytająco na Zenobiego, który skinął głową. Rewolwer, zresztą bezzębny, leżał spokojnie obok martwej wrony. Wtedy do dwóch głów dołączyły się dwa mocne, ludzkie ciała i z ciemności wyszły na ludzkich nogach.

- Ha! Toż to Zenobiuszek... - zdumiał się jeden z duchów nieczystych. - Co ty tu robisz?

- A pan co? - odparł wyraźnie szczęśliwy Zenobi.

- To ty gdakałeś i wyłeś jak sto diabłów?

- Ja! - odrzekł Zenobi skromnie. - A czy to pan rzucił w nas zdechłą wroną?

- To nie ja - zaśmiał się piekielnik - to on!

Jego diabelski towarzysz ukłonił się uroczyście i z nadzwyczajną godnością.

- Proszę przyjąć wyrazy szczerego podziwu - rzekł takim głosem, jakby się miał za chwilę rozpłakać. - Nikt dotąd nie wytrzymał tu dłużej niż pół godziny. Prawda, Rafałku? A ta załoga nie ustąpiła. Ha! - jak powiedział Mahomet. Trudno! Dzisiejsza młodzież... Nawet diabłów się nie boi. O moje serce, nie płacz, nie płacz...

Spojrzeni na niego ze zdumieniem, bo chociaż utulał serce, miał roześmiane oczy i gębę roześmianą od ucha do ucha.

- Nazywam się Felek - dodał ponuro, prawie z rozpaczą.

- W akademii malarskiej nazywają mnie Felek-Serdelek, zapewne ze względu na mój dorodny wygląd. Jego nazywają Rafałek-Antałek. Czy nie zrobiliśmy panom jakiej krzywdy? O strachu nie mówię, bo to się rozumie samo przez się, żeście tłukli zębami o zęby, ale czy nie ma tu jakiej rozbitej głowy? Widzę, że nie ma. Złamanej ręki? Także nie ma. Rafałku, atak nasz był nędzny, bez należytej werwy i bez fantazji. Siadajcie, panowie. O, jak to dobrze, że wrzuciłem do tej komnaty dwa krzesła... Teraz jak znalazł. Kawalerze! - zwrócił się do Zbyszka. - Mam mętne wrażenie, że pan się jeszcze boi.

- Wcale się pana nie boję! - rzekł hardo Zbyszek.

- Gdybyś mi to był powiedział przed godziną, ośmieliłbym się nie wierzyć. Rozsiedli się i zaczęło się opowiadanie. Rafałek-Antałek mówił:

- Mieszkam w tym samym domu, co przyjaciel Zenobi, stąd się znamy; raz mi pożyczył trochę cukru i herbaty, ale... ale... Zenobi, czy ja ci, bracie, oddałem ten cukier?

- Nie przypominam sobie - zaśmiał się Zenobi.

- To dobrze, to bardzo dobrze, że sobie nie przypominasz. Mniejsza o to... Przyszedł do mnie mój przyjaciel Felek-Serdelek i wybraliśmy się na wojaż, aby cokolwiek pomalować, bo my jesteśmy

malarzami.

- Ach, to dlatego grabarz został pomalowany na czarno - ucieszył się Zdzisław.

- To był grabarz? Nie wiedziałem - rzekł Rafał. - Poszliśmy sobie, idziemy, aż tu patrzymy: domek. "Ładny domek! - powiada Felek. - Może byśmy tak w nim zamieszkali, bo stąd piękny roztacza się widok..." "Bardzo dobrze" - odrzekłem. Deszcz padał, więc wleźliśmy do tego domku i mieszkaliśmy spokojnie przez trzy tygodnie. Ponieważ domek był tani...

- To panowie płacili? - spytał ze zdziwieniem Zbyszek. Malarz Rafał spojrzął na niego ze współczuciem.

Temu człowiekowi - rzekł serdecznie - strach pomieszał zmysły.

- A czemu pan mówi...

- Mówię, że domek był tani, bo nic nie kosztował. Zajęliśmy górkę i doskonale nam się wiodło. Malowaliśmy piękne widoki i nikt nam nie przeszkadzał. Aż tu jednego dnia - pamiętasz, Feluś? - zjawia się jakaś dziwna figura i obejmuje domek w posiadanie. Musieliśmy wystraszyć tego dobrego człowieka.

- To był gospodarz! - objaśniał ich Zenobi.

- Gospodarz? Słyszysz, Feluś? Ładne rzeczy... Jesteśmy podli ludzie. Gdyby jednak był powiedział, że jest gospodarzem... A on ani słowa nie powiedział, tylko uciekł. Ach, Feluniu, postąpiliśmy źle i niegościnnie. Tych następnych wcale mi nie żal, bo się wynajęli na naszą krzywdę, ale gospodarza mi żal. To on was tutaj przysłał?

- On. To bardzo miły człowiek...

- Słyszysz, Feluś, jacy to łatwowierni młodzieńcy? Posłał ich na śmierć z ręki diabła, a oni mówią, że to miły człowiek. Niech będzie! Skąd wy jednak w tych stronach?

Zenobi szybko opowiedział o wyprawie, o spotkaniu z właścicielem domu i o okropnych godzinach strachu.

- Czemu jednak - zapytał w końcu - nie zaczęliście robić swoich kawałów o północy, lecz o dziesiątej? Szanujący się diabeł tak nie postępuje...

- Bo nam się spać chciało. Czemu jednak wyście z miejsca nie drapnęli?

- Bo nam nogi odjęło ze strachu.

- Feluniu, jeśli nas powieszają, nie będzie to zbyt przesadną karą. Przebaczcie nam, mili kawalerowie!

- Doskonale - rzekł Zdzisław. - Tylko tej zdechłej wrony nie mogę panom przebaczyć...

- Ach, tego ptaszka? Ależ cóż... RzUCA człowiek tym, co ma pod ręką. Zresztą, to straszny pocisk. Gospodarz wiele przetrzymał, ale tej wrony nie przetrzymał! Kto się mógł spodziewać, że trzech patałachów... och, przepraszam! - tych trzech nieustraszonych... A to co? Tego nie rzuciliśmy wcale...

- To sardynki! - rzekł Zbyszek.

- O Janie Matejko! A wy skąd macie sardynki?

- Gospodarz zaopatrzył nas w prowiant.

- Święty Łukaszu, patronie biednych malarzy! I chleb tu jest, i szynka, i jabłka? Nie mogliście rzucić czymś takim w naszą stronę? Staropolska gościnność zesłała na psy... Panowie, mam zaszczyt warn oznajmić, że jeśli nie usuniecie tego sprzed naszych oczów, zaczniemy na nowo wyc. Felek-Serdelek nic nie mówił, tylko wznosił ręce w górę. - Czy można was prosić, panowie diabły? - zaśmiał się Zenobi.



Jeszcze nie skończył, a dwa czorty, widać straszliwie wygłodzone, rzuciły się na smakowite jądło. Zdzisław usiłował otworzyć pudełko z sardynkami, a Zenobi krajał chleb.

- Po co pan otwiera to mizerne pudełko?! - krzyknął Felek. - Ja połknę całe.

- O, przepraszam! - zawołał Zbyszek. - My też jesteśmy głodni.

- Nie słyszałem o przyjemniejszym gospodarzu! - wołał Rafałek-Antałek. - Szkoda, że będziemy musieli stąd wiać, nie uściskawszy mu dłoni. Malarz Felek przestał na chwilę jeść i zdumionym spojrzeniem patrzył na Zbyszka. Trącił Zenobiego i stuknąwszy się znacząco palcem w czoło zapytał cicho:

- Czy on jest trochę... ten tego... pomyłony?

- Czemu?

- Już trzeci raz wyrzuca za okno chleb z szynką. Sam troszeczkę nadgryzie, a resztę rzuca w krzaki. Zenobi nachylił się do jego ucha i długo mu coś tłumaczył.

- Patrzcie, patrzcie - szepnął malarz. - Tak kocha tego psiawiare? Całe szczęście, że ta psina nie przylazła tu waszym śladem, bo źle byłoby z nami. Ale jutro i tak będzie z nami źle... Trzeba będzie iść dalej i szukać gdzie indziej pięknych widoków. A taki był miły domek! Ha... Szczęście nigdy nie trwa długo. Ten poczciwy gospodarz powinien nas zastrzelić. Jak pan myśli, panie Zenobi, czy mamy uciekać przed nim zaraz, po nocy, czy można dopiero rano?

- Można rano - z powagą odrzekł Zenobi.

- Bardzo mnie pan pocieszył, bardzo, bo mi się spać chce. Malarze poszli do swego legowiska na górkę, chłopcy ułożyli się na dole, żaden jednak nie mógł usnąć. Zwaliło się na nich tyle wrażeń, że byli rozdygotani. Coraz to któryś wybuchał dziwnym, gorączkowym śmiechem. Usnęli wreszcie, samym znużeniem pokonani, lecz wciąż się któryś zrywał niespokojnie, w pewnej chwili zaś zerwali się wszyscy trzej, gdy Zbyszek wrzasnął przeraźliwie przez sen:

- Wrona, wrona leci!

Znacznie miłszym głosem opowiadał cichej nocy o sardynkach. Dopiero o brzasku skończyły się wszystkie gorączkowe okrzyki i majaki się rozwiały. W piekielnym domu, w siedzibie diabłów, zapanował spokój. Pierwszy zerwał się Zenobi. Słońce już dawno buszowało po izbie, dochodziła bowiem siódma. Chłopiec, oprzytomniawszy, uśmiechnął się i spojrzał ku pułapowi. Potem wyskoczył rażno przez okno, umył się w rzeczce i pobiegł szybko tam, gdzie mieli się spotkać z gospodarzem.

- Żyje pan? - wytrysnął spoza jakiegoś krzaka zdziwiony głos. - A tamci? Kaput?

- Wszyscy żyją! - zaśmiał się Zenobi. - Niech pan usiądzie, drogi panie, mam wiele do opowiadania.

Zenobi opowiadał, a gospodarz otworzył szeroko usta, słusznie mniemając, że same uszy nie wystarczą do wysłuchania tej nadzwyczajnej historii, wpuszczał ją tedy do świadomości i przez tę bramę. Od czasu do czasu wydawał okrzyk zdumienia, podziwu i radości. Wołał: - Ha! - ach! - o! - rety - jej! - ale co najdziwniejsze, ani razu nie schwytał się rękami za głowę.

- I cóż pan teraz zrobi? - zapytał zatroskany Zenobi. - Czy im pan przebaczy?

- Przebaczyć? - krzyknął jegomość. - Nigdy... Młodzieńcze, ja ich uściskam!

- Pan... ich?

- A co pan myślał? Biednych malarzy będę ścigał? Wesołych chłopaków? Za to, że nie mieli gdzie się schronić?

- Cokolwiek pana nastraszyli... - mówił ze zdumieniem i radością Zenobi.

- A co mieli robić, ha? A po co ja, głupi, uciekałem?

- Pan jest bardzo zacnym człowiekiem!
- Jaki tam zacny... Ale to pierwszorzędne draby! I powiadasz, młodzieńcze, że byli głodni?
- Jak diabły...
- Dobrze powiedziane, jak diabły... K-to diabła udaje... Chodźmy tam do nich!
- Dobrze, tylko ostrożnie, bo uciekną.

Człowiek, któremu codziennie głowa pękała siedemdziesiąt siedem razy, miał w tej chwili twarz pogodną i niemal szczęśliwą. Biegł jak młodzieniaszek, a wciąż przystając dawał znaki Zenobiemu, aby zachowywał się cicho.

- W sam czas - szepnął Zenobi. - Właśnie wieją!

Obaj malarze chyłkiem schodzili ze schodów, dźwigając swoje manatki, pudełka z farbami, sztalugi i obrazy. Byliby uciekli na widok gospodarza, lecz nadto byli objuczeni.

Żaden malarz od początku świata, a było ich sto trzydzieści tysięcy czterystu sześćdziesięciu dwóch, z tymi dwoma włącznie, nie miał jeszcze tak niemądrej miny.

Rafałek-Antałek skłonił się i rzekł głosem tak ponurym, że czarnym:

- Niech pan nas zabije, ale niech pan nas nie męczy!
- I niech pan nam da czas, byśmy się mogli pomodlić przed zgonem - dodał Felek-Serdelek.
- Panowie! - zawołał radośnie gospodarz. - Witam was, serdecznie was witam w moim domu.
- Jeśli pan drwi...
- Ani myślę! Gdybym wiedział, że to artyści zaszczytili ten biedny domek, nigdy bym was nie niepokoił. Bardzo panów przepraszam za wszystkie niewygody i wszystkie nocne zgiełki...

Tyle było szczerości w jego głosie, że dwaj młodzi malarze spojrzeli po sobie.

- Pan naprawdę nie gniewa się? Przecie my... Felek! - wrzasnął Rafał. - Uściskaj tego pana!
- Z największą przyjemnością - rzekł Felek i zrzuciwszy juki wziął uszczęśliwionego człowieka w ramiona. - Rafałek, teraz ty! Gospodarz został oddany w całości i rzucony na serce Rafałka.
- Niech żyje! - wrzasnęły trzy głosy.

Zenobi zdołał obudzić Zdzisława i wszyscy wzięli "tłumny" udział w uroczystości.

Gospodarz był tak wzruszony, że nie mógł wydobyć głosu. Długo szukał rozproszonych słów, wreszcie zdołał przemówić:

- Panowie! Wczoraj byłem zrozpaczony, a dziś jestemszczęśliwy... Byłem samotny, a oto za jednym zamachem mam pięciu przyjaciół, a wśród nich dwóch sławnych malarzy!
- Felek, nie dmij się, kreaturo! - szepnął Rafałek.
- Ale będę jeszcze szczęśliwszy, jeśli mnie nie opuszczą.
- To jest do zrobienia - bąknął Feluś.
- Młodych wędrowców zatrzymamy tu na krótki wypoczynek, a panowie malarze pozostaną tu, jak

długo im się podoba.

Obaj malarze skinęli z powagą głowami, dając tym świadectwo, że mądrzejszej mowy nikt jeszcze nie wygłosił.

- Cały dom jest wasz! - wołał uszczęśliwiony gospodarz.
- A jutro sprowadzę kucharkę.
- Chwała temu domowi! - krzyknęli malarze i obaj mieli słońce na obliczu.
- Czy zostaniecie panowie ze mną? - pytał z niepokojem gospodarz.
- Jeśliby nasze odejście miało pana zasmucić... - odrzekł Rafałek - bylibyśmy niepokieszeni. Jest pan wspaniałym człowiekiem.
- Bo kocham artystów! - zawołał gospodarz z zapalem.
- To bardzo pięknie, to bardzo pięknie - mówił Rafałek.
- W takim razie, o dobry panie, czy miałby pan co przeciw temu, gdybyśmy napisali po jednego jeszcze? To nasz serdeczny przyjaciel!...
- Też malarz?
- Oczywiście. Między nami nazywa się Adam Małojadam. Strasznie zacny chłopiec!
- Piszcie, zaraz piszcie!
- To pan tak kocha malarzy? - z głębokim uznaniem zapytał Felek.
- Tak, panowie! - odrzekł gospodarz uroczyście. - A wiecie czemu? Bo ja sam maluję obrazy.
- O! o! o! - krzyknął Rafałek.

Gospodarz poskoczył i zniknął w domku. Po chwili wyniósł obraz, na którym zielone i różowe psy mordowały dziką, co był podobny do wielbłąda, a strzelec był zezowaty i strzelał z lewego ramienia.

- Oto moje dzieło! - rzekł z głębokim wzruszeniem. - Czy rozumiecie teraz?

## VIII. Kąp się, kąp się, wieku młody!

Przez trzy dni trwały wielkie gody w domku pod lasem. Gospodarz wpadł w taki promienisty zachwyty, że chociaż słońce dawno już zaszło, on jeszcze rozsiewał blask. Był to człowiek serdecznie dobry, chociaż malarz od siedmiu boleści. Szczęście jego dosięgło samego dachu świata, gdy mu obaj malarze oświadczyli, że go będą uczyć sztuki malarskiej. Ścisnął ich i całował, co ich wielce rozczułało, kilka zaś razy dziennie wędrował do miasteczka i czynił wspaniałe zakupy, co wielce ich cieszyło. Nieboraczki mocno były wygłodniałe.

Trójka wędrująca nie mogła udać się w podróż, którą z dnia na dzień odkładano, nikt bowiem nawet słuchać o tym nie chciał. Co dnia rano nakładali na plecy swoje juki i co dnia zdejmowali je gwałtem i siłą. Dobrze im tu było, wesoło i przyjemnie. Jedzenia było w bród, bo już nazajutrz zjawiła się kucharka, pani Moczydłowska, osoba tak potężna, że można było wykroić z niej najmniej trzy zażywe damy. Najbardziej upodobała sobie w matczynym sercu zmizerowanego Zbyszka, który z łask jej korzystał podstępnie, zawsze bowiem pod wieczór odbywał z nią tajemnicze rozmowy, a zaraz po nich wynosił do lasu tłuste mięsiwa i smakowite kasze.

- Apaszowi dobrze się dzieje - szeptał Zenobi do Zdzisława. Zdzisław wygłosił uroczyście apostrofę o przyjaźni starego Szlangbauma z cudownej "Lalki" Prusa:

- "Przyjaciół dobry wiele znaczy, on przebaczy wszystkie urazy kilka razy!" Trzeba było jednak wyruszyć.

Dni były jak kryształowo błękitne kule pękające wieczorem, a wtedy wysypywały się z nich gwiazdy; pora do wędrowania wymarzona. Ponieważ wszystkim namowom wreszcie zdołali się oprzeć, stanęło na tym, że wyruszą nazajutrz. Ostatniego wieczora miała się odbyć uczta pożegnalna. Malarze przybrali "salon" zielenią i porozwieszali w nim swoje, gorącymi barwami płonące, obrazy. Gospodarz trzykrotnie wędrował do miasteczka, kucharka wpadła w szał od samego rana i wyglądała jak natchniona. Trzeba by być samym Słowackim, który opisał święcone u Radziwiłła, aby móc opisać tę ucztę. Zwyczajne, biedne ludzkie słowo tego nie wypowie. Koroną jej, chwilą jej najbardziej wzruszającą była mowa gospodarza domu. Chłopcy byli wniebowzięci, malarze cmokali z zachwytu, a kucharka, co wypełniała sobą całą szerokość drzwi, łkała tak rzewnymi ślozy, że się serce krajało. Wszyscy ściskali się tak energicznie, jakby to była godzina szwedzkiej gimnastyki. Chciano też uściskać zasnę kucharkę, ponieważ jednak nikt jej nie mógł objąć w pojedynkę, czterech złączyło się i okrążyło ją jak dąb tysiącletni.

- Zostaniemy tu sami, sieroty... - rzekł ponuro Felek-Serdelek.

- Muzy zostaną z wami! - pocieszył ich Zdzisław.

- Muzy? - zdumiał się pocziwie gospodarz. - Słyszałem coś o tym! Ho, ho! Zdzisław objaśnił uprzejmie, co to za osoby i że ich było dziewięć.

- Ale nikt nigdy nie wie, jak się nazywają - śmiał się Rafał.

- Za pozwoleniem, ja wiem.

I bez zająknięcia wyliczył dziewięć dźwięcznych imion, wywołując ogólne zdumienie. Gospodarz znowu złapał się za głowę.

- O mądrości! - zakrzyknął. - O mądrości!

- To żadna mądrość - odrzekł skromnie Zdzisław. - Jest wyborny sposób zapamiętania dziewięciu imion. Trzeba nauczyć się jedynie krótkiego wierszyka. Słuchajcie: Klio-me-ter-thal

Eu-er-ur-po-kal.

- Zaraz, zaraz! Ja powtórzę! - krzyknął gospodarz.

- A więc: "Kilometerthal"...

- Nie "kilometer", tylko "Kliometer".

- No i co z tego? - zapytał Rafał.

- To z tego, że każda zgłoska jest początkiem jednego imienia. Uwaga! Pierwsza muza zwie się Klio, druga Melpomena, trzecia Terpsychora, czwarta Thalia, piąta Euterpe, szósta Erato, siódma Urania, ósma Polihymnia, dziewiąta Kalliope.

Powtórzył tę lekcję ze dwadzieścia siedem razy i doprowadził do tego, że malarze nauczyli się wszystkich pięknych imion, a gospodarz zaczął już pamiętać trzecie. Była to wesoła lekcja i pełna wybuchów śmiechu. Za to poranek rozpoczął się smutnie. Trzej wędrowcy żegnali się z nimi całym sercem, obiecując napisać z dalekich dróg. Kucharka uderzyła w taki płacz, że biedna rzeczutka, ledwie się snująca w dolinie, zaczęła mieć nadzieję wezbrania wód. Słowa pożegnania przeplatała okrzykami: "Ach, biedne moje dziatki!... A pamiętajcie, żeby nie jadać byle gdzie!... A co się z wami stanie, niebożątka?... Ja tu uschnę z tęsknoty!"

- Zmykajmy! - zdławionym głosem krzyknął Zdzisław, czując, że mu wilgotnieją oczy.

Zniknęli za drzewami, a jeszcze słyszeli śmiertelną groźbę, niemożliwą do wykonania, że dobra kobieta uschnie z tęsknoty. Mogłoby się prędzej zdarzyć, że glob ziemski ostygnie. Szli w milczeniu,

rozpamiętując cztery szczęśliwe dni.

- O, jak tam było dobrze! - westchnął Zbyszek.

- Nie ma co, było dobrze - odparł Zenobi. - Ale jeśli w ten sposób będziemy wędrowali, równo za rok dojdziemy do Krakowa.

I jakby chcąc odrobić stracony czas, szli rażno, wielkim krokiem, wciąż jednak każdy z nich poprawiał niecierpliwie plecaki.

- Przedtem nie były takie strasznie ciężkie - zauważył Zenobi.

- Hi, hi, hi! - zaśmiał się Zbyszek.

- "Czego uśmiewasz się, czego, co w tym widzisz wesołego?" - zapytał Zdzisław słowami z "Dziadów".

- Ja się śmieję, bo wiem, czemu takie ciężkie! To przez panią Moczydłowską...

- Przecie mi nie wlaźła do plecaka, bo wtedy pękłby mi grzbiet. Cóż uczyniła dobra pani Moczydłowska?

- Włożyła do plecaków połowę spiżarni - wyjaśnił Zbyszek. - A dlatego tak płakała, że więcej nie dało się zmieścić.

- O zacna kobieto! - wykrzyknął z uśmiechem Zdzisław.

- Wieki będą wielbiły panią Moczydłowską! - dodał z głębokim przekonaniem Zenobi.

Ciężar wydał im się nagle lżejszy, ubędzie go bowiem po drodze. Postanowili wędrować do obiadowej pory, a teraz rwać z kopyta, tym bardziej że chociaż pogoda była tak jasna jak dzień szczęśliwy, nie było upału, gdyż wiatr biegał po polach. Szukali drózek pod lasami, na których leżał cień. Odpoczywali mało kiedy, zresztą wypoczęci byli znakomicie.

W pewnej chwili Zenobi wybuchnął śmiechem.

- Co się stało? - zapytał Zdzisław. - Porażenie słoneczne?

- Nie! Przypomniałem sobie atak duchów i tę martwą wronę. Nigdy w życiu nie bałem się tak jak wtedy.

- Ja też - mówił Zdzisław - ale jeśli się zdarzy po drodze jeszcze jaki zaklęty dom, chętnie pójde wyganiać diabłów. Mamy już wprawę i doświadczenie... Cała rzecz w tym, abyś ty dał taki sam koncert jak owej nocy. Ty nie jesteś człowiekiem, lecz arką Noego, w której mieszkają wszystkie zwierzaki. Skąd ty to umiesz?

- Trochę wprawy - rzekł skromnie Zenobi. - Ale owej nocy krowa mi się nie bardzo udała.

- Skądże znowu! Ryczałeś wspaniale.

- Ale bez nuty owej tęsknoty, którą można dosłyszeć w krowim ryku. Za to kot był dobry! Co ci się stało? - zapytał nagle, widząc, że mu Zdzisław daje tajemnicze znaki.

- Nic, nic... - rzekł szybko Zdzisław i mrugnięciem oczów skierował jego uwagę na rozszumiane pole.

- Ach! - szepnął Zenobi.

W niewielkiej odległości widać było w przerwach pomiędzy łąkami przemykające się czarne widmo.

- "Leci pies przez owies, ogonem wywija..." - szepnął Zenobi. - Hej, Zbyszek... - zawołał. - A nie widziałeś ty gdzie Apasza? Zbyszek poczerwieniał jak dojrzały pomidor.

- Apasza? Pewnie gdzieś zginął z głodu - rzekł niepewnie.

- Czemu go wspominasz? Przecie już do niego nie macie pretensji?

- My do niego nie mamy, ale on do nas. Wiesz co, Zbyszek? Gdybyś go przypadkiem spotkał, powiedz mu tym jakimś waszym językiem, żeby przestał stroić fochy.

- Wątpię, czy go zobaczę, ale powiem - rzekł Zbyszek. Kilka razy spojrzął na nich podejrzliwie, ale nie zobaczył na przyjacielskich twarzach żadnych oznak zdradzieckich, napomknęli przeto o Apaszu jedynie przypadkiem. Gdyby jednak wiedzieli o tym, o czym on wiedział! Ładny by się z tego uczynił huczek. Przez cztery dni, każdego wieczora, odwiedzał Apasza, który urządził sobie legowisko w zagajniku nad rzeczką. Zbyszek sklecił mu budę z gałęzi, która niedługo stała się małym składem, pełnym tego wszystkiego, co niebotycznie raduje psie serce. Chudy, wynędzniały Apasz porastał w mięso, a oczy mu pojaśniały. Żadna krwawa pokusa nie miała do niego przystępu, żadnego bowiem ptactwa nie było w pobliżu. Ostatnim jego łotrowskim czynem był zbójcki napad na sklep rzeźnika w miasteczku. Gdy mu to zostało po przyjacielsku i wcale łagodnie wytknięte, Apasz milczał przez chwilę, zakłopotany, natychmiast jednak wymownym pomrukiem oświadczył, że wprawdzie w miasteczku jest wiele much, nikczemna to jednak strawa i żaden pies się nie pożywi. Porzekadło, twierdzące, że "dobra psu i mucha", jest uszczypliwym naigrawaniem się z psiej niedoli. Był bardzo znużony i zgłodniały, więc musiał uczynić napad, bardzo bowiem wątpi, czy rzeźnik ofiarowałby mu trzy kiszki z własnej, nieprzymuszonej woli. Mruczeniem skarżył się boleśnie, że pomiędzy psem a człowiekiem istnieje wieczyste nieporozumienie, człowiek bowiem jest zdania, że głodny pies może sobie skąpiec z głodu, pies zaś jest namiętnie przywiązany do życia. Oczywiście, że żałuje swojej brutalności, gdy w ucieczce wyrwał jakiegoś niewinnego człowieka, lecz nie miał innej drogi. Bardzo wielu ludzi było w sklepie rzeźnika, co właśnie jest dziwactwem. Dlaczego wielu ludziom wolno z jatki zabierać mięso, kiełbasę, kiszki, a jednemu psu nie wolno?

Zbyszek na próżno mu tłumaczył, objąwszy go rękami za szyję, i wyjaśniał rozmaite i niepojęte sprawy. Apasz odpowiadał z uporem, że był głodny, co jest powodem nie do odparcia; potem zęcnie przerwał niemiłą rozmowę, przytuliwszy miłą psią głowę do Zbyszkowej twarzy. W milczeniu patrzyli, jak białe opary zaczynają się podnosić z łąk i owijają samotną brzozę w powiewne stroje, tak jakby stroiły oblubienicę do ślubu; nasłuchiwali szeptów, szmerów i szelestów, błąkających się po ziemi i wałęsających się wśród liści. Czasem Apasz, który więcej słyszał od człowieka, nastawiał uszy i bystrze patrzył w mrok, czasem ledwie słyszalnym bulgotaniem w gardle niezwykle objawiał podniecenie.

Żegnali się czule, a pies odprowadzał Zbyszka aż pod dom i stał jeszcze długo, patrząc w zamknięte drzwi.

O tym wszystkim oni nie wiedzą. Jakież zdziwienie ogarnęłoby dwóch przyjaciół, gdyby wiedzieli, że w tej

chwili Apasz przemyka się ostrożnie polami, aby go nie stracić z oczów, i wiernie mu towarzyszy. Na najbliższym popasie trzeba mu będzie zostawić w krzakach jakiś posiłek. Uczyni to wprawdzie tajemnie, ale już bez strachu, wie bowiem, że i Zdzisław, i Zenobi nie mają w sercach zawziętości przeciw Apaszowi. Gdy krwawa historia całkowicie utonie w głębokiej wodzie niepamięci, trzeba będzie urządzić niby przypadkowe spotkanie i wędrować razem.

- Odwaliliśmy najmniej piętnaście kilometrów - oznajmił Zenobi. - Uf, zmęczyłem się!

- Rozleniwiłeś się jak wojsko Hannibala w Capui, gdzie kucharką musiała być pani Moczydłowska. Za wcześniej na spoczynek. Czy twój zegarek jeszcze idzie?

- Jego pan ledwie, ledwie, ale zegarek idzie. Dwunasta.

- W takim razie powiem ci, jak pewien złodziej...

- Cóż rzekł ów niefortunny rzezimieszek?

- "Idziesz? - rzekł złodziej do zegarka. - Chodźmy razem!"

- Porównanie z urwipółciem nie przynosi ci zaszczytu, ale dowcip jest dobry. Czy znasz takich więcej? Miłe opowieści skracają drogę.

- Istotnie. Zdarzyło się jednego razu, że trzech studenci amerykańscy mieszkali na pięćdziesiątym piątym piętrze. Wracają do domu, a winda zepsuta...

- Mamo moja!

- Idą, idą, idą, wreszcie jeden powiada: "Przyjaciele, droga jest nudna, opowiadajmy sobie rozmaite wesołe hece, to nam się lepiej będzie szło!" Opowiadają sobie niestworzone historie i ryczą ze śmiechu, a tylko jeden nic nie gadał. Gdy po godzinie byli już blisko pięćdziesiątego piątego piętra, ten mówi: "Teraz ja wam opowiem najlepszy kawał!" "Jaki, jaki?" "A taki, że zapomniałem na dole klucza od naszego mieszkania!" Zbyszek roześmiał się krzykliwie.

- A tobie, Zenobi, nie podoba się ta historia?

- Bardzo mi się podoba, ale już ją słyszałem siedem razy.

Chcę ci jednak zrobić przyjemność i roześmieję się. Cha! cha! cha!

- Już ci niczego nie opowiem, choćbyś padał przede mną na kolana.

- Nie wytrzymasz, Zdzisławku! Nie wytrzymasz! Ciebie tylko raz nakręcić, a będziesz bredził bez przestanku. Mogę się z tobą założyć, o co chcesz.

- Ale ja się z tobą nie założę, bo mnie w jakiś sposób ocyganisz. Zawsze się wykpisz i zawsze się wykęcisz. To mi przypomina...

- Co, co ci to przypomina? - zapytał szybko Zenobi, mrugając porozumiewawczo ku Zbyszkowi.

- Jeden zakład dwóch porządných ludzi z takim obwiesiem jak ty!

- To ciekawe... Gadajże prędko...

- Było tak - mówił Zdzisław, nie widząc, jak się tamci śmieją w kułak. - Trzech studenci zrobili dziwaczny zakład: każdy miał włożyć groch do butów i na tym grochu wejść na bardzo wysokie schody; ten wygra, który dojdzie na sam szczyt.

- Bardzo wesołe przedsięwzięcie. No i co?

- Jeden odpadł niedługo, bo mu się tak groch wbijał w stopy, że zaczął wrzeszczeć: drugi dotarł nieco wyżej, ze stękanem i jękiem, trzeci natomiast, śmiejąc się wesoło, doszedł do mety. A wiecie czemu? Bo zamiast twardego grochu włożył do butów groch rozgotowany. Sąd studencki przyznał mu wygraną, nikt bowiem nie zastrzegł, jaki ma być groch. Dlatego ja bym się z tobą nie założył.

- Bardzo roztropnie!

- Żebyś wiedział... Znacie zresztą starą bajkę o chłopku i o diable, co robili zakłady?

- Nigdy nie słyszeliśmy o tym, prawda, Zbyszku?

- To są historie z czytanek dla dzieci, ale bardzo pouczające. Założył się diabeł z chłopem, kto wyżej ciśnie kamieniem. Diabeł rzucił kamień tak wysoko, że spadł dopiero po godzinie. Tymczasem chłop złapał skowronka i udając, że trzyma w ręku kamień, rzucił ptaszka w powietrze. Czekali dwa dni, trzy dni, a kamień nie spadł i diabeł przegrał. Dlatego po raz drugi ci oświadczam, że nie chcę trzymać z tobą żadnych zakładów.

- Już nie potrzeba! - krzyknął radośnie Zenobi. - Przysięgałeś, że już nam niczego nie opowiesz, a opowiedziałeś, nieopatrzny człowieku, dwie awantury.

- Istotnie - zdumiał się Zdzisław. - Gdy się człowiek rozgada, to tak zawsze... To mi przypomina...

- Co, co ci to przypomina?

- A właśnie, że nie powiem - zaśmiał się Zdzisław. - Nie będziesz się ze mnie naśmiewał, ty licha imitacja człowieka. Patrzcie, jakiś zamaszysty dwór!

Przechodzili obok wspaniałych zabudowań; piękny pałacyk bielił się w parku i odbijał w czystej wodzie sadzawki. Tuż przy drodze stały ogromne stajnie i obory.

- Woły ryczą! - rzekł Zbyszek tak przejmującym głosem, jak gdyby niesłychane uczynił spostrzeżenie.

- Ktoś zapewne zrobił w tej chwili doniosłe naukowe odkrycie - oświadczył Zenobi.

- Co wspólnego ma ryk wołów z naukowym odkryciem? - zdumiał się Zdzisław. - Jeśli to ma być dowcip, to się będę śmiał.

- To nie jest dowcip, lecz ponura historia. Wiesz o tym, kim był Pitagoras? Grecki filozof i matematyk, który dokonawszy matematycznego odkrycia, ofiarował swoim bogom ofiarę ze stu wołów, po grecku: hekatombę. Od tego czasu, ile razy nauka uczyni jakieś odkrycie, wszystkie woły na świecie ryczą ze strachu.

- Ach, to dlatego! - zaśmiał się Zbyszek, a Zdzisław zawtórował mu cokolwiek grubszym głosem.

- Któż by mógł przypuścić taką wrażliwość i przeczulenie u wołów!

- Tak jest - rzekł Zenobi z powagą - i dlatego, gdy zjadam sztukę mięsa, staram się zjeść jak najwięcej, aby godnie uczcić matematykę.

- Sztuka mięsa, powiadasz? To mi przypomina...

Gadaj prędko!

- Teraz powiem. To mi przypomina, że zacna pani Moczydłowska zaopatrzyła nas w sposób przynoszący zaszczyt jej sercu. Poza tym maszerujemy już od pięciu godzin. Co o tym myślicie, przyjaciele?

- Ja myślę - rzekł Zenobi - że od chwili swoich narodzin, wcale zresztą niepotrzebnych, nie wypowiedziałeś myśli głębszej i wspanialszej.

- Rzeka! - zawołał Zbyszek.

- Tym lepiej, tym lepiej! Miniemy dużą wieś i zjemy obiad nad bystrą wodą. Uszli jeszcze szmat drogi i ledwie dysząc zrzucili juki nad brzegiem rzeki jasnej i czystej, wśród gęstych zarośli. Miejsce było rozkoszne i zaciszne.

- Panowie! - rzekł Zenobi. - Jesteśmy odziani pyłem dróg. Czy nie byłoby dobrze wykapać się przed obiadem? Od kilku już godzin mam głowę pełną marzenia o wodzie.

- Czemu nie powiesz prościej: "Od kilku godzin mam wodę w głowie"? - zaśmiał się Zdzisław. - Zresztą pomysł twój jest pełen wdzięku. Zbyszek, będziesz się kąpał?

- Już się robi! - krzyknął Zbyszek radośnie i zaczął zrzucać z siebie zakurzone szaty.

- Powoli, powoli! Najpierw trzeba wypocząć... Aleksandra Macedońskiego zgubił pośpiech, z jakim rzucił się w fale rzeki, będąc zgrzany. Rozchorował się i umarł.

- To mi przypomina - rzekł Zdzisław - że francuski poeta i dowcipniś, Scarron, do końca życia miał nieruchome nogi, bo spocony przepłynął Sekwanę.

- To już dwóch, a nas jest trzech. Nie masz pod ręką trzeciego sławnego człowieka, który się kąpał niepotrzebnie?

- Pod ręką nie mam, ale przypomnę sobie w wodzie. Teraz: "hul, Robak, na wodę!" -jak wołał król Sobieski do swojej oswojonej wydry. Jestem tak pokryty kurzem, że po kąpieli będę chudszy o trzy



kilogramy.

- Obawiam się, że potrujemy ryby! - wrzasnął Zenobi skacząc w nagrzaną wodę. Pławili się z niepojętą rozkoszą, z podziwem patrząc na świetne czyny Zbyszka, co, wychowany nad samą Wisłą, mógł się popisywać jak "Człowiek-ryba". Pływał znakomicie i nurkował jak poławiacz pereł na Cejlonie.

- Oj, on się chyba utopił? - krzyczał zaniepokojony Zdzisław.

- Myślę raczej, że albo usnął na dnie, albo szuka raków - odparł Zenobi.

- O, hej! - krzyczał Zbyszek z daleka, przepłynąwszy pod wodą dużą przestrzeń. - Płyńcie tutaj, bo tu nie ma kamieni. Dognali go wśród śmiechu, co tak pryskał srebrzyście jak woda, bita sześcioma parami rąk.

- Cudo, nie woda! - darł się Zdzisław. - To mi przypomina... Nie skończył, gdyż dał nurka i chcąc pobić Zbyszka wypłynął daleko. Gdy go dopędzili, zapytał Zenobi:

- Co ci przypomina? Nie skończyłeś zdania...

Zdzisław odpowiedział mu strugą wody i fontanną natrysków, dając tym początek bardzo wrzaskliwej i opętanej, wesołej wojnie, do której przyłączył się Zbyszek, kiepski na lądzie, ale straszliwy w wodzie przeciwnik. Trwoga musiała paść na ryby, które uciekały zadarłszy ogony, a przerażone raki chowały się zapewne w swoich ciemnych norach. Chłopcy, ogarnięci mokrym szalem radości, rozpryskiwali wodę jak młode hipopotamy, nie zwracając na to uwagi, że się oddalili bardzo od swoich rzeczy.

- Teraz jeść, jeść, jeść! - otrząbił Zenobi potężnym głosem. Wydostali się na brzeg i biegli pędem do tego miejsca w zagajniku, w którym wskoczyli do wody.

- To nie tu - rzekł Zdzisław, ocierając szybko wodę z oczów.

- Jak to: nie tu? Przecie tu leży mój własny kapelusz... - mówił zmienionym głosem Zenobi.

- Wiatr go zapewne tu przywiał - wtrącił Zbyszek.

- Wiatr? Wcale nie ma wiatru. Ej, co to znaczy?

Pobiegli dalej, nadaremnie szukając.

- Wy biegnijcie w górę, ja w dół! - krzyknął Zdzisław.

- Ktoś zabrał nasze rzeczy.

Rzucili się w pogoń z szybkością rozpaczki.

- Nie ma? - krzyczał Zdzisław.

- Nie ma! - odkrzyknęli mu z daleka.

- Szukajmy w zaroślach! Prędko, prędko, na Boga!

Jak trzy śmigłe ogary rzucili się pomiędzy krzewy, zdyszani, strwożeni i zropaczki: oprócz skąpego przyrodziwku wystarczającego do kąpieli byli przeraźliwie nadzy. Okropną pociechą był samotny kapelusz Zenobiego. Przeszukali każdy krzak, przetrzęśli wszystkie zarośla - ani śladu! W pobliżu były łąki, na których nie było widać nikogo, dalej rzadki las, za lasem senna wieś.

- Okradzione nas - rzekł Zenobi. - O Boże, co my teraz pocniemy? Zbyszek miał łzy w oczach, Zdzisław milczał zacisnąwszy zęby.

- Gońmy go! - krzyknął nagle rozpaczliwie.

- Na co ci się to zda? - mówił Zenobi. - W wodzie siedzieliśmy dłużej niż pół godziny. Złodziej musi być daleko... Nie będziemy biec goli...

- Coś przecie musimy zrobić! - rzekł Zdzisław gorączkowo. - A niechże cię piorun strzeli za ten pomysł z kąpielą. Ty to wymyśliłeś!

- Ja, ja! I cóż z tego? Czemu wrzeszczysz? - krzyknął Zenobi. Stanęli naprzeciwko siebie, rozdrażnieni i gniewni.

- Dajcie pokój - powiedział łagodnie Zbyszek. - To nie ma sensu... Nikt nie jest winien, bo nikt nie mógł przypuścić, że mogą nas obrabować. W tamtych gniew popołgował i usiedli bez słowa na ziemi.

- Tylko się utopić - rzekł Zenobi. - Przepraszam cię, Zdzisławie, jestem rozdrażniony.

- I ja cię przepraszam. Nic nam to nie pomoże, jeśli się pobijemy. Zenobi, co robić, co robić, na Boga?!

Powiedział to z taką rozpaczą, że aż mu głos zadrżał.

- Czy ja wiem? Nago do Warszawy wrócić nie możemy. Zostaliśmy bez odzienia, bez pożywienia i bez grosza przy duszy. Mamy trzy pary spodenek i jeden kapelusz... Zbyszku, nie płacz, bo mnie rozpacz chwytą... Trzeba myśleć, a nie płakać.

Milczeli ponurym milczeniem, rozmyślając.

- Musimy dobrnąć do wsi i zdobyć przede wszystkim jakieś okrycie.

- Przypuśćmy, że zdobędziemy... A co potem?

- Potem? Poślemy ze wsi posłańca do malarzów, aby nas ratowali. ~ To dobry pomysł, bardzo dobry pomysł, drogi Zenobi. Chodźmy czym prędzej, a po drodze jeszcze raz szukajmy. Zenobi chwycił niecierpliwym ruchem nieszczęsny kapelusz ocalały z pogromu i w milczeniu powiódł dwóch nagich przyjaciół w stronę wsi. Beznadziejnymi spojrzeniami szukali Jeszcze tu i ówdzie, byle tylko nie mieć sobie niczego do wyrzucenia.

W jednym miejscu Zbyszek pochylił się nagle i krzyknął: ~ Spinka!

W trawie błyszczała mizerna spinka, do której opryszek zapomniał dołączyć koszuli.

- To moja - rzekł Zdzisław ponuro. - To tak, jakbym miał klucz od drzwi do domu, ale nie miał domu; jakbym miał tytuł, ale nie miał książki.

- Patrzmy pilnie, może jeszcze co zgubił...

Nie znaleźli jednak nawet guzika i nie zauważyli żadnych śladów. Zacisnąwszy usta, zdążyli szybko ku wsi bielejącej za lasem i weszli wreszcie na wioskową drogę.

- O rety! - wrzasnął ktoś ze zdumienia.

Chałupy poczęły się nawoływać, dzieci powyłaziły jak niepoliczone myszy z zakamarków i z daleka, każdej chwili gotowce do ucieczki, otoczyły ich gromadą. Psy zdenerwowane niespodziewanym zgiełkiem zaczęły ujadać i wyć. Do powszechnej paniki brakło jedynie bicia w dzwony jak na pożar, ale i bez tego ludzie, na łąkach pracujący, porzucali wszystko i biegli ujrzyć niebywałe widowisko. Baby widząc trzech nagusów uciekały z krzykiem:

- Wariaty, wariaty idą!

- Jeśli nie zaczną rzucać kamieniami - rzekł Zenobi spoza zaciśniętych zębów

- dojdziemy.

- Trzeba zapytać o sołtysa - mówił Zdzisław.

Stanęli na środku drogi, a Zenobi zakrzyknął:

- Powiedzcie nam, dobrzy ludzie, gdzie tu mieszka sołtys! Któryś odważny kmiotek, przyglądający się im z otwartymi ustami, wskazał im chatę wiejskiej władzy.

Pobiegli tam czym prędzej, a gromada dzieci z piekielnym wrzaskiem pobiegła za nimi. Psy, wpadłszy w szal, biegły za dziećmi, a poważni ludzie za psami. Dostojny sołtys, ujrawszy nagle w swojej izbie trzech nagusów, zachwiał się na piętach, chcąc uciec, ale że nie było którędy, więc tylko krzyknął i chwyciwszy srogi kij wlepił w nich wielkie, porcelanowe oczy.

## IX. Fajka pokoju

Tłum ludzi otoczył chałupę, izba i sień były pełne. Dodało to odwagi roztropnemu sołtysowi, który zmiarkował, że gromada da radę trzem bezbronnym, nawet gdyby byli pozbawieni rozumu. Z wielką tedy ciekawością począł przysłuchiwać się gorącemu przemówieniu Zenobiego. Tłumaczył on jasno, skąpo używając wykrzykników dramatycznych, co się im przygodziło. Zdzisław wybijał interpunkcję tej wybornej mowy gorączkowymi ruchami rąk, a Zbyszek brał w niej udział kiwaniem głowy, stwierdzającym ponad wszelką wątpliwość prawdziwość mówcy.

- Ratujcie nas, panie sołtysie! - wołał Zenobi. - Okradziono nas niegodnie i podstępnie. W wasze ręce oddajemy całą sprawę. Niech pan zarządzi pogoń za złodziejami, niech pan wszystko zarządzi!

Sołtys spoglądał na nich zdumionym spojrzeniem, które było porcelanowym pytaniem, czego właściwie od niego chciał.

- Wal teraz ty - szepnęła Zenobi do Zdzisława. - Może mnie nie zrozumiał. Mowa Zdzisława była krótsza, bardziej zwięzła i treściwa i tym różniła się od wielkiej mowy poprzedniej, że zaczęło jej akompaniować żywe kłapanie zębów. W chacie było chłodno, przeto Zenobi i Zbyszek ulegli tej słabości. Sołtys słuchał bardzo pilnie i widać było, że nie jest od tego, by pojąć ogrom ich nieszczerstwa, zaczął bowiem kręcić głową, co świadczyło o szybkim wirowaniu myśli. Takim ruchem wirowym oddziela się śmietankę od mleka. Niczym tedy innym jak śmietanką było słowo, które wreszcie wypowiedział:

- Rozumiem... Pokażcie mi swoje papiery.

- Jakie papiery? - spytał Zenobi, pierwszy nagi młodzieniec.

- Dokumenty! - rzekł sołtys z mocą.

- Jakżeż my możemy mieć dokumenty, skoro jesteśmy nadzy? Nasze legitymacje mieliśmy w ubraniach, a ubrania nam ukradziono.

- Ja rozumiem - rzekł sołtys z doskonałą powagą - ale proszę mi pokazać wasze dokumenty.

- Mówimy wam przecie, panie sołtysie, że nie możemy ich mieć przy sobie.

- A dlaczego nie macie?

- Bo nam je ukradziono.

- Rozumiem... Ale bez papierów ja niczego nie wiem... Pokażecie papiery czy nie?

- Dobrzy ludzie! - krzyknął Zenobi. - Dajcie się nam czym okryć, a potem będziemy rozmawiali dalej.

- Pokażcie papiery, to wam coś damy - oświadczył sołtys - bez papierów nie wiem, kto wy tacy.

- Ale jakże my możemy mieć papiery...

- Daj pokój, Zenobi - przerwał mu Zdzisław. - Panie sołtysie! Gdy idziecie się kąpać do rzeki, bierzecie

ze sobą dokumenty?

- Ja się nigdy nie kąpię! - rzekł sołtys obrażony.

- Ale gdyby pan wlaź do wody?

- A po co?

- Wszystko jedno po co, czy ja wiem? Łowić raki, na przykład. Sołtys okrył się rumieńcem i spojrzał tak groźnie, że ani mowy nie mogło być o tym, aby kiedykolwiek zajmował się łowieniem głupich raków. W sieni też zaszemrano nieprzyjaznym szmerem i podano gromadzie wiadomość, że posądzenie trzech nagusów o ucieczkę z zakładu dla obłąkanych jest coraz bliższe prawdy.

- Więc co z nami będzie? - wrzasnął Zenobi.

Sołtys podrapał się w głowę i wygrzebał z niej dobry pomysł.

- Pokażecie papiery, to dobrze, a nie pokażecie, to was zamknę i dam znać do powiatu. Cicho tam! - zawołał w stronę drzwi, gdyż rozruch się tam uczynił.

- Co się stało?

Przez gromadę przedzierał się pastuszek, blady i zadyszany. Spoconymi słowami począł opowiadać, że w lesie odbywa się straszna historia; leży tam jakiś człowiek, a nad tym człowiekiem siedzi wielki, czarny pies. Człowiek zrywa się i chce uciec, a wtedy pies chwyta go za gardło. Trzeba prędko uwolnić tego człowieka, bo go pies zagryzie.

- Apasz! - krzyknął Zdzisław.

- Apasz! - powtórzył radośnie Zenobi.

- Apasz! - szepnął z głębi serca Zbyszek.

- Panie sołtysie! - mówił Zenobi gorączkowo. - To nasz pies... Schwytał złodzieja i już go nie puści.

Sołtys zaczął kombinować długo i w naprężonym milczeniu. Wreszcie zapytał przezornie:

- A nie jest on wściekły?

- Broń Boże! - krzyknął Zbyszek.

- No, to można zobaczyć - odrzekł sołtys z godnością. Długi wąż wił się po wiejskiej drodze; na samym czele biegł śmiertelnie przejęty pastuszek, za nim trzy golcy, za czym dzieci, psy, ludzie stateczni, wreszcie sołtys, tajemniczy i zadumany. Kilka bab biegło w straży tylnej, rzewnie sapiąc z nadmiernego wzruszenia. Jak świat światem, nic podobnego nie zdarzyło się we wsi.

- Tamoj, tam oj! - darł się pastuszek.

- Piesku najdroższy! - krzyczał Zenobi.

Ach, piękna to była grupa! Apasz jak wyrzeźbiony siedział na leżącym człowieku, czujny i gotów do natychmiastowej rzezi! Dokoła leżały plecaki i ubrania, malowniczo rozrzucone, z pewną niedbałością i z niefrasobliwym wdziękiem.

Gromada stanęła w bezpiecznym oddaleniu, sołtys jedynie wysunął się nieznacznie na niebezpieczny teren, nalawszy zdumieniem porcelanowe oczy. Zbyszek objął szyję psa i odciągnął go z trudnością od człowieka, ciężko dyszącego. Zdzisław i Zenobi rzucili się na odzienie i zaczęli wdziewać je z chętną radością.

- Zbyszek, ubieraj się! - krzyknęli.

- Nie mogę - odrzekł zdyszczanym głosem. - Niech zabiorą tego człowieka, ja tymczasem będę trzymał Apasza.

Pies drżał i dygotał, złego spojrzenia nie zdejmując ze złodziejaszka; Zbyszek trzymał go z całym wysiłkiem i z trudem udało mu się odwrócić psi łeb w inną stronę.

- Uciekaj! - wrzasnął Zbyszek.

Rzezimieszek, drżąc jak liść, podniósł się chyłkiem i chyłkiem pobiegł; nie uciekał jednak w stronę lasu, lecz wpadł w ludzką gromadę, aby tam szukać schronienia na wypadek ataku czarnego potwora.

- Cicho, cicho. Apasz... - szepnął gorącym szeptem Zbyszek. - Tam się nim zaopiekują.. Dobry pies, kochany pies... Spokojnie, spokojnie... Przynieście mi spodnie i придержajcie Apasza!

Gromada patrzyła na to wszystko jak na cyrk. Ponieważ sprawa z golcami była załatwiona, zajęto się nowym bohaterem, który wpadł z deszczu pod rynnę. Triumfalnie zaprowadzono go do więzienia, mieszczącego się w chlewie, opuszczonym przez stałych mieszkańców. Z ponurej tej ciemnicy więzień uciekł już po godzinie, otwartwszy sobie jej wrzeciędzie kopnięciem nogi. Uszczęśliwiona trójka mało troszczyła się o jego losy.

Chłopcy byli tak uszczęśliwieni, że byliby obdarowali złodziejaszka za to, że się dał schwytać Apaszowi, mieli zresztą ważniejszą na sercu sprawę: przywrócenie Apasza do czci, do wszystkich godności i przywilejów. Zbyszek ścisnął go wydając dziwaczne okrzyki, które pies wybornie rozumiał; od czasu do czasu spoglądał z ukosa na Zdzisława i Zenobiego oczekując z ich strony jakiegoś pojednawczego kroku. Zdziwiony był cokolwiek gorącym przyjęciem, jakie mu zgotowano, nie uczynił bowiem niczego nadzwyczajnego. Nie mógł pozwolić, aby obcy człowiek zabierał rzeczy jego pana. Każdy pies byłby to uczynił na jego miejscu. Zdaje się jednak, że nie tylko jego uwielbiany pan, ale i tamci dwaj są skłonni do przesadnego mniemania o jego czynie, okazują bowiem żywą radość i patrzą na niego wzrokiem przyjaznym, niezmiernie różniącym się od tego, którym go spiorunowano po zamachu na głupią kurę.

- Zbyszku! - ogłosił uroczyście Zenobi. - Bądź łaskaw zapytać, czy szlachetny Apasz przyjmie nasze podziękowania.

- Przyjmie - oświadczył Zbyszek z godnością. - Właśnie mówiłem z nim o tym.

- W takim razie dodaj jeszcze, że wszystko, co było, zostaje zapomniane i wspaniały Apasz, jeśli taka jego wola, zostaje z honorami przyjęty do naszej kompanii. Powtórzyłeś mu to?

Zbyszek objął głowę Apasza i długo mu coś tłumaczył miękkiem i pieściwym głosem. Na to przemówienie pies odpowiedział łagodnym mruknięciem.

- To mi przypomina - wtrącił Zdzisław - jak przed sądem przesłuchiowano Chińczyka, który był świadkiem morderstwa. Chińczyk bełkotał nadzwyczajnie szybko równo przez godzinę. "Co on mówi?" - zapytał sędziego tłumacza. "On mówi, że o niczym nie wie!" - odrzekł tłumacz. - Zbyszku, co mówi świadek zbrodni, Apasz?

- On mówi - odparł z powagą Zbyszek - że będzie szczęśliwy, jeśli zostanie przywrócony do czci, i że nie będzie nigdy kradł ani zabijał, jeśli zostanie nakarmiony.

- Przyjęte! - ogłosił Zenobi. - Czy umowa ma być spisana, czy będzie ważna "na gębę"?

- Należy ją poświadczyć przez podanie rąk - rzekł Zbyszek. - Apasz, zrozumiałeś wszystko?

Pies obnażył w uśmiechu białe kły. Każda kura, ujrawszy ten uśmiech, ujrzałaby śmierć.

- Apasz stwierdza, że rozumiał wszystko i godzi się na wszystko. Panowie - zawołał Zbyszek głosem urzędowym - podajcie sobie ręce! Pierwszy zbliżył się Zenobi i rzekł:

- Oto moja ręka!

Apasz spojrział mu mądrze w oczy i wyciągnął łapę niezbyt skwapliwie, lecz niemniej uprzejmie.

Ta sama ceremonia powtórzyła się ze Zdzisławem, który jednak nie wytrwał w sztywnej postawie, lecz nagłym, niespodziewanym ruchem objął psią głowę i przycisnął do piersi. Zaskoczony tym pies drgnął i przez chwilę starał się pojąć, co to wszystko ma oznaczać. Zrozumiał, trącił łbem nogę Zdzisława na znak, że do dyplomatycznego ceremoniału dodaje oznakę żywej przyjaźni. Napełniło go to taką niespodzianą radością, że począł wykonywać gwałtowne ruchy i wspaniałe skoki.

- Jest to odwieczny taniec zgody - objaśnił Zbyszek.

- Powinno go się tańczyć przy rozgłośnym śpiewie, oszczekującym radość chwali; Apasz jednakże przypisuje milczeniu najgłębszą wymowę. Ludzie, objawiający radość okrzykiem, napełnili nim cały las. Powrócili nad rzekę i rozpaliwszy ognisko zabrali się do przygotowania wielkiej uczy. Apasz usiadł z powagą jak milczący wódz indiański i nie mieszał się do spraw białych twarzy; natomiast okazał niejaką ciekawość, gdy biała twarz - Zenobi począł wygarniać z plecaków zawiniątka rozkoszną roztaczające woń. Gospodarz zakłętego domku okazał zgoła nieprawdopodobną wspaniałomyślność, a pani Moczydłowska wielkie serce. Z tymi zapasami, które włożyła im do worków, można było założyć sklep spożywczy na wielkim odpuście.

- Panowie bracia! - rzekł Zbyszek. - Kto ocalił te nieprawdopodobne bogactwa?

- Apasz! - odrzekły dwa głosy.

- Rzeczą tedy jest najszlachetniejszą, aby on jadł pierwszy.

- Oczywiście! - powiedział Zenobi. - Myślę jednak, że powinien okazać takt i powściągliwość, jeśli jest dżentelmenem.

Ponieważ Apasz miał poza sobą kilka dni tłustych, okazał wzruszające umiarkowanie i zjadł z godnością połowę pieczonej kury. Nie chcąc mącić pogodnego nastroju, nie dał poznać po sobie, że go dręczą gorzkie myśli: gdy on im przyniósł kurę, został poharbiony, gdy oni jemu dają kurę, wszystko jest w porządku. Niech i tak będzie...

- A teraz my! - krzyknął Zenobi.

- "Cieszymy się w Panu! - tysiąc głosów<sup>^</sup> wrzasło" - mówił Zdzisław. - To z "Konrada Wallenroda". Jeśli mi natychmiast nie dacie jeść - ha! - wtedy "padnę jako człowiek martwy pada". To z Danta.

- Daj mu prędko - wołał Zbyszek - bo zaczyna bredzić! Jedli z takim entuzjazmem, jak gdyby głodzili się od miesiąca.

- Słabo robi mi się na myśl - mówił Zenobi rozbierając kurczaka - że przed godziną byliśmy nadzy. Zbyszek, powali, bo się udławisz!

- To mi przypomina - rzekł Zdzisław z wielką powagą jak germański bożek piorunów, Thor. udał się do siedziby wrogów w dziewczęcym przebraniu. Wszystko było dobrze, dopóki nie zaczął jeść. Wyobraźcie sobie, że jak można o tym przeczytać w starych księgach: "Sto wołów wnet pożarła, dzikich udźców trzydzieści, stem chlebów to zagryzła, pić zachciała nareszcie". Zdziwili się wrogowie i cap bożka Thora za brodę: "Toś ty taka dziewczeczka?" - powiadają i po łbie panienkę. Z tego widać, że obżarstwo jest przywarą... Wobec tego daj mi, Zenobiuszku, jeszcze tego salcesona. Zenobi zanurzył rękę w brzuchu nadętego worka i począł wydobywać z niego papierowe zawiniątka. Jedno wydało mu się puste. Zmiał w rękę papier i cisnął go na wodę. Apasz, chociaż srogi zbój, mniemając, że jego przyjaciele pragną rozpocząć zabawę, jednym wspaniałym skokiem znalazł się w wodzie i schwyciwszy papier złożył go na kolanach Zbyszka.

- Widzę, że się pragniesz wykapać! - zaśmiał się Zbyszek i z powrotem cisnął papier w wodę.

Apasz wyłowił go po raz drugi i oddał go swemu panu.

- Czy tak długo potrafisz? - zaśmiał się Zbyszek. - Teraz chyba wyłowisz z dna...

Pozbierał smętne kurze kości, aby je owinać w zmoczony papier i rzucić do rzeki.

- Ha! - zakrzyknął nagle.
- W jakim to powiedziałeś języku? - zapytał Zdzisław.
- Mam wrażenie, że dosłyszałem akcent portugalski.
- Patrzcie - wołał Zbyszek - to jakiś list!

Wyglądził papier, który się okazał wielką kopertą złożoną we czworo.

- O! o! o! - zawołał Zenobi, przyjrząwszy się kopercie.
- Takie trzy "o" oznaczają w języku węgierskim wybitne zdumienie - powiedział Zdzisław. - Co was tak zdumiało?

Na kopercie był napis, nieco już zmyty przez wodę, lecz czytelny: "Do panów Zdzisława, Zenobiego i Zbyszka".

- Patrzcie, patrzcie... K-to to mógł napisać? Przecie nie złodziej? - z kolei zdumiał się Zdzisław.

W kopercie mieścił się list, a w liście banknot pięćdziesięciózłotowy. List gorącymi słowami oznajmiał, że podróż bez pieniędzy jest wprawdzie zajmująca, lecz czasem uciążliwa, wobec tego trzej panowie niech wybaczą serdecznemu przyjacielowi, że chyłkiem wsadza im między ich manatki te mizerne pieniądze. Jest to dar honorowy za zwycięstwo nad piekłem, wyraz wielkiej miłości i wiernego przywiązania. Ofiarodawca błaga o przyjęcie. "A kiedyś, kiedyś - pisał - gdy będziecie bogaci, oddacie te pieniądze biedniejszemu". Zamaszysty podpis oznajmiał, że list ten napisał autor wspaniałego obrazu, na którym garbaty dzik walczy ze sforą zielonych psów.

- Boże, jaka to zacna dusza! - zawołał wzruszonym głosem Zenobi.
- Oby już nigdy nie miał powodu do chwytania się za głowę! - rzekł Zdzisław.
- Czy my jednak możemy zatrzymać te pieniądze? Trzeba się będzie nad tym zastanowić, nie jest to bowiem błaha sprawa. To mi przypomina...
- Co ci to przypomina?
- Że jest nas tutaj czterech, ale dwóch tylko jest mądrych - obwieścił Zdzisław.
- Ejże? Kto taki?

Niemądry jest Zenobi, który pieniądze wrzuca do wody, i niemądry jest Zbyszek, czyniący to samo. Mądry jest pan Zdzisław, który do tego ręki nie przyłożył, a największym mędrce jest Apasz, który naprawił wasze szaleństwo. Oświadczam, że razem z Apaszem zdobędę świat! Apasz, dwukrotnie usłyszawszy swoje bandyckie imię powtórzone z rozczuleniem, przejechał zniecierpliwionym szerokim językiem po twarzy Zdzisława. ~ Pocałunek ten zasuszę sobie na pamiątkę - rzekł Zdzisław do Apasza. Pies kiwnął ogonem na znak, że jest mu to całkowicie obojętne. Po strasznym doświadczeniu z kradzieżą rada trzech z niemą zgodą Apasza uchwaliła, że odtąd ich własny kapitał, Podzielony odpowiednio, będą nosić przy sobie wszyscy trzej.

Banknot pięćdziesięciózłotowy będzie każdy z nich miał kolejno przy sobie przez trzy dni i będzie go strzegł więcej niż oka w głowie, z uwagi na to, że banknot jest jeden, a oczów jest para. Następna uchwała głosiła, że wobec okropnych przeżyć tego dnia należy dać odpoczynek znużonym wędrownikom, wobec czego można się przespać przez dwie, trzy godziny pod strażą Apasza. Jeszcze uchwała nie zapadła, a Zdzisław już spał. Po chwili Apasz strzegł trzech nieruchomych ciał, malowniczo leżących na łące. Ułożył głowę między przednimi łapami i nudząc się, rozmyślał. Czasem zerknął ostrym spojrzeniem w bok, gdy na pobliskim krzaku usiadł ptak. Czarna przyszłaby na niego godzina, gdyby zaufawszy niezmałowanej ciszy przyfrunął bliżej. Rozwaga kazała jednak Apaszowi nie mącić wybornych stosunków, które zapanowały w kompanii. Sprzykrzyła mu się zresztą samotność i ukrywanie się. Tak, jak jest, jest dobrze. Przyjaciele jego pana okazują mu jawną życzliwość, a ten grubasek po dwakroć dziś zagadał do niego niezwykle przyjemnym głosem. Można będzie z nimi jakoś

wytrzymać i nawet dopuścić ich do małej poufałości. Jedno jest jasne z dotychczasowych doświadczeń: nie należy przynosić pomordowanego drobiu. Nie, to nie... Trzeba ukrywać bohaterskie czyny i w razie gdyby się nawinęła kura lub młody, niezdarny i wiecznie przerażony indyk, załatwić tę sprawę w cztery oczy. Ciężko być jednocześnie i srogim wojownikiem, i tak zwanym uczciwym psem.

Czarne myśli skakały mu po głowie jak czarne pchły po ogonie. Znużony potężnym rozmyślaniami przymykał czasem oczy, nie pozwolił jednak zasnąć swej czujności. Natychmiast stanął na czterech łapach, gdy Zbyszek zbudziwszy się stanął na swoich dwóch.

"Idziemy?" - spytał go spojrzeniem.

- Jeszcze nie - odrzekł Zbyszek. - Najpierw ich trzeba obudzić. Operacja ta szczęśliwie trwała niedługo. Zaczęli zbierać manatki, czemu Apasz ciekawie się przyglądał. Nagle, bez najmniejszego powodu, wydał głuchy pomruk i jednym skokiem przepadł w gęstwinie zarośli.

- A jemu co się stało? - zdziwił się Zenobi. - Albo jest pomyłony, albo mu znowu jakaś mucha usiadła na nosie.

- To mi przypomina - rzekł Zdzisław - że... Jakiś człowiek zbliża się ku nam

- dokończył niespodziewanie.

Podszedł ku nim jegomość w stroju leśniczego i z dubeltówką na plecach. Podniósł dwa palce do czapki, co mogło oznaczać powściągliwe powitanie.

- Obóz? - zapytał.

- Coś w tym rodzaju - odrzekł Zenobi.

- Ostrzegam panów, że po okolicy wałęsa się wściekły pies. Właśnie otrzymałem wiadomość, że napadł i niemal na śmierć zagryzł biednego kmiotka.

- Nie wie pan. jak wygląda?

- Skąd mogę wiedzieć! Pewnie jak każdy chłop.

- Nie o to idzie. Jak wygląda pies?

- A pies... Wielki, czarny kundel. Mam tu dla niego dwie kule.

- Och! - jęknął Zbyszek.

- Niech się pan nie boi - zaśmiał się łaskawie zbrojny mąż.

- Ja nigdy nie chybiam. Jednak niech się panowie strzegą, a najlepiej będzie, jeśli opuścicie ten teren.

- Słusznie, słusznie! - rzekł szybko Zenobi.

- Żegnam panów...

- "Powodzenia w łowach!", jak mówi Kipling - zawołał Zdzisław.

- Kto taki? Kipling? Sądząc z nazwiska, musi być jakaś żydowska anegdota - oświadczył władca strzelającej śmierci.

Gdy już znikł w lesie, Zbyszek zaczął mówić szybko:

- Widzicie teraz, jaki to mądry pies? Poczul strzelbę z odległości dwustu kroków.



- Ten pies się nie uchowa - przyznał z wielkim uznaniem Zenobi.

- To mi przypomina - rzekł Zdzisław - o mądrości jednego psa, któremu jego pan dawał co dnia rano pięć groszy, a psina szła do piekarza i kupowała sobie bułkę.

Wyobraźcie sobie, co ten kundel zrobił! Przez pięć dni nic nie jadł, tylko składał pieniądze, a za dwadzieścia groszy kupił sobie ochłap mięsa u rzeźnika.

- Niemożliwe! - zdziwił się Zbyszek.

- Zupełnie możliwe, bo pozostał winien rzeźnikowi pięć groszy, gdyż ochłap kosztował trzydzieści. I co powiecie? Odnosił mu je po tygodniu, znalazłszy je na ulicy. Rzeźnik był tak wzruszony, że pieniędzy nie przyjął i dał mu kość. Sam mi. to opowiadał.

- Kto? Ten pies?

- Nie, ten rzeźnik. Och, bracia mili! Apasz wraca. Pies wylazł ostrożnie z chaszczów, pilnie przepatrując okolicę.

- Idziemy, idziemy! - szepnął gorąco Zbyszek.

Zebrali się czym prędzej i powędrowali w przeciwną stronę, bardzo szybkim krokiem. Apasz biegł przy nich, ale gdy się nadarzył rów lub inna wklęsłość, natychmiast w nią zapadał i przemykał się niewidocznie.

- Widziałem już wiele psów - mówił Zdzisław - ale takiego oczajduszy nie widziałem. On wszystko wie i wszystko rozumie. Czy ty go dawno masz, Zbyszku?

- Pół roku minęło...

- Czy wszystko o nim wiesz?

- Nic nie wiem.

- To wielkie szczęście. Zdaje mi się, że gdybyś znał najtkliwsze wydarzenia z jego życia, osiwiłbyś w wieku lat szesnastu. Jeśli psy mają swoją historię, rozdział jemu poświęcony musi być katastrofą. To jakiś psi Attyla, król Hunów. Zawarłem z nim przyjaźń, wypaliliśmy fajkę pokoju, laliśmy wodę na miecze, podaliśmy sobie ręce, więc nigdy o nim niczego złego nie powiem. To, co teraz mówię, pomnaża jedynie jego chwałę. Dziwny to jest jednak pies! Mam takie uczucie, że on nie tylko potrafiłby składać pieniądze, on potrafiłby je nawet fałszować. O! - skończył niespodzianie - Apasz jest najuczciwszym psem, jaki był kiedykolwiek na świecie. Uwielbiam Apasza!

- Cóż tak nagle? - zaśmiał się Zenobi.

- Nie widzisz, że wylazł z rowu i podsłuchuje? - szepnął Zdzisław. - Muszę tak mówić.

Roześmiał się cokolwiek nieszczerze, Apasz bowiem spojrział na niego podejrzliwie, po chwili zaś znowu wybiegł naprzód na przespiewki.

- Tfy! - rzekł Zdzisław. - Czy uwierzycie, że mi się zrobiło głupio? Widzieliście, jak on na mnie spojrział?

Zaśmiali się wesoło, radzi z jego zdumienia. Zbyszek był wyraźnie szczęśliwy, że jego pies okazał się szatanem.

Szli jego śladem, wiedząc, że ich poprowadzi, postanowili zaś wędrować aż do późnego zmierzchu. Zenobi gwizdał w rytm marszu, Zdzisław wciąż sobie coś przypominał, a Zbyszek zamyślił się głęboko. Po godzinie przystanął nagle i zakrzyknął:

- Już wiem!

- Co wiesz? Gadaj prędko, bo nieczęsto się zdarza, abyś coś wiedział.
- Już wiem - mówi Zbyszek - kto był ten trzeci...
- Jaki trzeci? Gdzie tamtych dwóch?
- No, ten trzeci, który skoczył zgrzany do wody i ciężko za to zapłacił. Mówiliśmy przecie o tym dzisiaj rano.
- Istotnie! Jeśliby ludzkość myślała tak prędko jak ty, równo za sto tysięcy lat wynaleziono by druk, a za milion lat mikroskop. Któż był ten słynny trzeci?
- Pierwszy był Aleksander Macedoński, drugi ten Scarron czy Makaron, czy jak mu tam, a trzeci był mój znajomy stolarz z Pragi. Wlażł do wody zgrzany i na amen odjęło mu nogi. Znam go!
- Stolarz, powiadasz? - zdumiał się Zdzisław. - Szkoda, że nie bednarz...
- Czemu szkoda? Dlaczego ma być bednarz? - spytał Zbyszek.
- Bo po znajomości wprawiłby ci piątą klepkę - rzekł Zdzisław serdecznie.

## X. Ślepa dziewczyna i siwy gołąb

Gdy w trzy dni potem szukali o zmierzchu miejsca na obóz i Zenobi chciał spojrzeć na lewo, Zdzisław zakrzyknął przeraźliwie:

- Nie patrz tam!
- Czemu? - spytał Zenobi ze zdziwieniem.

Zdzisław, nie odpowiadając, chwycił jego ramię i całą osobę tak wykręcił, że dokonała pół obrotu.

- Teraz już możesz - rzekł łagodnie. - Gdybyś był spojrział przez lewe ramię, byłbyś zobaczył młody księżyc najpierw lewym okiem, a to przynosi nieszczęście. Czemu się śmiejesz? To mi przypomina, że był taki jeden, co w to nie wierzył i umyślnie patrzył przez lewe ramię. I co? Tego samego wieczora tramwaj przejechał jego znajomego. Jak tu nie wierzyć w takie tajemnicze sprawy?
- Nie gadaj bzdurstw, bo wieczór jest piękny. Spójrzajcie! Niebo pękło i najcudowniejsze farby po nim się rozlały. Czy jest na świecie malarz, który by to namalował?
- Na niebiosach rozkwitły czarne lilie, a sierp księżycy zaraz je skosi - mówił Zdzisław.
- Pięknie to powiedziałaś...
- A ty brzydko czynisz, nie zapisując tego, co mówicie... Ale, śle... Rozstajne drogi... Którędy teraz iść - w lewo czy w prawo?
- To samo zmartwienie miał, jak wiadomo, Herkules. Pamiętasz wiersz: "Herkules na rozstajnych drogach"? Trzeba by o radę zapytać Apasza. Gdzie jest nasza malutka psina?
- Pognał naprzód, na lewo... O Boże, co to?

Z niewielkiej odległości wytrysnął z mroku przeraźliwy krzyk, będący raczej dziecięcym łkaniem:

- Ratunku!

Chłopcy rzucili się w tę stronę szalonym biegiem.

- Apasz! Apasz! - darł się Zbyszek okropnym krzykiem. Na środku drogi stała dziewczyna, mająca

może dwanaście lat, i cienkim płaczem wołała ratunku, opędzając się kijem przed psem. Ruchy jej były niezgrabne i niezdecydowane i widocznie bawiły psa, który nie miał złych zamiarów. Ponieważ jednak nawet dorosły człowiek byłby krzychał z trwogi na widok bestii nagle przed nim zjawionej, nie było w tym nic nadzwyczajnego, że małe dziewczynisko umierało ze strachu. To było jednak dziwne, że zawsze zamierzała się kijem właśnie w tę stronę, w której psa nie było. Apasz okrążał ją szybko i zręcznie, dając jej do poznania machaniem ogona, że nie chce jej uczynić nic złego, żąda jedynie zejścia z drogi, bo jego pan będzie tędy przechodził za chwilę.

Odegnany przeraźliwym krzykiem Zbyszka, usiadł opodal, czekając, co z tej awantury wyniknie.

- Nie bój się, nie bój się! - mówił Zbyszek zdyszonym głosem. - To dobry pies... Bawił się tylko... Cicho, cicho!

Proszę nie płakać...

Dziewczynka umilkła i dygotała całym ciałem.

- Już się nie boję - powiedziała głosem, z którego ociekały łzy.

- O, jakież to biedactwo...- szepnął Zdzisław, pokazując Zenobiemu jej postrzępione gałganki.

Zenobi nie odpowiadał, gdyż usilnie przyglądał się jej ruchom.

- Ona jest ślepa! - rzekł z drżeniem głosu.

Odkrycie to wywarło na nich wstrząsające wrażenie. W ostatniej, liliowopertowej poświacie dnia widać było wymizerowaną, bladą, brzydką i niezmiernie smutną twarz dziewczyny. Zbyszek tłumiąc wzruszenie dotknął jej ręki i uspokajał ją pieściwym głosem. Zaczęła go słuchać ze zdziwieniem, w którym przebłyskiwała radość pomieszana z ufnością. Zapewne nikt nigdy do niej nie przemawiał tak wśród twardych ludzi, ziemię orzących. Chyba matka. Okazało się jednak, że nie ma matki i że nie ma w ogóle nikogo. Tuli się u dobrych ludzi, którzy sami nie mają co włożyć do ust, więc co dnia o świcie wędruje do sąsiedniej wsi; tam albo przędzie, albo kołysz dzieci i za to ją karmią. Wieczorem powraca do swojej wsi, chyba że jest burza albo zamieć. Wtedy spędza noc w jakimś zakątku. W jej wsi taka jest bieda, że musi odbywać tę straszną drogę do ludzi zasobniejszych. Niedawno omal nie zginęła, gdyż ją najechały konie. Teraz nastraszył ją ten pies, ale to nic. Już się nie boi i musi iść dalej.

- Ale zaraz zapadnie noc... - zduszonym głosem rzekł Zbyszek.

- Nie szkodzi - odpowiedziała - mnie jest zawsze ciemno.

- O mój Boże! - szepnął Zenobi.

Zdzisław myślał nad czymś, wreszcie rzekł rozkazująco:

- Idźcie, chłopcy, poszukać miejsca na nocleg, a ja tę dziewczynę podprowadzę aż poza rozstajne drogi.

Nie czekając na żadną odpowiedź, ujął ją delikatnie pod rękę i począł prowadzić ostrożnie i powoli.

- Nie pójdziemy daleko! - krzyknęli za nim.

Zdzisław musiał prowadzić ślepą dziewczynkę szmat drogi, bo nie wracał tak długo, że ich zaniepokoił. Powrócił zdyszany PO dwóch godzinach, gdy Zenobi już się wybierał na poszukiwania.

- Odprowadziłem ją aż na miejsce - rzekł krótko. - I nie będę nic jadł.

- Czemu to?

- Przez gardło by mi nie przeszło. Byłem w tej chacie, w której mieszka dziewczyna. Gotowano tam łupiny z kartofli.

- Czy być może?

- Bez soli - dodał Zdzisław. - Chodźmy spać.

Noc jak ciężka, czarna, aksamitna zasłona zwiślała z wysokiego nieba, przybita do niego złotymi gwoździami gwiazd. Ziemia dyszała upałem jak chlebny piec. Apasz czuł niezamordowanie, nawet wtedy gdy i jego sen zmorzył; dość było jednak powiewu lub szelestu, aby szybko podniósł łeb i nasłuchiwał całym sobą. Ponuro, złym wzrokiem spojrzął w pewnej chwili w górę, gdy powietrzem przeleciał z ledwie dosłyszalnym szelestem zły duch nocny: sowa, i zaświecił dwiema latarniami oczów. Na gawieź nietoperzy, których lot jest czarną błyskawicą, nie zwracał uwagi. Gdy żałobna noc poczęła łać rosiste łzy z rozpacz, że ją za chwilę wypędzą ze świata, a we wschodniej stronie niebo stało się szare jak zgrzebne płótno, Apasz drgnął. W odległości pięciu, sześciu skoków od pola koniczyny smyknął z opętaną szybkością dziki królik. Gdzie jest jeden taki, musi ich być więcej. Tchórzliwe to tałatajstwo wąłesa się gęsto. Mgła zachwytu padła na psie oczy, serce zaczęło w nim dygotać. Czyż istnieje polowanie wspanialsze od łowów na królika? Głupota kury jest przeraźliwa, niezdarność kaczki pęta jej przyrodzony spryt, gęś broni się jako tako. Polowanie na tę ptasią hołotę nie daje żadnych wzruszeń.

Trzeba skoczyć, ukręcić szyję, i po całej paradzie. Potrafi to pies nawet haniebnie głupi, idiota z dziada pradziada. Upolować królika, szybszego nawet od żarłocznej psiej myśli, jest czynem znamienitym. Należy być wielkim łowcą, znakomitym łowcą, co spada jak piorun. Trzeba umieć przewidzieć każdy zuchwały lub zrozpaczony skok tej kłapouchej kreatury, umiejącej, uczynić skok nieprawdopodobny, i czarodziejsko zapaść się pod ziemię.

Kilka kropel rosy spadło z liści koniczyny. Apasz może założył się o własną głowę przeciwko zdechłej myszy, że tam jest królik! Zwinął się więc jak sprężyna, zmierzył odległość i zmienił własne ciało w kamień, który ciśnie jak z procy. W tej chwili Zbyszek westchnął przez sen. Wszystko przepadło... To westchnienie padło ciężko na drżące psie serce. Na nic cała robota. Nie wolno mordować, bo znowu zaczną się krzyki, wydziwiania, groźby i kwaśne miny.

Apasz nagłym ruchem odwrócił łeb i począł patrzeć na krzak. Nie chce niczego widzieć i nie pragnie słyszeć. Gardząc samym sobą, przetrwał w upadku ducha kilka godzin, aż do chwili obudzenia się tych ludzi, co go usidlili. Przyjaciele zjedli ostatki zapasów, uczynili tedy wojenną radę, gdzie i czym napełnić juki. Należało dobrnąć do pobliskiej miejsciny, oddalonej stąd wedle mapy o dwanaście kilometrów, i tam zaprowiantować obóz. "Spyża" będzie mizerna. Skończyły się obfite dary pani Moczydłowskiej.

- "Ptaszek śpiewa w dzień pogodny, a pan Zdzisław wciąż jest głodny!" - oświadczył Zdzisław.

- Jest to sentencja, która wcale nie ma sensu - rzekł Zenobi. - Jeśli chcesz żyć z poezji, skapiejesz marnie z głodu, tym bardziej że ci nie pozwolimy uciec z kapitałami. Oddaj pięćdziesiąt złotych do przechowania Zbyszkowi.

- Dobrze - rzekł ziewając Zdzisław. - Później...

- Dlaczego później? Noszenie przy sobie takich ogromnych pieniędzy nie jest przyjemnością. Niech się inny trochę pomartwi. Na mnie też przyjdzie kolej.

- Oczywiście, oczywiście - mówił Zdzisław. - Co cię tak przypiliło? Hej, Apasz! Może byś i ty ponosił trochę ten dziurawy namiot? Widzicie, jaki to pies? Wszystko rozumie, ale gdy mu zaproponować noszenie ciężarów, udaje bęcwała. Idziemy, miłe dziatki...

- Ale, cóż u licha, z tymi pieniędzmi? Czemu się uparteś? - pytał Zenobi.

- Powiedziałem ci, że później - rzekł twardo Zdzisław spojrzawszy mu głęboko w oczy.

- Jak ci się podoba.

Cokolwiek porywczy Zenobi wzruszył zniecierpliwiony ramionami patrząc za Zdzisławem, który wysforował się naprzód.

Zbyszek, idący obok Zenobiego, rzekł nieśmiało po długim milczeniu:

- Zenobiuszku, mam do ciebie prośbę...

- Gadaj, przyjacielu...

- Chciałem cię prosić, abyś o tych pieniądzach przestał mówić. Zenobi aż przystanął z wielkiego zdumienia.

- Dlaczego? Dlaczego nie mam mówić?

- Jak by ci to wytłumaczyć? Otóż widzisz, czasem tak jakoś, że to niby było

- nie było...

- Zbyszku! - rzekł Zenobi. - Nie gadasz z Apaszem, tylko ze mną, wobec tego używaj ludzkiej mowy. Co chcesz powiedzieć?

Zbyszek zmarszczył czoło, w wielkim natężeniu ducha szukając używanych między ludźmi wyrazów.

- Zaraz ci wytłumaczę... Otóż pamiętasz, była kiełbasa?

- Była. I cóż z tą kiełbasą?

- Dałem ją Apaszowi. Ja wiem, że wyście o tym wiedzieli, a żaden nie powiedział słowa. Czekaż, nie przerywaj! Była czekolada?

- Była. Dałem ją biednym dzieciakom i nikt o tym nie wspomniał.

- Właśnie, właśnie! - zawołał Zbyszek radośnie. - Jak ty od razu wszystko w lot przejrzysz! No i tak jest z tymi pieniędzmi. Były i już ich nie ma. Nie warto o tym gadać!

- Jak to: nie ma? A gdzie są?

Zbyszek długo mocował się z własnym duchem, wreszcie duch zakrzyknął:

- Zdzisław dał je tej biednej, ślepej dziewczynie!

- Skąd wiesz? - zawołał Zenobi zdumiony.

- A czy to taka wielka sztuka wiedzieć o tym? Po co chodził aż do wsi? Aby wszystko spenetrować. Na Boga przysięgnę, że tym biedakom dał pieniądze. Gdy powrócił, był szalenie wzruszony i aż się trząsał. Przecie nie chciał nic jeść. Rozumiesz? Zdzisław nie chciał jeść! Gdyby ziemia się rozpadła, on by jeszcze jadł. Pomyśl teraz, jak biedaczysko musiał być przejęty... A ty go dręczysz i dręczysz: "a gdzie pieniądze, a czemu nie oddajesz pieniędzy?" - i tak w kółko. On rozmyśla teraz, w jaki sposób przyznać się do tego i - czy ja wiem - może ma łzy w oczach...

- Zbyszku! Przestań, przestań... Jestem mandryl, złośliwy magot, słowem: orangutan. Oczywiście, że tak jest, jak mówisz, oczywiście! Przecie i ja bym tak uczynił, i ty uczyniłbyś to samo. Wiesz, co ci powiem? Zdzisław uratował nasze sumienia. Jak mogliśmy, widząc taką nędzę i taką rozpacz, bezradną i ślepa, nie poratować tego dziecka?

- Mnie to przyszło na myśl, ale wiesz dobrze, że nim się wygamam, minie doba. Potem się uspokoiłem, gdyż wiedziałem, że to Zdzisław załatwi. Zenobi spojrział rozrzuwionym wzrokiem przed siebie. Zdzisław szedł szybko z pochyloną głową, gryząc się czymś w samotności. Przyspieszyli kroku i wnet go dopędzili. Przyjaciel spojrział na nich uważnie, dojrzał jednak tylko dwa serdeczne uśmiechy. Zenobi począł mówić skwapliwie o pogodzie i o igraszkach chmur na wysokim niebie.

- Chmury są od zachodu - rzekł - i zbyt jest parno. Boję się trochę, że nas zleje. Pogoda trwa zbyt długo.

- A do miasteczka daleko - bąknął Zdzisław. - Wyjdźmy na gościniec, bo trzeba walić szybko.

- Mamy przecież namiot! - obwieścił Zbyszek triumfalnie. - Co nam burza zrobi?
- Wolałbym zwyczajny parasol niż ten namiot padyszacha - zaśmiał się Zenobi.
- Dźwigamy go zupełnie niepotrzebnie, prawda, Zdzisławie?
- Wielka prawda i chociaż jest to jakaś rodzinna pamiątka, chętnie ją oddam jakiemuś bezdomnemu psu na budę.
- Pies nie jest ślimakiem, aby nosił budę ze sobą. Zrobimy z niego lepszy użytek... Zrzuć go z pleców, utrudzony Zdzisławie.
- Dobrze, a co teraz? Szkoda go tak porzucać.
- Zaraz, zaraz - rzekł Zenobi. - Hej, ty Parysie!
- Kogo wołasz? - spytał Zdzisław zdumiony.

- Pastuszka, o, tego, który tam pasie dwie krowy. Ponieważ najślynniejszym pasterzem w historii był Parys,

syn Priama, ten, co to był powodem wojny trojańskiej, więc świetne to imię nadałem temu smykowi.

- Zawołaj raczej: "Michałku, synu Wojciecha!"

Zdziwiony pastuszek, zapowiadawszy swoim krowom, że je ręka boska skarzę, jeśli wleżą w owies, zbliżył się nieśmiało.

Dowiedziawszy się, że został właścicielem namiotu, tak wspaniale wybałuszył niebieskie oczy, że musiał je przytrzymać ręką, aby nie wypadły. Nie powiedział ani słowa z tego powodu, że go nadmierne wzruszenie "zatkło". Stał oczarowany i ponad wszelkie pojęcie szczęśliwy, słuchając, co ma czynić, aby namiot ustawić.

Gdy dziwni ofiarodawcy odeszli, wesoło roześmiani, chłopczyna zaczął wołać jak opętany, zwołując pospolite ruszenie pasterskiej braci, daleko po okolicy rozrzuconej. Zdzisław złożył dłonie i wrzasnął jak przez trąbę:

- "Pastuszkowie, przybieżajcie!"

- Lżej ci, chłopaczkę? - śmiał się Zenobi.

- Mam wrażenie, że byłem garbaty i nagle garb mi odpadł - wołał Zdzisław. - Już nie jestem wielbłądem.

- Chciałeś powiedzieć, że straciłeś jedynie wygląd wielbłąda, bo o duchowej przemianie nic nie wiemy.

W tej chwili poczuł lekkie kopnięcie.

- O! I wierzgasz jeszcze starym zwyczajem - dodał Zenobi kryjąc się za Zbyszka. - Apasz, dokąd?

Pies zdradzał dziwne zniecierpliwienie i tak jakoś krążył, jak gdyby chciał zawrócić.

- Ach! - zawołał Zbyszek. - On chce wrócić i capnąć tego chłopczynę, przekonany, że nam odebrał namiot. Apasz! W tej chwili tutaj! "Jak się panu podoba" - mówił Apasz ponurym spojrzeniem.

- Trzymaj go, bo będziemy na naszej drodze zostawiać trupy! - krzyknął Zenobi.

Szli przez jakiś czas rozprażonym gościńcem, gdy usłyszeli poza sobą turkot furki. Chcieli zejść w rów, aby nie znaleźć się w chmurze pyłu, furka jednak zatrzymała się przy nich z wielkim jękiem łańcuchów i ze zgrzytaniem nie smarowanych osi. Powoził nią brodaty Izraelita, za którym usadowiła się jakaś

bardzo kolorowo odziana matrona i jakiś szaraczek. W tyle siedział również brodaty rodak woźnicy, sennie się kiwający.

- Panowie do miasta? - zagadnął woźnica.

- Albo co? - dyplomatycznie zapytał Zenobi.

- Mogę podwieźć. To bardzo daleko.

- Okazja nie jest najgorsza - rzekł Zdzisław.

- A ile to będzie kosztowało? - zawołał Zenobi.

- To zależy... Którą klasą chcą panowie jechać?

- Jak to: którą klasą? Czy to pociąg?

- Kto mówi, że pociąg? To jest koński autobus, co ma trzy klasy. Zaśmiali się wszyscy równocześnie i spojrzeli na pasażerów wozu, którzy przysłuchiwali się rozmowie z senną powagą i bez najmniejszego zdziwienia.

- Ten brodaty człowiek jest wielkim dziwakiem - mówił Zdzisław. - Dobrze, jedziemy! Daj pan trzy trzecie klasy.

- Trzecie? - zdumiał się oryginał. - Takie panowie? Trudno... Mogę dać trzecie. A ten psina?

- Ten psina pobiegnie za wozem. Ile kosztuje?

- Razem jeden złoty pięćdziesiąt, ale kredytu nie ma. Brodaty pasażer posunął się, a oni, wciąż się śmiejąc, rozmieścili się na wozie.

- Ten mąż izraelski lubi facecje - zaśmiał się Zdzisław.

- Co mu strzeliło do głowy, aby dzielić furkę na klasy? Chude koniska biegły bez entuzjazmu, leniwie podnosząc sztywne nogi, do czego wesoły woźnica zachęcał je przedziwnym cmokaniem i okrzykami pełnymi gorzkich wyrzutów:

- Ty siwy, ciągnij! Co jest, co?

- Biedne koniska - rzekł Zbyszek. - Żałują, żeśmy wsiedli.

- Powiedział jeden mądry Anglik - przypomniał sobie Zdzisław - że: "jeśli się tylko jeden koń dorożkarski znajdzie na sądzie ostatecznym, sprawa ludzkości będzie przegrana". Całe szczęście, że droga niedaleka. Przed nimi zjawiła się niewielka wyniosłość drogi. W tej chwili woźnica zawołał gromkim, urzędowym głosem:

- Mała górka! Pierwsza klasa siedzi, druga klasa siedzi, trzecia wysiada! Brodaty pasażer, widocznie z trzeciej klasy, bez słowa wyskoczył z furki.

- Panowie wysiadają! - zawołał woźnica.

Trzej przyjaciele wybuchnęli potężnym śmiechem.

- Ach, to takie urządzenie! - zawołał Zenobi. - A pani?

- Ja mam pierwszą klasę - odrzekła dama, patrząc na niego z politowaniem.

- Moje uszanowanie... A pan?

- Druga! - oznajmił szaraczek z wysokości.

- Wio, koniki, wio! - zawołał woźnica.

Czterej pasażerowie mizernej klasy trzeciej dreptali pracowicie przy wozie, aż dobrnął do szczytu wyniosłości, po czym znowu wsiedli. Ceremonia ta powtórzyła się kilka razy, aż drugi rozkaz oznajmił:

- Większa górka! Pierwsza klasa siedzi, druga klasa wysiada, trzecia klasa wysiada.

Do czterech łapserdaków trzeciej klasy przyłączył się jedyny pasażer klasy drugiej.

- To wielka głowa! - rzekł z uznaniem Zenobi wskazując woźnicę. Po upływie godziny, gdy już widać było miasteczko, genialny Automedon zakrzyknął wielkim głosem:

- Straszna góra! Pierwsza klasa siedzi... Druga klasa wysiada... Trzecia klasa wysiada i popycha wóz!

- Sprawiedliwie! - zawołał Zdzisław. - Popychajcie, przyjaciele! Uczynili to z wesołym zapałem, głośno wykrzykując.

- Hej, panie woźnica! - zawołał nagle Zenobi.

- Co jest, co?

- Ten pasażer z trzeciej klasy - mówił wskazując brodatego męża - udaje tylko, że popycha. Położył rękę na poręczy i stęka, a nic nie robi. Tak nie wolno.

- Bo on jest słaby na piersi - mówił woźnica. - Pan słyszy, jak on kaszle?

- Wcale nie słyszę!

Wózek wydrapał się tymczasem na "straszną górę" i triumfalnie zaturkotał na kocich łbach drogi, wpływającej na rynek miasteczka.

- Stacja! - obwieścił woźnica. - Pierwsza klasa wysiada, druga klasa wysiada, trzecia klasa wysiada!

Apasz, pasażer czwartej klasy, zmienił nieco barwę skóry, gdyż wkroczył do miasteczka całkowicie popielaty.

- Należałoby go wytrzepać - rzekł Zenobi - ale przedtem trzeba z niego zdjąć skórę, bo inaczej nie pozwoli. Ale czemu to wszystkie sklepy pozamykane?

- Przecie to niedziela - powiedział Zbyszek. - Właśnie ludzie idą na sumę.

- Chodźmy i my. Ale "co po psie w kościele"? Co z nim zrobić?

- Zaraz to urządzę - oświadczył Zbyszek.

Pod niskim murem ogradzającym stary kościółek, przez ogromne lipy strzeżony jak przez olbrzymów, złożyli swoje lekkie już bardzo manatki. Wtedy Zbyszek nachylił się ku Apaszowi.

- Połóż się tu, piesku, i pilnuj! - mówił cichym głosem.

- My pójdziemy podziękować Panu Bogu, żeśmy tu szczęśliwie doszli. Możesz sobie łapać muchy, jeśli ci się będzie nudziło, ale nie wolno nikogo chwytać za nogi! Będziesz leżał spokojnie?

"A cóż mam robić?" - odparł Apasz wymownym spojrzeniem. W kościele unosił się ciężką, pachnącą chmurą dym kadzideł. Przez kolorowe szybki przesiąkała złota woda słońca i barwiła się dziwnie. Przez otwarte okno wleciał żółty motyl i usiadł na bukicie kwiatów. Organy dudniły i śpiewały jakby drżącym, ludzkim głosem. Tłum ludzi wzdychał nabrzmiętymi piersiami i zdawało się, że stroskane, zgryzota toczona serca rzuci z tym wzdychaniem przed ołtarz. Właśnie odwrócił się od niego ksiądz i



gorącym szeptem wymówił błogostawieństwo: "Pan z wami"! Chłopcy, co ukłękli w tłumie, spojrzeli z rozczuleniem na jego twarz; była to twarz staruszka, złotożółta, zmarszczkami poorana, a okraszona uśmiechem i serdecznie dobrego dziecka. W spojrzeniu jego niewysłowiona była słodycz. Stary był jak te lipy przed kościołem i taki łagodnie rozszemrany jak i one. Wymawiał słowa modlitwy miękkim, tkliwym szeptem, jak gdyby całował każde słowo. Gdy trzeba było modlitwę wynieść aż pod samo niebo, wtedy organy zatrzymywały dech w piersi, stawała się cisza, a on oznajmiał zasłuchanym ludzkim sercom śpiewając: Vere dignum et iustum est.... Śpiewał głosem cieniutkim, jakby wyblakłym. Nie poruszył nim nawet dymu z kadzideł, co się unosił w powietrzu, ale za to najtwardsze poruszył serca. Śpiewane słowa były jak zmęczone ptaszki, co z trudem wielkim podlatują w górę, aby wylecieć przez kolorowe okna. Staruszek podniesionymi rękami wskazywał im drogę ku wysokościami, gdzie Pan Bóg mieszka. A Pan Bóg, ze wzruszeniem w oczach, słuchał tego śpiewania i mówił zapewne: "Słyszę cię, dobrze cię słyszę, służko wiemy... Nie trudź się, nie trudź, słodki biedaczyno!" Ale staruszek, uśmiechnięty, ślicznym spojrzeniem spojrzawszy na kolorowe litery mszału, ostatnie słowa, wielką czerwoną pisane literą, wyśpiewał całym krzykiem serca: In saecula saeculorum. Zdawało mu się, że je potężnie wyśpiewał, bo srebrnym swoim, osiwiiałym głosem zbudził huczne organy, które buchnęły gromko: Amen! - zbudził srebrne dzwonki, które strząsnęły z siebie krople dźwięków jak rozedrgany kwiat krople rosy i zbudziły wielkie, głębokie westchnienie ludzkie.

Jakaś wielka rzewność zalała trzy chłopięce serca. Zdawało im się, że ten siwy gołąb od ołtarza, ile razy się odwróci, patrzy na nich i do nich się uśmiecha. Zenobi pochylił się ku Zdzisławowi i szepnął gorącym szeptem:

- My wiemy, że pieniądze dałeś ślepej dziewczynie...
- Tak - drżącym szeptem odpowiedział Zdzisław.
- Dobrze uczyniłeś... dobrze uczyniłeś... kochany.

## XI. Wanda skacze do wody, a Neron zgrzyta zębami

Po sumie, jak zwykle w małym miasteczku, przed kościołem, w pachnącym cieniu lip, odbyło się towarzyskie zebranie. Miejscowi patrycjusze witali się z tymi, którzy przybyli na nabożeństwo z okolicznych wsi, z "dziedzicami". Ponieważ ostatni raz widzieli się wszyscy ubiegłej niedzieli, każdy wykrzykał radośnie: "Wreszcie się spotykamy!" albo "Kopę lat, kopę lat, pani dobrodziejko!..." Patrycjuszów było mało: doktor, aptekarz i naczelnik poczty, wszyscy bardzo znudzeni. Ponieważ rzadko kto w miasteczku chorował i czasem tylko umierał, pan doktor nie miał wiele do czynienia, co pociągało za sobą beczynność aptekarza. Naczelnik poczty niewiele więcej miał zajęcia, gdyż stosunki tego miasteczka z szerokim światem nie były zbyt rozgałęzione. Ani Londyn, ani Rzym nie miały z nim żadnych interesów. Czasem je sobie przypominała Warszawa i przysyłała gazety. Z tych trzech grubych ryb najruchliwszą była osoba pana aptekarza. Był to mąż pięknej postawy, odznaczający się przedziwną czarnością uwłosienia. Włosy jego miały jednak tę tajemniczą właściwość, że w nadmiernym gorącu puszczały z siebie farbę. Zenobi zauważył ze zdumieniem, że po miłym i pogodnym obliczu tego męża spływają cieniutkie, nieokreślonej barwy sznureczki, a włosy, przed chwilą czarne jak krucze skrzydło, nagle posiwiały. Nie zwracał on jednak na to uwagi i kraciastą chustką ocierał ponure ślady, rozmazując je na obliczu.

- Parno, parno i owszem, proszę pana! - wołał potrząsając dłonią chudego doktora.

Obejrawszy się dokoła w poszukiwaniu kogoś, komu mógłby zdradzić tajemnicę o wielkim upale, zatrzymał wzrok na trzech wędrowcach, co usiedli pod murem i patrzyli na miłe towarzyskie ceremonie. Ponieważ, sądząc z ruchów, odznaczał się żywością usposobienia, zbliżył się do nich i przyjrzał im się ciekawie.

- Panowie w podróży i owszem, proszę pana, co? - zapytał grzecznie.
- Owszem, proszę pana - odpowiedział bezmyślnie Zenobi. Tamten spojrział podejrzliwie i choć miał oblicze mokre, rzekł sucho:
- Czemu pan mnie przedrzeźnia i owszem, proszę pana?
- Ja? Nigdy w życiu! Najmocniej pana przepraszam - szybko mówił Zenobi, pojawiając się, że istotnie tak mogło wyglądać.

- Jeśli zachowałem się głupio, to mimo woli.

- Doskonale, doskonale! - uradowanym głosem rzekł tamten. I owszem, proszę pana! Wszystko w porządku. Skąd panowie?

- Z Warszawy.

- Z Warszawy? I owszem, proszę pana... To dobrze. Wielki świat, modny świat! Apteki tam wspaniałe, co?

Zenobi ugryzł się w język, przerażony, bo już chciał powiedzieć: "i owszem, proszę pana!"

- Takie sobie - powiedział szybko.

- Bo ja jestem aptekarzem i owszem, proszę pana. Zioła sprzedaję, a jakże... Wymyśliłem krem na piegi i farbę na włosy. Doskonałą farbę! W Warszawie zrobiłbym majątek, ale w tej dziurze i owszem, proszę pana, można zginać. Widać było wyraźnie, że mówiąc, myśli równocześnie o czym innym. Zdaje się, że jakaś wielka myśl paliła mu się w głowie i tak ją rozgrzała, że doskonała farba własnego wyrobu zaczęła spływać obficie.

- Panowie są uczniami? Z gimnazjum i owszem, proszę pana? Co? Trzy głowy skłoniły się wytwornie.

- A na długo tu do nas?

- Przenocujemy - rzekł Zdzisław - i pójdziemy dalej.

- Panowie! - szepnął tajemniczo pan aptekarz. - Ja mam myśl i owszem, proszę pana! Doskonałą myśl. Idźcie do mnie, do apteki. O tam, w rynku... Ja się tu i owszem, proszę pana, pożegnaj i za dziesięć minut tam będę. O, a ten pies?

- To nasz - rzekł szybko Zbyszek.

- Aha! Srogie bydlę i owszem, proszę pana! Za dziesięć minut... Apteka "Pod Orłem", zresztą można łatwo się dopytać, bo drugiej tu nie ma. Do widzenia, mili przyjaciele!

"Przyjaciele" spojrzeli na siebie ze zdumieniem.

- I owszem, proszę pana! - zaśmiał się Zenobi. - To jakiś przyjemny człowiek, tylko robi kiepską farbę. Gdyby się chciał pomalować na Murzyna, od razu by zbiegł, byleby tylko stanął przy piecu. Pójdziemy do pana aptekarza?

- Cóż nam to szkodzi? Chodźmy... Zbyszek, trzymaj Apasza, bo na ulicy wałęsają się kury. Nie rozlewajmy krwi w tym miłym miasteczku. Niedługo zjawił się aptekarz "i owszem, proszę pana" i zaprosił ich do obszernego mieszkania za apteką. Apasz, należący do kompanii, wlażł za nimi, pragnąc zaś być w szacie godowej, rozkraczył się na środku pokoju i tak energicznie wstrząsnął się cały, że pył podniósł się chmurą. Pan aptekarz spojrzął z niezadowoleniem.

- Czy ten pies nie mógł tego uczynić w sieni? Och, jaki kurz i owszem, proszę pana! Gdyby panowie pragnęli pozbyć się tego kundla, ja mu chętnie dam truciznę. Jedna pigułka i nie ma psa. Co?

- My go bardzo kochamy - rzekł z oburzeniem Zbyszek. Chwycił Apasza za kudły i wyprowadził go do ogrodu, po czym powrócił chmurny.

- Panowie zostaniecie u mnie na obiedzie. Czym chata bogata, tym struje... I owszem, proszę pana. Niech się pan tak nie chmurzy, panie młody. Pies też dostanie swoją kość. Zresztą, powiem panom po cichu, że moje trucizny nie są groźne. Na wiosnę truliśmy w naszym miasteczku szczury i co I owszem, proszę pana! Teraz jest ich więcej, niż było, a żadnego moja trucizna nie zakatrupiła.

Zbyszek poweselał, trudno zresztą było gniewać się na rozmownego aptekarza. Obiad był dobry i obfity, chociaż niespodziany.

- Jedzcie, jedzcie, młodzieńcy - zachęcał ich gospodarz.

- Olej rycynowy jest pod ręką i owszem, proszę pana... Po obiedzie oznajmił pan aptekarz, w jakim celu odbyło się to niezwykle przyjęcie.

- Mam takie uczucie, żeście mi, panowie, spadli z nieba. Od tygodnia myślę i wymyślić nie mogę. I owszem, proszę pana... Ujrzawszy was, pomyślałem: oto są ludzie, którzy mi pomogą.

- Bardzo chętnie - rzekł Zdzisław. - O co idzie?

- O to, że za trzy dni są imieniny naszego księdza proboszcza, bo jemu Wincenty na imię. Wincenty a Paulo... Postanowiliśmy obchodzić je uroczystie, a wszyscy do mnie: "niech pan coś wymyśli". A ja w tych sprawach jestem głupi i owszem, proszę pana.

Co ja wymyślę? Gadałem z naczelnikiem poczty i uradziliśmy, żeby zrobić amatorskie przedstawienie i żywe obrazy. Niech się staruszek ucieszy...

- To piękny pomysł - oświadczył z powagą Zenobi. - Ale co my...

- A właśnie, właśnie... Co panowie? Bardzo wiele! Przecie wy w szkole urządzenie takie hece i owszem, proszę pana. Śpiewy, deklamacje i znowu śpiewy, quantum satis... Panowie, ratujcie komitet! Komitet jest w rozpacz i owszem, proszę pana. A ja jestem komitet.

- Czemuż się pan tego podjął?

- Ja? - zdumiał się aptekarz. - Przenigdy! Bo to było tak: jak panowie zapewneście zauważyli i owszem, proszę pana, jak smoła przyczepiło się do mnie takie niemądre porzekadło. Wszystko robiłem, aby się odzwyczaić, ale łatwiej wyrwać ząb. Zawsze byłem bardzo grzeczny i na każde pytanie klienta w aptecce odpowiadałem bezmyślnie: "i owszem, proszę pana!" I tak mi już zostało. Straszliwe są tego skutki. Niedawno przyszedł ktoś do mnie, naciągacz jeden, i pyta: "Czy może mi pan pożyczyć sto złotych?" A ja, zamiast pokazać mu drzwi, rzekłem swoim zwyczajem: "I owszem, proszę pana!" Niech się panowie nie śmieją; płakać raczej trzeba nade mną. Tak było i z tymi imieninami. Powiadają mi: "Pan się tym zajmie!" A ja od razu: "I owszem, proszę pana!" Słowo się rzekło... Czy panowie rozumiecie moje położenie?

- Tak, to bardzo przykre - rzekł Zenobi kiwając współczująco głową.

- Bóg zapłać za dobre słowo... Wiedziałem, przed kim się zwierzam. Kocham młodzież i owszem, proszę pana. Coś mnie natchnęło, gdy ujrzałem wasze inteligentne twarze. Chłopaki najdroższe! Zostańcie tu u mnie przez kilka dni, na moim utrzymaniu oczywiście, i coś wymyślimy. Zgoda? Chłopcy spojrzeli po sobie z zakłopotanym uśmiechem, sami nie wiedząc, co mają uczynić. Nagle rzekł Zdzisław:

- Ten wasz proboszcz jest to taki kochany staruszek i tak się do nas ślicznie uśmiechał, że wszystko zrobimy, aby ta uroczystość była wspaniała. Pan aptekarz zaczął ich ścisnąć czule, każdemu zostawiwszy na policzku ślady farby.

- Ale, ale... jakie artystyczne siły są na miejscu? - pytał Zdzisław.

- Siły artystyczne? I owszem, proszę pana, ale z tym jest krucho. Ja kiedyś pasjami lubiłem deklamować...

- To doskonale!

- Nie, to na nic - jęknął aptekarz. - Założę się z panem, o co pan chce, że gdy zawołam: "Pójdźcie, o dziatki, pójdźcie wszystkie razem" - zaraz dodam: „i owszem, proszę pana”, a wszyscy będą myśleli, że to dziatki tak mówią. Ani w tym sensu, ani ładu, ani składu. To na nic, na nic... Jako deklamator jestem zgubiony.

- Nikogo pan sobie nie przypomina?

- Zaraz... zaraz... Jest! Jest tu jeden golarz, co umie robić magiczne sztuki z kartami, z kapeluszem, z

zegarkiem i z pierścionkami. Bardzo zręczny człowiek i owszem, proszę pana, tylko że jednego razu zaczął robić sztuki z pierścionkiem wziętym od żony rzeźnika i do dnia dzisiejszego tego pierścionka znaleźć nie można. Do sądu go zaskarżyli...

- Ten szlachetny artysta odpada. A na fortepianie kto gra?

- A jakże, a jakże! Tylko że fortepianu nie ma w całym miasteczku. Jeden Cygan ma za to skrzypce i owszem, proszę pana, ale jak z Cyganem robić imieniny dla księdza, co? Prawda, że nie wypada? Cygan nie wytrzyma, a ludzie mają zegarki.

- Trudno, trudno istotnie - mówił zamyślony Zdzisław.

- Ale będziemy myśleć, a jutro panu wszystko powiemy. Gdy zostali sami, Zenobi rzekł:

- Czyś ty oszalał, chłopie? Wpakowałeś nas w straszliwą kabałę! Jakże my zrobimy taką uroczystość?

- Jeszcze nie wiem - zaśmiał się Zdzisław - właśnie mamy nad tym pomyśleć. Przyznam ci się, że bardzo mi się podoba pan aptekarz, a dla tego staruszka wszystko zrobię. I może nie będzie nadzwyczajnie, ale coś będzie. My sobie odpoczniemy, pomieszkamy i pożywimy się, a dobrym ludziom wiele damy radości.

- Chyba ty sam - powiedział gorzko Zenobi. - Ja nie umiem.

- Przeciwnie, Zenobiuszku, przeciwnie... - uśmiechał się Zdzisław tajemniczo.

- Ja też niczego nie umiem - dodał nieśmiało Zbyszek.

- Wszystko będzie dobrze, i owszem, proszę pana! - oświadczył Zdzisław. Nazajutrz odbył wielką konferencję z aptekarzem, którego ogarnęło takie podniecenie, że dziesięć razy sprawdzał, czy zamiast żądanego proszku nie daje kupującemu strasznej trucizny. Potem trzej przyjaciele, słuchając ślepo wskazówek samozwańczego dyrektora prowincjonalnej trupy, odwiedzili sklepy kupując gwoździe i sznurki. Na własną rękę Zdzisław złożył wizytę w jakimś domu, potem razem zwiedzili zamarałą w tym czasie szkołę. Krwawo pracowali przez cały dzień, to jednak było najdziwniejsze, że Zdzisław pracował nawet w nocy.

- Co on robi? - zdumiał się Zenobi.

- Zdaje się, że pisze wiersze - odpowiedział tajemniczo Zbyszek.

- Skąd wiesz, że wiersze?

- Bo wciąż liczy na palcach i bardzo stęka.

Uroczystość miała się odbyć we czwartek, we wtorek zaś wiedziało już o niej całe miasteczko. "Trupa", powiadomiona wreszcie o wspaniałych zamiarach swojego dyrektora, pracowała do siódmego potu.

- To się może udać! - mówił Zenobi.

- Udać się? To będzie nadzwyczajne! - zawołał Zbyszek. Aptekarz całkowicie posiwiął, gdyż ogarnięty gorączką, zapomniał uczernić sobie włosy.

- Niech kosztuje, co chce! - szeptał. - I owszem, proszę pana... Epoka w naszym mieście, olimpiada... Ha!

Największa izba szkolna była wspaniale przystrojona choiną i chorągiewkami z bibułki. Festyn miał się rozpocząć o godzinie ósmej wieczorem, a już od szóstej wielki w niej był tłok. Prości, dobrzy ludzie, miłujący całym sercem swego księdza, cisnęli się tłumnie; rozmawiali szeptem, zgorączkowani i ponad ludzką miarę zaciekawieni. Coś wspaniałego, coś nie widzianego jeszcze kryje się za zasłoną zszytą z sześciu prześcieradeł, w sześciu zamożnych domach pożyczonych na słowo honoru Zdzisława i za poręką pana aptekarza. Trzej przyjaciele i - o dziwo! - Apasz już od poobiedniej pory byli na stanowisku; nieco później zjawił się magik-golibroda, ale nie w charakterze artysty - o nie! - lecz jako

fryzjer teatralny. Ponieważ w miasteczku nikt się nie golił w dnie powszednie,

człowiek ten oddał z zapalem pusty swój czas do dyspozycji Zdzisława. I on też miał wypieki na obliczu. A pan aptekarz oszalał!

Przybiegał z niedalekiej apteki co pół godziny, przynosząc wieści o wszystkim, zdumiony, przejęty, zachwycony, niefrasobliwy, zrozpaczony i znowu pełen nadziei.

Około godziny ósmej udała się na plebanię tłumna delegacja i wiodąc cudownego staruszka pod rękę, przywiodła go do zaczarowanej sali. Staruszek, słodki biedaczyna, uśmiechał się, niezręcznie kryjąc przerażenie. Bronił się, wymawiał, tłumaczył, ale jak dziecko dał się zaprowadzić i usadowić w fotelu naprzeciwko sześciu prześcieradeł.

W izbie szkolnej było tak gorąco, że każdy termometr z trzaskiem by pękł; aby było tym cieplej, trzydzieści świec gorzało namiętym blaskiem. Dzwonek, dzwonek, słysząc dzwonek!

To wielki mistrz ceremonii, uczony Zdzisław, dawał znak. Błady był i uroczysty. Spojrzał groźnie, jak wódz przed bitwą na swoich żołnierzy. W porządku. Zenobi zaciął usta, Zbyszek jedynie drży cokolwiek. Aptekarz oparł się o ścianę i nerwowo szepce czytając coś z małej kartki.

- Zaczynamy! - przejmującym głosem rzekł Zdzisław. - Muzyka!

W izbie ucichły nagle wszystkie szmery i szept. Spoza sześciu prześcieradeł, za nie rozsuniętą umyślnie kotarą, zagrzmiały gromkie tony "Marsza Rakoczego". Zdzisław zdobył gramofon! Zdzisław zdobył płytę z nutą triumfalną... Tratatata - tratata! I jeszcze raz! I jeszcze raz! Rakoczy maszeruje wprost na staruszka księdza, co przestraszonym wzrokiem patrzy na białą zasłonę, spoza której brzmi burza na jego cześć. Ręce podniósł w wielkim zdumieniu i słucha jak zaczarowany. A Rakoczy: "Tratatata! bum! bum! tim-tam-tra-ta-ra-tim!" Cudownie! cudownie!

Przeszedł wódz, przejechały armaty i na chwilę cisza zaległa, dźwiękami na głowę pobita. Trwało to jednak chwilę tylko. Jak ptactwo, na które ktoś kijem cisnął, zerwały się oklaski: to bywalcy, co w większych bywali miastach, użyli tego znanego sposobu wyrażania zachwyty i z miejsca nauczyli go nieśmiały.

- Jeszcze raz! - krzyknął Zdzisław. - Zenobi, puszczaj! Zenobi pchnął generała Rakoczego w plecy i dzielny generał zaczął na nowo "Tra-ta-tatata!" Wspaniałym marszem obszedł raz jeszcze płytę dookoła, trąbami się oznajmiając.

Zdzisław, nie zważając na oklaski, podskoczył ku ścianie, która podierała ślaniającego się aptekarza.

- Na pana kolej! Uwaga... Zenobi. Kurtyna! - rozkazał zduszonym głosem. Każda kurtyna jest to złośliwa małpa i zacina się zawsze; Zenobi szarpnął jednak mocno i błada zasłona, zgrzytając, rozsunała się. Na scenie było pusto. Stały na niej tylko doniczki z kwiatami, a na samym przedzie krzesło. Sto par oczów ogarnęło to samotne krzesło.

- Jeszcze nie! - szepnął Zdzisław. - Niech najpierw obejrzą kwiaty... Raz, dwa, trzy, cztery... Już!

Chwiejnym krokiem, ślaniając się, jakby był ranny, wyszedł zacny aptekarz i stanął obok krzesła. Gdyby nie ono, upadłby albo uciekł; krzesło go trzymało, bo je kurczowo ujął ręką. W izbie podniósł się szmer, jak gdyby kto szorstką miotłą wymiatał resztki zgiełku.

- Już! - szepnął z ukrycia Zdzisław.

Aptekarz spojrział w jego stronę, przytaknął głową i zaczął. Zaczął mowę. Wielką mowę: "W imieniu komitetu obywatelskiego i wszystkich mieszkańców naszego miasta..."

- To Zdzisław pisał tę mowę - szepnął Zbyszek w ucho Zenobiego. - Słuchajmy...

Warto było słuchać. Każde słowo miało kształt serca, a co drugie było kwiatem; wszystkie klękały przed dobrym człowiekiem i wielbiły go za słodycz i mądrość, za ubóstwo i wyrzeczenie się i za to, że ostatnim kęsem chleba dzielił się z nędzarzem. Słuchacze mieli łzy w oczach, a staruszek ksiądz

niezmiernie zdumienie, jak gdyby słuchał cudownej jakiejś opowieści. Pan aptekarz mówił długo, długo, bo Zdzisław nie znał miary w zachwycie. Wreszcie jednak zdążył do końca. Dotąd, świetnie całą mowę na pamięć umiejąc, nie zmienił ani słowa, lecz teraz zalało go wzruszenie.

- "... dlatego wielbimy cię, najdroższy księżu proboszczu. I dlatego w dzień twoich imienin wznoszę okrzyk... i owszem, proszę pana!... to jest... chciałem powiedzieć... niech każdy twój dzień będzie szczęśliwy! Żyj wiecznie i zawsze bądź z nami i owszem, proszę pana!" Nikt nie zwrócił uwagi na te dobrotliwe dodatki do wielkiej mowy. Wywołała ona taki entuzjazm i takie zbudziła głosy potężne, że płomienie świec chwiać się poczęły. Ksiądz - biedaczyna wparł siwą głowę w ramiona, jak gdyby się chciał schronić przed burzą okrzyków i przed lawiną serc. Szczęście Jego, niezmiernie szczęście, dygotało od wielkich wzruszeń.

- A co? a co? - szepnął gorąco Zdzisław do triumfalnego mówcy, gdy z trudem zsunęto zasłonę.

Tamten dyszał ciężko, mając obłęd w oczach: gdy wreszcie schwycił się odrobiny rozsądku jak spadający turysta krawędzi skały i pojął, że już ocalał, rzucił się w ramiona Zdzisława.

- Teraz ja! - oznajmił śmiertelnym głosem Zdzisław.

- Otrzyj twarz, otrzyj twarz - szepnął Zenobi gorączkowo.

- Pan aptekarz uczernił cię na Murzyna.

Zdzisław otarł oblicze krawędzią prześcieradła i rzekł głucho:

- Kurtyna!

Śmiało spojrzął na dyszącą salę. Zaczął mówić, ale wydało mu się w pierwszej chwili, że to nie on mówi, lecz ktoś za nim:

- "Pogrzeb Kościuszki".

Nikt nigdy nie wiedział, jaki związek miał pogrzeb pana Naczelnika Kościuszki z imieninami księdza proboszcza Wincentego a Paulo. Najważniejsze jest, że nikt z obecnych wcale się nad tym nie zastanawiał. Po co? Zdzisław kołysał głosem powoli, jakby rozkołysał dzwony. Majster wyborny! Kiwał się przy tym całym ciałem raz na lewo, raz na prawo, a taką jest moc ułudy, że słuchacze też, jak zahipnotyzowani, kiwać się zaczęli. A on dzwonił potężnie:

- "Biją - razem - wszystkie - dzwony, jak ludowe głosy, jęczą - (pauza) - kwilą - (pauza) - modlitwami pną się pod niebiosy..." A gdy wśród tych głosów dzwoniących wyszedł na wawelskie wzgórze, tu i ówdzie ktoś westchnął głęboko. Pyszenie mówił, wspaniale deklamował. Ksiądz staruszek zawisnął spojrzeniem na jego wargach i zdawało się,

że szeptem każde powtarza słowo. Prości ludzie słuchali jak oczarowani; zdawało się, że idą w procesji w żałobnym milczeniu. Gdy skończył, "amfiteatr oszalał"

-jak mówi Sienkiewicz.

- Powiedz coś na bis! - szepnął Zenobi.

- Nie umiem...

- Musisz!

- Zaraz, zaraz... Aha! Kurtyna!

Ku niezmiernemu zdumieniu słuchaczy ów młodzian, przed chwilą boleścią złamany, zjawił się na scenie roześmiany jak księżyc w pełni. W spojrzeniu miał rozigraną wesołość. Magik! magik! Tak głos odmienił, że nikt by nie poznał, że to ten sam, co przed chwilą ponure dźwięki dzwonów wydobywał z brzucha. Ha! Cudowny staruszek przetaił oczy i usta otworzył ze zdziwienia. A Zdzisław opowiadał:

- "Był sobie dziad i baba, bardzo starzy oboje, ona kaszłająca i słaba, on skurczony we dwoje..."

Gdy począł udawać skrzeczenie starej baby i bezzębne gadanie skurczonego staruszka, ludzkie gęby zaczęły się krzywić dziwacznie, a osoby zaczęły podrygiwać. Efekt był jeszcze wspanialszy niż z pogrzebu Kościuszki. Aptekarz, nie mogąc znaleźć słów zachwytu, zdołał krzyknąć jedynie: "i owszem, proszę pana!" Zdzisław zaś jak wielki aktor, co z siebie wypuszcza obcego ducha, ciężko dyszał. Rozpromieniony był i szczęśliwy.

- Pauza! - zawołał Zenobi. - Zbyszek, muzyka!

Gramofon odchrząknął i z nagłą irytacją począł śpiewać włoską arię. Na sali szmer, coraz to narastający, omawiał epokowe zdarzenie.

- Panie, co mówią, co mówią? - pytał Zdzisław aptekarza, który uczynił wyprawę na widownię.

- Mówią i owszem, proszę pana, że czegoś podobnego jeszcze nie widzieli. O Boże, jak ja się panu odwdzięczę?

- Mnie? Teraz dopiero pan zobaczy mistrza. Zenobi, jesteś gotów?

- Jestem gotów na śmierć! - odrzekł Zenobi czarnym głosem.

- Mogę zapowiedzieć?

- Możesz, ale uważaj, aby cię nie pobili.

Zdzisław uciszył rozgwarzoną salę i, już jako jej znajomy, pewnym głosem oznajmił:

- A teraz popisywać się będzie jeden z największych artystów doby obecnej, wspaniały i niezrównany naśladowca głosów natury i wszelkich innych głosów. Prosimy! - dodał, zwracając się w głąb sceny.

Zenobi wyszedł, skłonił się wdzięcznie i ogłosił krótko:

- Ryk lwa!

O rany! Cofnął się w przerażeniu staruszek ksiądz, cofnęli się słuchacze. A Zenobi:

- Lokomotywa!

Żadna lokomotywa na świecie nie wydała przeraźliwszego głosu, nawet przed katastrofą.

A potem:

- Krowa! Wieprz! Wielki pies! Mały pies! Zepsute radio! Zapalenie lampy gazowej!

Oszaleli słuchacze. Solenizant miał taką minę, jak gdyby chciał uciec przed czarnoksiężnikiem. Jeszcze jeden głos wydał Zenobi, a staruszek przeżegnał się i zawołał: *Apaga satanas*

Ale Zenobi zawołał:

- Orkiestra wojskowa!

Wtedy przeszedł sam siebie. Czegoś podobnego nie słyszano w owym mieście, a zachwyty tym był szczerzy, że każdy mógł wybornie porównać sztukę wielkiego artysty z oryginałem, szczególnie gdy wszedł w niego duch krowy lub wieprza. Ciekawość ludzka była rozpalona do białego żaru, gdy rozsunięto zasłonę po raz trzeci. Spodziewano się czegoś nadludzkiego, gdyż pauza trwała trzy kwadransy, a spoza zasłony słychać było szepty, stuk młotków i dziwne głosy. Przygotowywano się do czegoś wielkiego.

- Aaa! - zdumiała się sala.

Na ławce, pokrytej trawą i zielskiem, stała z rozwianym włosom dziewczyna. Oczy postawiła w słup, a obie ręce wyciągnęła przed siebie. Gdzieś z boku padało na nią zielone światło. Tyle było rozpaczy w ruchu tej dziewczyny, że ludzie poczęli wzdychać.

Wtedy ozwał się ponury głos ukrytego za parawanem Zdzisława:

- "Królowa Wanda skacze w fale Wisły!"

Teraz dopiero pojęli widzowie cały ogrom tragedii.

- Kurtyna! - zdławionym głosem zawołał Zdzisław. - Ławka się chwieje... Wanda zleci!

Wnet ukazał się drugi "żywy obraz".

Na podłodze, obłożony ogromnymi kawałami waty, leżał człowiek (aptekarz). Nie ruszał się, sierota. A czemu? Bo zamarł na kość. Nad nim, też watą udekorowany, stał nieruchomy Apasz. U szyi przywiązany miał koszyk, z którego wyglądała szyjka butelki napełnionej mlekiem. Niewidzialny dla publiczności Zenobi, stojąc na szczycie drabiny, sypał na tę zaziębioną grupę białe papierki, co miało znaczyć, że wali gęsty śnieg. Głos, nabrzmiały boleścią, oznajmił:

- "Pies z Góry św. Bernarda ratuje wędrowca zagrzebanego w śniegu!" Apasz grał wybornie: opryszek ani drgnął i taką miał minę, jakby się miał rozpłakać.

Po kwadransie ukazał się cud trzeci.

- "Neron ogląda pożar Rzymu!" - ogłosił Zdzisław.

- Pan naczelnik! - szepnięto w tłumie.

Za kulisami szalał pożar: to Zbyszek poruszał na zmianę raz czerwoną, a raz białą latarnią i syczał przy tym jadowicie sykiem płomienia. Krwawy cesarz stał nieruchomy na pace do węgla przykrytej bardzo jaskrawym kilimem; na głowie miał złoty wieniec z papieru, a w ręku lutnię papierową, na której siedem sznurków siedem udawało strun. Wspaniała to była postać! Nie to jednak było dziwne, że Neron zamiast amethystowej tuniki miał na sobie zieloną kapę z łóżka i pluszową portierę; nie to było dziwne, że na nogach miał palone buty z cholewkami, i to nie było najdziwniejsze, że Miedzianobrody miał brodę czarną i potężną. Tym jednak wprawił w obłąkane zdumienie i księdza, i wszystkich widzów, że za kulisami szalał pożar, a ten człowiek - ani drgnął! On, który na okrzyk: "pali się!" - zrywał się z łóżka wśród głębokiej nocy. Albowiem cesarzem, co się pożarowi przygląda, nie był nikt inny, tylko wszystkim znany naczelnik ochotniczej straży pożarnej! Było coś strasznego w tym pomysłu, aby naczelnik straży pożarnej podpałał Rzym i ogniem go pustoszył. I nie tylko przyglądał się "morzu" płomieni, słyhać bowiem było wyraźnie, jak zgrzytał zębami z nieludzkiej uciechy. Zdumieli się dobrzy ludzie, a ksiądz proboszcz mrugał oczami. Całe szczęście, że te wszystkie okropne wypadki z wodą, śniegiem i ogniem przeminęły szybko, aby uczynić miejsce zdarzeniu rzewnemu. Gdy zasłona rozstała się po raz czwarty, wielkie wzruszenie ogarnęło zebranych. Na scenie stał człowiek w czarnym stroju, z przełamanym bochenkiem chleba w rękach.

Nikt nie poznał, że to naczelnik poczty, bo i jakże można było poznać? Naczelnik poczty był człowiekiem młodym i cokolwiek rudym, a ten był siwiutki i na blade pomalowany sztuką golibrody. Kim jest ten staruszek? Przed nim klęczą trzej młodzieńcy (nasza trójka) i wyciągają ręce po chleb, i takie mają miny, jakby od dwóch miesięcy nic nie jedli. Wtem zagrzmięło spoza sceny aptekarskim barytonem:

- "Święty Wincenty a Paulo karmi głodne dzieci i owszem..." Dalej nie powiedział. Gdyby był jednak powiedział "proszę pana!" - nikt nie byłby usłyszał, tak rozgłośnie wzdychanie ozwało się w rozrzuconej gromadzie. Ten i ów ocierał łzy, wszyscy zaś pojęli, że ten najzacniejszy ksiądz Wincenty niczego innego nie czynił przez całe życie, tylko karmił chlebem, a gdy chleba zabrakło, własne łamał serce. Gdy zsunęto zasłony, rwetes uczynił się na sali:

- Księdzu słabo... Wody! wody!

Starowina uśmiechał się tklawie, ale oczy miał pełne łez. Za wiele szczęścia, za wiele... Takie wspaniałe przedstawienie, jakiego jeszcze nie widział... Trwało jednak cztery bite godziny, więc trochę osłabł. Gdy go blade uśmiechniętego wyprowadzono troskliwie, Zenobi rzekł ponuro:



- Zdzisław, omal nie zabiliśmy świętego człowieka...
- I owszem, proszę pana... - rzekł aptekarz. - Ale to ze wzruszenia, ze wzruszenia!
- Słusznie. Trzeba mieć końskie zdrowie, aby wytrzymać coś podobnego - mówił Zenobi. - Cezarze! Czemu się pan nie rozbiera?
- Bo w tym kostiumie muszę pójść do domu - odparł Neron. - Obiecałem żonie, że się jej pokażę, bo nigdy nie widziała Nerona.
- Niech tylko cesarz zwróci łaskawie kapę z łóżka, bo to nie nasza - wtrącił pochmurnie Zdzisław.

## XII. A co? Przydał się pies!

Znowu napęczniały tobołki i stały się podobne do opasłych brzuchów; poza tym miły aptekarz napełnił ich kieszenie wszelkim dobrem, złożonym z ziółek i plastrów, maści na piegi i na piękną cerę. Ten skład apteczny rozdawali po drodze pastuszkom z łagodnym ostrzeżeniem, aby maści nie jedli. Szli rozradowani i dumni z siebie. Zdzisław jedynie, prawdziwy artysta, nie był całkowicie z siebie zadowolony.

- Byłbym im jeszcze kropnął "Marsz żałobny", ale mi jakoś do głowy nie przyszło, a w żywych obrazach świetny byłby Napoleon na pokładzie "Bellerofonta". Nie można było tylko zrobić morza...
- Kilka bałwanów było, ale to za mało - rzekł niewinnie Zenobi.
- Ustąpcie, jakieś auto pędzi - ostrzegł Zbyszek.

W chmurze pyłu gnał wspaniały wóz; minął ich, przeraźliwie ryknął i zatrzymał się zaledwie ich minawszy. Przy kierownicy siedziała piękna panienska w zielonej czapeczce, spod której wymykały się złote kosmyki. Odwróciła się ku nim i zawołała wesoło:

- Czy to słynna trupa teatralna?
- Czy ona do nas mówi? - szepnął Zenobi.
- Nikogo tu nie ma prócz nas... - bąknął zakłopotany Zdzisław. Zbliżyli się do auta i skłonili z szacunkiem.
- Czy pani pytała nas o co? - zapytał Zenobi.
- Pytałam, czy to panowie są tymi sławnymi artystami, co urządzili przedstawienie dla księdza proboszcza.
- Tak, to my... Skąd pani wie?
- Jak to: skąd? Cała okolica o niczym innym nie mówi od dwóch dni. Podobno można było boki zrywać...
- Jak to pani rozumie? - zapytał Zdzisław groźnie. Panienska spojrzała filuternie, ale rzekła z powagą:
- Ze wzruszenia, oczywiście, że ze wzruszenia. Ksiądz był u nas wczoraj i powiedział, że płakał.
- To święty człowiek! - zawołał Zdzisław.
- Ja też go bardzo kocham... A dokąd panowie teraz idą?
- Przed siebie.
- Słusznie, bo tylko wariaci i raki chodzą tyłem. Wobec tego siadajcie, podwożę was.

- A dokąd pani jedzie?

- Do miasta, a stamtąd do dziadka, na wieś. Czterdzieści kilometrów mogę wam ofiarować, bo potem jadę w bok, bardzo daleko. W mieście porzucę was na bruku. Siadacie czy nie?

Oni porozumieli się oczami.

- Siadamy! - oznajmił Zdzisław. - Ale jest mała przeszkoda. Ten pies. Apasz zrobił taką niewinną minę, jak gdyby w życiu swoim nie dotknął kury. ~ To jakiś niemrawy kundel - zaśmiała się panienka. ~ Niech siada. Pan przy mnie, panowie na tylnym siedzeniu, a pies z wami. Jazda! Prorok Eliasz jechał wolniej do nieba na swoim ognistym wozie. Panienka najwyraźniej oszalała i gnała z niezmierną szybkością. Automobil połykał długą, białą drogę, jak zgłodniały olbrzym połyka makaron. Pęd przyprawił ich o zawrót głowy, a wiatr siekł ich po twarzy. Zbyszek i Zenobi, siedzący w tyle, przechyliłi głowy i zupełnie ich zamroczyło.

- Sto kilometrów! - krzyknęła panienka. - Co pan mówi?

- Nic - odrzekł Zdzisław. - Odmawiam modlitwę za umarłych. W tej chwili przyszło mu na myśl, że niepotrzebnie oddali pastuszkom plastry i maście; teraz, gdy się roztrzaskają o najbliższe drzewo, byłoby czym skleić jakąś głowę, jeśli jeszcze jakaś dałaby się skleić. Snadź jednak ksiądz proboszcz Wincenty wyprosił dla nich zmiłowanie u Pana Boga, bo już widać było wielkie miasto, oddychające wielu wysokimi kominami, a oni jeszcze żyli. Ponieważ wóz musiał się opamiętać, zaczęli żywić nadzieję, że ich do miasta nie wniosą w oddzielnych pakunkach, lecz że dojadą żywi.

- No i co? - zaśmiała się panienka, gdy przystanęli.

- Mielicie duszę na ramieniu?

Zenobi złapał oddech jak ptaka, co chciał powrócić do klatki, i rzekł:

- Sto kilometrów? Boki zrywać... To żadna szybkość!

- Jak to: boki zrywać? - zdumiała się panienka.

- Tak samo jak po naszym przedstawieniu. Ale serdecznie pani dziękujemy.

- Ale dlaczego "boki zrywać"?

- Ze wzruszenia, ze wzruszenia, proszę pani! Dziękujemy raz jeszcze...

- Ach, to tak? - zaśmiała się. - Dał mi pan dobrą nauczkę. Strasznie jesteście śmieszni i przyjemni. A pan czemu tak zbladł? - zapytała Zbyszka z nagłą troską.

- Nic... nic mi nie jest... o, naprawdę... Trochę było prędko. "Co on wyprawia z nogą?" - pomyślał Zenobi, bacznie go obserwując. Zbyszek najwyraźniej czynił jakieś porachunki z Apaszem, więc Zenobi czym prędzej zajął uwagę panienki na wszelki wypadek.

- Proszę pani, czy w tym mieście jest cmentarz?

- Oczywiście, a po co panu cmentarz?

- Teraz już na nic. Przyznam się pani jednak, że mnie to znacznie uspokoiło. Pani tak jechała, że myślałem, iż nas pochowają przy drodze, bo nie warto by było zbierać szczątków.

- Aha! - krzyknęła panienka uszczęśliwiona. - Wesolej podróży, chłopcy! Podała każdemu rękę i pożegnała ich rykiem trąby.

- Zbyszek, co tobie? - zapytał szybko Zenobi. - Coś ty wyprawiał z nogami?

- Niestety! - mówił Zbyszek z rozpaczą. - To ten Apasz...

- Co znowu zmalował?
- Myśmy nie widzieli, a w wozie było zawiniątko... Jedzenie tej pani... Apasz zjadł.
- Wszystko?
- Jakaś butelka została...
- Tylko dlatego, że jej nie umiał otworzyć - rzekł Zenobi.
- I jak my teraz wyglądamy?
- Jak opryski - rzekł Zdzisław. - Ale może pomyśli, że zawiniątko wypadło?
- Wcale tak nie pomyśli, bo papier został, sznurek został i kości zostały. Kości z kurczaka... O ty zły psie, nie mogłeś zjeść i papieru, i sznurka? ~ Całe szczęście, że ja siedziałem przy niej - mówił Zdzisław. - O was będzie miała jak najgorsze pojęcie.

~ Wiem, co zrobię - zawołał Zbyszek. - Napiszemy z tego miasta do księdza, aby przy sposobności opowiedział tej pani o wszystkim. Apasz przysłuchiwał się ciekawie tej rozmowie, z której jego nazwisko wciąż wyskakiwało w górę jak szubienica. Nie rozumiał dobrze, czemu okazują tyle niepokoju? Zjadł kurę, trudno zaprzeczyć; ale czy to była żywa kura? Nie. Czy jest różnica pomiędzy kurą głośno wrzeszczącą a upieczoną? Jest. Czy była mowa kiedykolwiek o milczącej kurze upieczonej? Nigdy nie było mowy. Jeśli tak, to jest wszystko w porządku i nie warto się tym przejmować. Apasz nie czuje najłżejszych nawet wyrzutów sumienia.

Nie ma zresztą na to czasu, bo wędrowka przez miasto wymaga wiele baczości. Zabawili w nim niedługo, niczego bowiem ciekawego nie było w nim do oglądania. Napisali listy do swoich bliskich i do księdza, potem wędrowali dalej. Coraz to częściej płaska dotąd ziemia wydęta była pagórkami; coraz to częściej droga ich wznosiła się i opadała. Pozbywszy się namiotu, nocowali w szopach i pustych jeszcze stodołach, przyjmowani gościnnie i chętnie; czasem znów na pachnącej łące, czasem w lesie. Najmilsze były te noce, rozszumiane i wonne, kiedy się zdawało, że gwiazdy rosną na drzewach jak złote szyszki. Jasno im było na duszach i radośnie. Oczy ich były pełne zieleni, perłowych wschodów i rubinowych zachodów. Często w milczeniu patrzyli długo na wielkie pożary niebios, które gasiła czarna woda nocy. Nieraz, gdy księżyc wytoczył się na niebo, patrzyli jak urzeczony na świat odmieniony, zalany srebrną poświatą, ze wszystkich pyłów i ze zmasz wszystkich obmyty, wypięknioty i śliczny. Gdy przemawiali wtedy do siebie wzruszonym szeptem, wydawało się im, że nawet ten szept jest srebrny. Zdzisław mówił cicho, wskazując lampę niebiosów:

- Słowacki mówił o księżycu, że to "umarłych słońce". Świecił im przez kilka nocy, zmienili przeto porządek rzeczy i częściej odpoczywali w upalne dni, a wędrowali nocą przy księżycowej poświacie, po drodze srebrem bitej. Tylko Apasz nie lubił tych wędrowek. Nie wył nigdy, lecz spoglądali nieufnie na srebrzysty dysk księżyca. Tak samo musiał patrzeć pierwszy pies, który się zjawił na ziemi. Tajemniczą nienawiść do księżyca Apasz przejął w spadku po tym prapsie. Jest to nienawiść jednostronna, bo wedle wszelkich przypuszczeń księżyc nie zwraca uwagi na bijące w niego psie głosy i może ta chłodna obojętność wyprowadza psy z równowagi. Odwalili przez kilka dni ogromny szmat drogi, często się bowiem zdarzało, że ich podwiózł chłopiec jadący na targ. Żywili się niezmiernie oszczędnie, bo nie udało im się już spotkać ani dobrej pani Moczy dłowskiej, ani pana aptekarza "i owszem, proszę pana". Pan Bóg widać zbyt mało porozsadzał na ich drodze takich miękkich ludzi, inni zaś żądali twardo brzęczącej monety za mizerne jadło.

- Jeśli tak długo potrwa - skarżył się Zdzisław tęsknie jak słowik - będę musiał nosić w kieszeniach kamienie, aby mnie wiatr nie porwał. Widzę po moim cieniu, jak bardzo schudłem. To mi przypomina, że był człowiek, który sprzedał swój cień. Szkoda, że już nie ma kupców na taki rarytas! Sprzedałbym cień, aby osoba mogła się pożywić.
- Można by zrobić inny interes - zaśmiał się Zenobi. - Był też taki, co sprzedał swój głos.
- I taki był - dodał uczony Zdzisław - który sprzedał swoje odbicie w lustrze. Ciekawy jestem, czyby się znalazł taki, co by kupił moje odbicie.
- Byłby to nieszczęśliwy człowiek - rzekł Zenobi. - Twoje odbicie byłoby cokolwiek piegowate. Idea jesi

dobra. Pomyśl sobie, jak pomnożylibyśmy naszą kasę, gdyby Zbyszek sprzedał swój głos, ja swój cień, a ty swoje odbicie.

- A pies?

- Pies? Ten obwieś mógłby sprzedać jedynie swoje pchły. Co to za moda, aby nosić na sobie całą menażerię? Spać nie można, gdy się jego zwierzyniec w nocy rozigra. On ma na sobie cały cyrk pcheł. Zbyszku najmilszy! Czy tego mastodonta nie można by wykapać?

- Można by - odrzekł Zbyszek. - Ja jednak mam wrażenie, że jego nie pchły gryzą, lecz sumienie. Zresztą, zdaje mi się, że wszyscy wykapiemy się niedługo, bo pogoda się kończy. Od ubiegłej nocy latały już po lesie złowróbnne poświsty. Wiatr hulał na wysokościach i gasił gwiazdy jak świece, a rano gnał przed sobą tabun chmur jak leniwe woły. Dzień był mroczny, a promieniste oko słońca przygasło.

Pod wieczór dobrnęli do niewielkiej mieściny, rozrzuconej malowniczo nad bystrą, choć niewielką rzeką. Nie warto było iść dalej, postanowili więc tutaj zanocować. Udało im się znaleźć nocleg w małym domku nad rzeką u szewca. Pan majster nie był zbyt skłonny do zamiany swojej izby na hotel, lecz serce jego rozgromił Zbyszek radosnym oświadczeniem:

- Proszę pana, mój ojciec też jest szewcem.

- Tak może każdy powiedzieć! - rzekł pan majster ostrożnie. Zbyszek zaczął nazywać po imieniu wszystkie narzędzia leżące na warsztacie i wykazał tak wyborne znanstwo szanownego rzemiosła, że rozczulił podejrzliwego człowieka.

- Deszcz zaczął padać! - oznajmił Zenobi mokrą nowinę.

- Popada i ustanie - prorokował majster.

Okazało się później, że szewcy nie mają w sobie zbyt wielu talentów do prorokowania.

Nikt zresztą nie mógł przypuścić, że niebiosom pęknie serce; nikt nie mógł przewidzieć, że te rzadkie krople, o dach, bijące, są pierwszymi łzami straszliwego szlochów nieba.

Groza rozpoczęła się już po północy, kiedy to deszcz oszalał i zaczął lać strugami. Nie wiadomo było, w jaki sposób! nazajutrz rano - a była to środa, miesiąc lipiec 1934 roku - zdołało światło dnia przedrzeć się przez zbałwaniony odmet chmur. Jak daleko sięgnąć okiem, wisiały one nisko, tuż nad ziemią, dotykając jej potwornymi brzuchami. Ile razy brzuch taki, ciężko obwisły, dotknął którego szczytu dość wysokich tutaj wzgórz, wtedy pękał jak bukłak i wtedy buchała z niego woda. Pomiedzy niewidzialnym niebem a spłaszczoną z przerażenia ziemią zawisła ruchoma "ściana płaczu". Miasteczko, sieczone biczami wody, zamarło w smutnym, ciemnym oczekiwaniu. Widziano tu, u progu gór, deszcze nie byle jakie, więc trzeba tylko przeczekać. Miasteczko myślało: im deszcz będzie bardziej gwałtowny, tym prędzej się wyczerpie. Deszcz przypomina płacz ludzki; tym prędzej ucicha, im głośniejszym płaczem zaniósł się człowiek. Tak powiadało doświadczenie starego miasteczka, tymczasem doświadczenie utonęło w odmetach.

Szaleństwo wody zaczęło się wzmacniać, gniew deszczu srożył się coraz więcej. Już nie cienkie bicze smagały ziemię, lecz węże skłębione i śliskie. Słońce utonęło w powodzi na wysokościach, nadzieja marła na dole, nie mogąc wydobyć nawet krzyku o ratunek.

- Straszne! - szepnął Zbyszek.

- To chyba oberwanie chmury - z zadumą rzekł Zenobi.

Uczynili naradę z majstrem, patrzącym na rzekę podejrzliwie i nieufnie; po tej naradzie udał się z nim Zdzisław do miasteczka po żywność i świece. Minął dzień, a nowa noc nowym rozpoczęła się szaleństwem. Przelękłym chłopcom wydało się, że dach domu ugina się pod ciężarem bijącej wody; blachy brzęczały boleśnie, rynna buchała wodą z gardzieli, dławiąc się. Z szarugi i z rozmokłej ciemności począł, jak smok z pieczary, pełzać strach. Wyjrzeni w noc i nie widzą nic. Słyszą jedynie wściekłość i warczenie deszczu, który nie gadał, jak zwykle, głosem znudzonym, monotonnym i smętnym, lecz po godzinie brzęczeń i szmerów nagle jednostajne te głosy zmienił w jakiś bolesny skowyt, w jakiś wyjący płacz, w zawodzenie i niemal ryk. Pod koniec upiornej nocy w diabelskiej tej

orkiestrze ozwał się stłumiony huk kotłów.

- Co to za głos? - szepnął Zbyszek z lękiem.

- Słysząc jakby oddalony, miarowy huk armat - rzekł Zdzisław. - Panie majstrze, co to tak grzmi?

Szawc spojrział na nich przerażonymi oczami i nie odpowiadając, żegnał się znakiem krzyża, świętego.

- Daj mu pokój - szepnął Zenobi. - Modli się... O, źle!

- Patrz na psa - rzekł cicho Zdzisław.

Apasz patrzył ponurym spojrzeniem i drżał, jak gdyby wietrzył straszliwego wroga.

Nikt z nich oka przez całą noc naprawdę nie zmrugał. Ile razy usiłował który zasnąć, budził się szybko, bo w te wszystkie głosy splątane, porywiste, tajemnicze i ciemne wmieszał się głos nowy: wielki szum, niecierpliwy i gniewny, opryskliwy i zły.

Czekali świtu, aby ujrzeć ten głos. Narodził się wreszcie świt, taki wynędzniały, jak gdyby miał skończyć za chwilę. Dojrzewał powoli, wśród okropnych łez, w kłos dnia, równie nędzny i smutny.

"W taki dzień narodziła się zapewne śmierć - pomyślał Zdzisław. - I wielkie nieszczęścia zapewne w taki dzień się rodzą".

A w tym dniu narodziła się rozpacz ludzka i nieszczęście biednego miasteczka. Od czterdziestu ośmiu godzin potworna ulewa nie ustawała ani na jedną chwilę i własnym trwaniem oszalała, własną złością przerażała, zaczęła grzmieć, szumieć i tumanić się. Krowy są stworzeniami ciężkimi, a chmury są krowami, co się leniwo wążają od morza ponad zmrozoną ziemią. Zdarza się jednak, że czasem niezliczona gromada krów oszaleje i tak właśnie oszalała gromada chmur, czarnoburych, ciężkich, wlokących się nad lasami, jak gdyby się pasły i nie chciały odejść. Błąkały się ogłupiałe i rozsrożone, złe i nielitościwe. Znowu przez dzień cały i przez całą noc. A znikąd ani jednego powiewu, znikąd nie przylatał wiatr, co jak zły pies owczarski rozegnałby te wstrętne, głupie, leniwe, brzuchate potwory.

Daremnie biedne miasteczko modliło się o litość. Daremnie ludzie błagali spojrzeniem o zmiłowanie. Daremnie drzewa wyciągały ramiona ku chmurom. Wszystko daremnie! Złość jest ślepa i nie widzi rozpacz.

Wielkie nieszczęście tłamsiło się tutaj, w miasteczku, lecz jeszcze większe, straszliwsze w szalonym pędzie przebiegało tu z oddali. Strumienie w odległych górach narodzone i pośród nich jak srebrne węże się wijące, tknięte nagłym szaleństwem, zgasiły swoje kolory i przybrały barwę złości: brudnożółtą. Podjudzone jadowitym szeptem deszczu, nabrzmiały gniewem i poczęły hardzieć, buntować się i burzyć. Skrzyknęły się razem i runęły na doliny. A jak wyjący tłum, nieprzytomnie goniący, rwie pazurami kamienie, aby zburzyć nimi jakieś mury, tak te rozwścieczone potoki zaczęły porwać kamienie i gazy, rwały z ziemi maczugi drzew i gnały przed siebie na wsie i na miasta. Toczyły te kamienie po kamieniach i dlatego było słyszeć to głuche dudnienie, jak gdyby daleki odgłos armat.

Oszalała rzeczka pod miasteczkiem. Nie można było patrzeć bez zgrozy na gniew i obłąkanie tej niedawno srebrzystej wody, nie można było bez zgrozy słyszeć tych głosów, którymi dudniła i ryczała, gotując się pianami. Nagle zmieniona w potwora, brudna, ziemista, wstrętna i ohydna, parła przed siebie pędem nie do opisania. Przełała się przez brzegi i zaczęła zjadać ziemię nadbrzeżną, a z ziemią ogrody i drzewa. W oczach przerażonych chłopców marły jarzębiny i brzozy, wiotkie i bezbronne. Chwyciwszy takie nieboractwo, woda targała nim przeraźliwie. We wzburzonym i bulgocącym odmiecie drzewo takie wyglądało jak zielsko gotowane w ukropie. Rzeka żywiła się tym zielskiem i zagryzała pulchną ziemią, dopóki nie dotarła do pierwszych domów. Wtedy to opętanie jej doszło do szczytu. Dom, ten i ów, co ufnie przez długie lata ponad srebrną stał wodą, drgnął nagle w posadach. Przerażonymi oczami okien patrzył, jak rozsierzona gromada burych fal, ze zjeżonym włosiem, z pianami wściekły na pyskach, gryzie żarłocznie jego fundamenty.

Nieszczęśliwi ludzie, okrzykując się, poczęli toporami rąbać grube drzewa i walić je na grzbiet złej wody, aby ją roztrącić i odstraszyć od domów. No, to i cóż? Czy mało domów tam dalej, po drodze? Oszalała rzeka, trzydniową złością straszliwie rozdepta, przesakowała rwistym pędem brzeg i gnała w

inną stronę, gdzie stoi bezbronny ludzki dom. I stąd ją odegnano krwawym wysiłkiem rozpaczcy, więc rwie dalej, rycząc w coraz większej sierdystości i w gniewie coraz burzliwszym. Z drapieżną uciechą chwyciła płót nadbrzeżny i potargała go jak mokrą szmatę. Pożarła ogród. Łzy kobiety, co wyhodowała ten ogród na gliniastym gruncie, nie wzruszyły jej.

Bieży dalej... bieży dalej...

Oto domek biednego szewca. Jest w nim czworo ludzi i pies. Pożreć, pożreć tę chałupinę!

- Uciekajmy! - krzyknął Zdzisław.

Szewc stał nieruchomy, jakby martwy z rozpaczcy.

Chłopcy porwali jego narzędzia, a Zenobi krzyknął:

- Niech pan ratuje, co można!

Człowiek drgnął i spojrzał na nich nieprzytomnie. Nagle westchnął i zaczął zrywać święte obrazy ze ścian; chwycił poduszkę i jakieś zawiniątko. Chłopcy wynosili rzeczy w gorączkowym pośpiechu. Woda ujrzawszy, że jej porywają zdobycz, zaczęła walić żółtym łbem o brzeg, rwać go i precz odrzucała ziemię.

- Ratujcie człowieka! - wrzasnął Zenobi.

Chwycili starego szewca pod ręce i przemocą wywiedli go z domu.

Była to ostatnia chwila, bo woda, sycząc z piekielnej uciechy, przewaliła się przez próg, rozparła się w nieszczęsnym domku i zaczęła nim trząść wśród okropnej uciechy. Chałupina wpała się w ziemię i rozkraczyła, pragnąc ustać na miejscu; więc wraz nadbiegła wyniosła fala i tak burym cielskiem uderzyła o ścianę, że ściana drgnęła i legła w gruzy.

- Prędeży, prędeży! - przynaglał Zdzisław. - Biegnijmy za psem... Apasz wiódł ich w bezpieczne miejsce, gdzie na rozmokłej ziemi ułożyli nieszczęsny szewski dobytek.

Deszcz ustał, szalały jedynie wody. Słońce, zamglone i przygasłe, wyglądało jak oko wielkim płaczem umęczone.

Nad brzegiem stała gromadka ludzka, otępiałym spojrzeniem patrząc na złe wody, niosące swoją ohydłą zdobycz, wydartą ludziom nieszczęśliwym. Kobiety załamywały ręce, dzieci, nie mogąc pojąć, co się stało, pytająco patrzyły na matki. Woda niosła trupy drzew, krzewy z korzeniami z ziemi rodzącej wydarte, belki zrabowane w tartakach, gospodarski sprzęt ukradziony we wsiach.

- Krowa, krowa płynie! - rozległ się nagły krzyk. Czerwonej barwy krowa ostatnim wysiłkiem podnosiła głowę nad wodą. Fala gnała ją jak pastuch. Nieszczęśliwe stworzenie, dojrawszy ludzi, spojrzało okropnym wzrokiem, ludzkim wzrokiem. Któż jednak waży się skoczyć w odmęt, aby dźwignąć ciężkie, nieporadne stworzenie?

Chłopcy, znużeni, lękiem pobici, zropaczeni cudzą rozpaczą, zbliżyli się powoli do ludzkiej gromady. Odwrócili głowy, nie mogąc patrzeć na mękę bożego stworzenia, za którym, przewalając się wśród żółtych wirów, płynęła śmierć. Zdzisław zaczął uspokajać ludzi.

- Już koniec, już koniec - mówił. - Wiatr wieje od wschodu i rozegna chmury. Wody prędko spłyną.

Patrzono na niego tępo i słuchano, jak gdyby nie rozumiejąc.

- Co tam się stało? - zapytał z niepokojem Zenobi, usłyszawszy rozpaczliwy krzyk w niewielkiej oddali.

Wszyscy skierowali spojrzenie w tę stronę. Rozmulonym, rozmokłym brzegiem biegli ludzie, głośno krzycząc niezrozumiałe słowa, i wskazywali na rzekę.

- Coś jest na wodzie - z lękiem rzekł Zdzisław. - Co oni krzyczą? Cicho, na Boga! Co oni krzyczą?

Zaczęli nasłuchiwać z bijącymi sercami.

- Dziecko na rzece! - wrzasnął ktoś rozpaczliwie.

- Jezusie, Mario! - jęknęła jakaś kobieta.

Wszyscy odrętwieli.

Niedaleko od brzegu na ogromnych drzwiach, wyrwanych z jakiejś zburzonej stodoły, trzymając się kurczowo występów, leżała mała, może sześciolatka dziewczynka. Widok był straszny. Drzwi płynęły powoli, okręcały się na wirach, przybijały do brzegu, a brzeg je odtrącał. O pół kilometra od tego miejsca rzeka skręcała nagłym zakrętem i tam woda rwała opętanym pędem; jeśli ten okropny statek dopłynię do tego miejsca, zbałwanione wiry chwycą go tysiącem rąk i albo potrzaskają w drzazgi, albo zatopią.

Krzyk ludzki zerwał się z trzepotem, rozległy się jęki i płacze. Jakaś kobiecina zawyla przeraźliwym głosem, tak przejmującym, że zatrzęsł ludźmi.

- Ratunku! Ratunku! - krzyczał Zdzisław patrząc dokoła, jakby skądkolwiek mógł nadejść ratunek.

Rzucili się w ludzką gromadę i roztrącili ją gwałtownie, biegnąc naprzeciwko widmowej tratwy. Jakiś człowiek usiłował zaczepić o nią bosakiem, lecz prąd wodny, jakby naigrawając się z jego wysiłku, trącił ją i odegnał od brzegu.

- Kto umie pływać? - krzyczał Zenobi.

Odpowiedziało mu pochmurne milczenie. Cóż tu pomoże umiejętność pływania? Najlepszego pływaka wiry okręca i wepchną w topiel.

- Sznurem, sznurem! - wołano.

Rzucano sznur, lecz nie dosięgnął tratwy.

- O Boże, o Boże - szeptał Zbyszek.

Wczepił się spojrzeniem w dziecko na wodzie i jak nieprzytomny gonił brzegiem, równo z biegiem owych drzwi. W tej chwili belka, wodą niesiona, uderzyła w nie tak silnie, że się zbliżyły ku brzegowi.

- Matko Boska! Co robisz? - krzyknął Zdzisław z rozpaczą. Zbyszek, mały, niemocny Zbyszek, wydawszy jakby jęk, skoczył w wodę. Zanurzył się z głową, wypłynął i zaczął bić rękami, jakby w szaleńczym napadzie. Ludzie oniemieli.

- Patrz!... Apasz.... - szepnął bladymi ustami Zenobi. Pies biegł za Zbyszkim, a gdy ujrział jego skok do wody, pobiegł jeszcze kilka kroków w przód i jak gdyby obliczywszy odległość, skoczył ogromnym skokiem. Zdzisław zakrył oczy ręką.

- Płynie? - zapytał głucho.

- Jeszcze płynie... - nieswoim głosem odrzekł Zenobi.

- Patrz, patrz!

Straszliwym wysiłkiem Zbyszek chwycił lewą ręką drzwi, a prawą sięgnął po dziecko; porwał je za sukienkę i ściągnął. Był świetnym pływakiem, lecz był odziany, a prąd rwał burzliwym pędem. Rozbełtana woda objęła go mokrym, śliskim objęciem i wepchnęła w dół z jego ciężarem. Ten ciężar go zgubi. Sam może by dotarł do brzegu, tego dziecka jednak nie udźwignie. W tej chwili Apasz, z dzikim spojrzeniem przewalający się w żółtym nurcie, schwył zębami za sukienkę półmartwego dziecka i niósł je jak szczenię. W ruchach psa znać było śmiertelny wysiłek. Zbyszek, uwolniony od ciężaru, wypłynął i zdumionym, jakby obłąkanym spojrzeniem rozejrzał się dokoła. Zrozumiawszy, co się stało, kurczowym ruchem chwycił psa za kudły i wykręcił się ku brzegowi. Rozpacz dodała mu jakichś sił nadludzkich. Brzeg był tuż... tuż... Widok ten mroził krew w żyłach: chłopiec podniósł psią łapę wysoko

nad wodę, a pies dziecko.

- Sznura! - krzyknął Zenobi.

Zdawało się, że krew buchnęła z tego okrzyku.

Zbyszek chwycił koniec sznura i nagłym skretem ręki owinał go sobie dokoła dłoni; wtedy błyskawicznie drugą ręką objął dziecko i po chwili rzucił je na wyciągnięte ręce.

- Wyłaż - wrzasnął Zdzisław.

- Apasz... - słabo odpowiedział Zbyszek.

Trzymając się sznura kurczowo, podłożył wolną rękę pod Apasza i dźwignął go ponad wodę.

Omdlewającym spojrzeniem dojrzał psi wzrok, taki serdeczny i taki ludzki, że się uśmiechnął.

Uśmiech ten jeszcze miał na ustach, gdy go ślaniającego się i półprzytomnego chwycili w ramiona i nieśli do najbliższego domu.

Apasz szedł za nimi zataczając się, jak gdyby nie wiedział dobrze, co się z nim dzieje.

### XIII. Zbyszek przechodzi do nieśmiertelności

Ziemia już obeschła, tylko lzy ludzkie jeszcze nie obeschły. Na swojej drodze chłopcy widzieli spustoszenia i ślady złości obłąkanej wody; zboża były zgniecione i przywalone mułem, łąki zmieniły się w kamieniska. Podczas tego pospolitego ruszenia wód najmocniejszy nawet strumyczek nabrzmiął pychą, pęczniał i rozlewał się w dzikim rozpasaniu. Słońce suszyło ziemię, jak to raz już czyniło po potopie. Wieczorami dymiała ona oparami, co przez całe wtoczyły się noce.

Zdzisław i Zenobi patrzyli na Zbyszka z milczącym podziwem. Wyszli z miasteczka szybko, choć ich chciano zatrzymać; wypytywano ich skwapliwie o nazwiska, lecz ich nie zdradzili. Wielki czyn Zbyszka wzruszył wszystkich i jeszcze więcej zdumiał. Apasz też wspomniany był gorąco, jako pies wierny aż do śmierci.

Radość ogarnęła przyjaciół, że szaleństwo skończyło się tak cudownie szczęśliwie. Wracali wciąż pamięcią do tej chwili, w której śmierć zajrzała jednemu z nich w oczy; mówili o tym jednak beztrzesko, jak gdyby chcieli odegnąć ponurą czarność wspomnienia.

W pewnej chwili rzekł Zbyszek z tkliwym uśmiechem:

- Przyznajcie jednak, że byłoby wam trochę, żal, gdybym był utonął.

- Bynajmniej - odparł szybko Zdzisław. - Nie żałowalibyśmy cię ani chwili. Tamci dwaj spojrzeli na niego ze zdziwieniem.

- Oczywiście - mówił szybko Zdzisław. - Nie moglibyśmy cię żałować, nie mając na to czasu. Gdybyś był utonął "morska pławaczko\*" - to mówi Kochanowski! - rzuciłbym się do wody ja pierwszy, a za mną Zenobi. Jak wszyscy, to wszyscy. Prawda, Zenobi?

- Prawda! - zagrzmiął przyjaciel.

- Czy ty myślisz, pływająca kreaturo, że gdyby ci się było wydarzyło nieszczęście... Oj, trzeba odpukać, a nie mam drzewa pod ręką... Zenobi, nadstaw głowę, bo muszę stuknąć w drzewo!... Czy ty myślisz, że ja i on moglibyśmy stanąć przed twoim ojcem i powiedzieć jak gdyby nigdy nic: "Nie ma Zbyszka, bo utonął"? Jeśli tak myślisz...

- O drodzy moi! - szepnął Zbyszek gorąco. - Jacy wy jesteście dobrzy!

- My wcale nie jesteśmy dobrzy, tylko ty byłeś tak dobry, że nie utonąłeś. Ale ten Apasz, co? Jeśli kiedy



powiem złe o nim słowo, niech mnie obleżą wszystkie jego pchły.

- Złoto, nie pies - poświadczył Zenobi.

"Dziwna rzecz, że tak o mnie nie mówiono, gdy zakatrupiłem kurę" - pomyślał Apasz, ale machnął gwałtownie ogonem na znak, że jest mile zaskoczony ich o sobie mniemaniem.

- Nie wiecie, co się stało z dzieckiem? - zapytał Zbyszek.

- Zabrała je jakaś kobiecina, a teraz będą szukać rodziców. Uszczęśliwiłeś jakichś biednych ludzi - objął Zenobi.

- To mi przypomina - zaśmiał się Zdzisław - że wdzięczność ludzka różnie się objawia. Czytałem wesołą historię o tym, jak dzielny jeden człowiek wyłowił ze stawu tonącego chłopca. Przybiegł ojciec tego chłopczyka i z pyskiem do zbawcy syna:

"Jak to? - krzychał. - Jego pan wyratował, a gdzie kapelusz? Przecie kapelusz został na wodzie! Ładny z pana ananas!"

- Świetne! - śmiał się Zbyszek.

- Chętnie przyznaję, że omal się nie roześmiałem - rzekł z uznaniem Zenobi.

- Nie wyprowadzisz mnie z równowagi - oświadczył Zdzisław - bo ja nie tobie opowiadam, tylko Zbyszkiowi. A słyszałeś, Zbyszek, o dwóch na tonącej tratwie?

- Nie słyszałem. Gadaj prędko!

- Było tak: dwóch rozbitków płynie na tratwie, ale tratwa tonie. "Skoczmy w morze!" - woła jeden. "O Boże, kiedy ja nie umiem pływać" - krzyczy drugi. "Nic nie szkodzi, ja umiem! - zawołał ten pierwszy. - Nauczę pana!" Najgorszy wypadek zdarzył się jednak dzielnemu pływakowi, co skoczył w wodę, aby wyratować tonącego. Schwycił go za włosy i popłynął do brzegu. Wylazł i zdumiał się: w rękę dzierżył włosy, a osoby nie było, bo osoba nosiła perukę, peruka została wyratowana.

- Rozumiem zdumienie tego zbawcy - zaśmiał się Zbyszek.

- A raz - gadał niewyczerpany Zdzisław - siedział na brzegu marynarz i widział, jak ktoś tonie i straszliwie krzyczy. "Czemuś go nie ratował?" - mówią do marynarza z oburzeniem. A ten na to: "Bo nie wiedziałem, o co mu idzie, gdyż gadał po szwedzku. Czy ja umiem po szwedzku?"

- Kretyn! - rzekł Zenobi.

- O mnie mówisz? - ponuro zapytał Zdzisław.

- Nie. O tym marynarzu - powiedział szybko Zenobi mrugając na Zbyszka. - Bacność, panowie, zbliżamy się do ludzkiej siedziby. Wstąpili do sklepiku, aby zakupić żywność, a spożyć ją poza osiedlem, na łące. Sklepiarz, krając chleb, przyglądał się im natarczywie, potem szepnął coś do żony. Kobieta przyjrzała się im pilnie i skinęła porozumiewawczo głową.

- Co im się stało? - szepnął Zenobi.

- Nie wiem. Ile się należy? - zapytał głośno Zdzisław.

- Nic, proszę panów - rzekła kobieta miękko głosem.

- Niech panowie przyjmą tę drobnostkę.

- Ale jakżeż?... My nie możemy... - zdumionym głosem oświadczył Zdzisław.

- Niech panowie jednak uczynią nam tę łaskę, bardzo prosimy. Tymczasem sklepiarz odłamał spory

kawał kiełbasy i zbliżywszy się do Apasza rzekł:

- A to dla niego.

Apasz, nie wdając się w żadne ceremonie, kłapnął jedynie zębami. Nie było sposobu, aby tym niezwykłym sklepikarzom odmówić.

- To dziwna rzecz - mówił Zdzisław, zadumany. - Czy my wyglądamy na włóczęgów?

- Może nie wszyscy - odparł Zenobi. - W każdym razie ci dobrzy ludzie nie chcieli nam dać jałmużny. Skądże znowu! Być może, że kochają młodzież.

- I psy?

- To trochę dziwniejsze. Apasz nie ma takiej miny, aby od razu można się było w nim zakochać. Ta nagła sympatia zdarzyła mu się zapewne po raz pierwszy. Widać, że bardzo przy nas wyszlachetniał i już nie ma takiego zbójckiego wyrazu, którym się wybitnie odznaczał. Ja teraz o tym tylko myślę, czy to był odosobniony wypadek, czy też weszliśmy w takie okolice, gdzie chleb, masło i kiełbasę rozdają darmo. Jeśli tak jest, będziemy wędrowali bardzo powoli i będziemy wstępowali do każdego sklepu po drodze. Do najbliższego miasta było jednak bardzo daleko, lecz szczęście im sprzyjało,

bo udało im się aż do wieczora jechać na pustym wozie, wracającym z okolicy. Przenocowawszy w wiosce, która leżała z dala od wszelkiej wody, więc nie zaznała grozy powodzi, przez dwa dni następne wędrowali potężnie. Gdy podczas południowego odpoczynku Zbyszek powiódł Apasza ku wodzie, aby mu obmywać skrawioną łapę, Zenobi zaczął mówić szybko:

- Zdzisław, czy przyjrzałeś się Zbyszkowi?

- Nie. A cóż się stało?

- Jeszcze nic się nie stało, ale obawiam się, że się stanie. Nie widzisz, jaki jest blady?

- Nie może być?!

- I nie tylko to. Ubiegłej nocy rzucał się we śnie i wy-krzykiwał. Głowę dam, że Zbyszek ma gorączkę. O, właśnie powraca. Przypatrz się, z jakim trudem on idzie.

Zbyszek stąpał istotnie z wysiłkiem; przystawał często, wreszcie oparł rękę na grubym karku psa.

- Nie podoba mi się to wszystko - szepnął Zdzisław. - Jak daleko do miasta?

- Już niedaleko, będziemy tam za godzinę. Zbyszek!

- A co tam?

- Nie zmęczyłeś ty się przypadkiem?

- Zmęczyć to się nie zmęczyłem. Tylko mi czasem jakoś tak...

- Jak?

- Nic nadzwyczajnego. W głowie mi się czasem zakręci... Ale to chyba z nadmiaru wrażeń. I nogi mam jakieś ciężkie... Ale już trzeba iść!

- "Wstańmy, bracia, wraz, ilu jest tu nas!"- zawołał Zdzisław, udając wesołość. - Apasz, prowadź!

Krzyknął na Zenobiego i równocześnie ujęli Zbyszka pod rękę.

- Będzie się nam lepiej szło - zaśmiał się Zenobi. Nie szło się im jednakże lepiej. Przystawali często i z przewidzianej godziny uczyniły się dwie długie, ciężkie i z trudem się wlokące. Zbyszek był bardzo

blady, więc z coraz większym patrzyli na niego niepokojem.

- Już niedaleko, Zbyszuniu, już niedaleko - mówił Zenobi.

- Tak... tak... - odpowiedział Zbyszek, jakby obojętnie. Ożywił się jednak, gdy weszli w pierwszą ulicę dużego miasta.

- Zróbmy tak - mówił Zdzisław szybko. - Dojedziemy tramwajem do środka miasta, wy obaj usiądźcie na jakimś skwerze, a ja wynajdę locum na nocleg.

- Dobrze - blado uśmiechnął się Zbyszek.

Wsiadli do tramwaju, a Apasz biegł chyłkiem skrajem ulicy. Nie zauważyli, że jakiś człowiek pilnie im się przyglądał, a potem przeniósł wzrok na psa. Zmarszczył się, jak gdyby sobie coś przypomniał, potem się uśmiechnął. Wszedł również do wozu i usiadłszy niedaleko, nie spuszczał ich z oczów.

- Zbyszek, jakże ci tam? - spytał troskliwie Zenobi.

- Dziękuję, doskonale... Zenobi złoty, nie widzisz z tamtej strony Apasza?

- Owszem, widzę. Biegnie jak rekordowiec.

Wóz, zdążający z ostatniej, odległej stacji, był prawie pusty. Człowiek, który się im przyglądał, uchylił nagle kapelusza i rzekł:

- Czy trzeci z panów nazywa się Zdzisław?

- Tak - odparł zaskoczony Zenobi. - Skąd pan wie?

Nieznajomy mile uśmiechnął się i mówił zagadkowo:

- Od razu was poznałem, bo trudno was nie poznać. Ten czarny pies jest najlepszym szyldem, a wasze imiona też. Bardzo mi miło. Czy panowie wiedzą, że jesteście poszukiwani?

- Kto nas szuka? - zdumiał się Zdzisław.

- Och, ja już wysiadam... Policja i wszyscy... Niech panowie zgłoszą się na policję... Albo może ja zawiadomię. Do widzenia! Bardzo jestem rad...

- O mamó moja! - stęknął Zdzisław. - Czyście słyszeli?

- Policja nas szuka! - mówił cicho Zenobi. - Za co? Co myśmy zrobili?

- Może to przez Apasza? Skąd ten człowiek może o tym wiedzieć?

- Rynek! - oznajmił konduktor.

- Wysiadajmy - przejmującym głosem zakomenderował Zdzisław. - Prędko! Opodal zielenił się skwer, więc szybko skierowali się w tamtą stronę.

- Ja już nie mogę - szepnął Zbyszek.

Wzięli go znowu pod rękę i prowadzili z trudem. Chłopak opadł ciężko na ławkę i otarł zroszone potem czoło.

- Czekać tu, ja prędko wrócę - zawołał Zdzisław i pobiegł. Widzieli, jak się zatrzymał obok jakiejś uśmiechniętej przekupki, zagadnął ją, potem szybko odszedł. Ubiegłszy kilka kroków, zatrzymał listonosza, skwapliwie jednak ominął zbliżającego się powolnym krokiem policjanta. Powrócił po upływie godziny i szybko oznajmił:

- Znalazłem doskonały nocleg... doskonały! U jednej pani, u której uczniaki zwykle mieszkają, a teraz tam pusto, bo wakacje... "Pójdźcie, o dziatki! pójdźcie wszystkie razem..." Strasznie jakaś miła pani...

- Czy to daleko? - z trudem zapytał Zbyszek.

- Nie bardzo. Ale pojedziemy dorożką - dodał szybko, spojrzawszy na przyjaciela. - Czy tobie słabo, na Boga?

- Jakoś tak...

Zdzisław spotkał przestraszony i wiele mówiący wzrok Zenobiego; nic nie mówiąc, sprowadził dorożkę. Zbyszek nie mógł unieść nogi na jej stopień, trzeba go było podnieść.

- Proszę pani - mówił Zdzisław szeptem do siwej, uśmiechniętej pani. - Nasz towarzysz, widocznie ze zmęczenia, czuje się niezbyt pewnie.

- Ależ z nim jest bardzo źle - szepnęła pani gorączkowo.

- Przecie on leci z nóg... Prędko, prędko!

Towarzysze chwycili go pod ramiona i niemal nieśli, bo on sam, blady jak opłatek, nie mógł się poruszać.

Gdy go ułożono na łożku, dobra siwa pani położyła rękę na jego czole.

- Rozpalone - szepnęła. - Biedactwo... Trzeba będzie natychmiast lekarza... Co mu się stało w ostatnich dniach? Kapał się zgrzany czy leżał na mokrej ziemi?

- Ach, to pewnie z tego... - rzekł Zdzisław, jakby sam do siebie.

- Z czego?

Wyszli do drugiego pokoju i tam opowiedzieli jej o rozpaczliwej przygodzie Zbyszka.

- Boże, to on? - mówiła siwa pani wzruszona. - To on? Ten, co to... A ten pies to Apasz?

- Skąd pani wie? - zdumiał się Zenobi, po raz drugi tego dnia.

- Wiem, wiem... Policja was szuka.. Zajmę się wami za chwilę, teraz idę zatelefonować po lekarza. O biedacy!

- Na Boga! - szeptał Zenobi po jej wyjściu. - Wszyscy o nas wiedzą i o tym, że nas policja szuka. Co się stało? Bierzmy my Zbyszka i nogi za pas. Zdzisławie, jakaś awantura zdążyła za nami.

- Musimy zostać - rzekł Zdzisław z rezygnacją. Nie uciekniemy chyba, bo Zbyszka nie zostawimy na pastwę. Ale dlaczego policja uwzięła się na nas? I czemu o nas wiedzą? Czy w gazecie umieszczono publiczne ostrzeżenie?

- Nic innego - odrzekł ponuro Zenobi.

- Lekarz zjawi się za chwilę - zapowiedziała siwa pani, zjawiwszy się niespodzianie.

- Chodźcie, chłopcy. Zamieszkacie w innym pokoju; a wasz przyjaciel musi być sam.

- Proszę pani... - rozpoczął nieśmiało Zenobi.

- Co chciałeś powiedzieć? Śmiało, moje dziecko?

- Ja chciałem prosić... ale to śmieszne!... ja chciałem prosić, aby nasz pies mógł się tutaj gdzie

przytulić. To nie pies, to przyjaciel...

- Ależ oczywiście - rzekła pani.

- Tylko że... to strasznie kochany pies, ale trzeba na niego uważać... gdyby ujrzał żywego kurczaka... amen - proszę pani!

- Rozumiem. Szlachetny bandyta, dżentelmen-włamywacz - uśmiechnęła się siwa pani. - Mój drogi chłopcze! U mnie mieszka zwykle ośmiu uczniów, a jak ci pewnie wiadomo, taki przez dziurkę od klucza wleźć umie do spiżarni, gdzie są konfitury. Ale ja umiem pilnować. Lekarz przyszedł!... Był to człowiek siwy, rumiany jednak jak jesienne jabłko i bardzo żywy. Nieustannie zdejmował binokle i wycierał je pracowicie kawałkiem miękkiej irchy; aż dziwne było, że szkła były wciąż grube, choć z taką wytrwałością czyszczone. Spojrzał przez nie na chłopców, po czym prędko zdjął binokle i wytarł je, jak gdyby chciał z nich zetrzeć wszystko, co się w nich odbiło.

- A gdzie lekkomyślny młodzian? - zapytał wesoło. - Aha, tam... Zaraz go zbadamy. A wy tymczasem wyciągnijcie ozory, a obejrzę je, przechodząc tędy z powrotem. Z góry jednak oświadczam, że pies mnie nic nie obchodzi i nie będę go badał. Cóż panowie młodzieńcy mają takie niemądre miny? Że ja wszystko wiem? Jakże nie mam wiedzieć, skoro rozmawiałem z panią przez pół minuty w przedpokoju. Jakbym gazetę przeczytał, prawda, droga pani? - mówił śmiejąc się.

- Dowiedziałem się o was, i o wszystkim, i o kilku rzeczach jeszcze. Przetarł szybko szkła i podreptał do Zbyszka.

Oczekiwali z niepokojem jego powrotu; bardzo im się podobał ten lekarz, mądrze patrzący i gadający z życzliwym uśmiechem.

Zerwali się z krzesel, gdy powrócił.

- Nic groźnego - mówił szybko. - Tyle narobiliście rwetesu, że myślałem: jakiś tyfusik albo cholera, a tu nic! I żyj tu z takich chorób, ha! - zaśmiał się głośno. - To nic, chłopaki kochane, albo prawie nic. Naprawdę! Gdybyście byli sobie dalej powędrowali, mógłby niebożętko trafić na cmentarz. Chude to, wymizerowane, zagłodzone, no a kąpiel go dokonała. Kąpiel była pierwszej klasy i połączona ze zbytnim wzruszeniem i to go najwięcej wyczerpało. Ale teraz niech sobie najmniej przez tydzień poleży. Zapalenie płuc czeka za drzwiami... Zaraz nieczytelnie zapiszę mu rozmaite paskudztwa, które go za trzy dni postawią na lewą nogę, a za drugie trzy na prawą.

- A czy rozmawiać z nim wolno? - zapytał Zenobi.

- W tej chwili nie bardzo, bo będzie dawał niedorzeczne odpowiedzi. Jutro tu znowu przybiegnę i powiem, co należy robić. Pan Bóg was zaprowadził do tej pani - mówił ściszym głosem. - Żadna matka lepiej nie upilnuje. Dlatego nie będę tu gadał z wami, tylko z nią. Głowy do góry, urwipolcie! Wszystko będzie dobrze...

W chwili gdy przecierał szkła, Zenobi szepnęła coś Zdzisławowi. Zdzisław skinął głową.

- Panie doktorze! - rzekł nieśmiało. - Ile my mamy zapłacić za wizytę? Lekarz szybko nasadził binokle na nos i spojrzał na nich śmiertelnie zdumionym wzrokiem. Potem osłonił ręką ucho, jakby chciał lepiej usłyszeć. Sprawdziwszy, że dobrze słyszał, poczerwieniał jeszcze bardziej, aż do granic możliwości, i ni stąd, ni zowąd krzyknął zirytowanym głosem:

- Co takiego? Coś ty powiedział, smyku?

- Ja chciałem... - bąknął przestraszony Zdzisław.

- Czego chciałeś? Obrządzić starego człowieka? - Zerwał z nosa szkła. - Płacić chcecie? Porcięta się ledwie na nich trzymają, korzonki pewnie jedli i wyjeżdżają z płaceniem. Patrzcie go, Morgan! Rockefeller! Rothschild, psianoga!

- Proszę pana doktora, przecie... - usiłował wtrącić Zenobi.

- Nie ma żadnego przecie! Nie będę dzieci łupił ze skóry, rozumiesz? Nic nie zrobiłem i nic mi się nie należy. A wspomni który jeszcze słowo, to po litrze rycynusu na głowę.

Nagle od groźnych, morderczych okrzyków przeszedł do rzewnej skargi.

- Jak wy możecie, chłopcy, mówić coś podobnego? - Zaczął czyścić przezyste szkła. - Ja jestem szczęśliwy, że mogę poratować tego chłopczynę... To Zbyszek, prawda?

- Tak, Zbyszek - zdumionym szeptem odrzekł Zenobi.

- Zacny, kochany Zbyszek, a oni mi tu... Kretyny jesteście, i tyle! Co ty, co ty?... Oszalałeś, małego zielona?

Zenobi chwycił jego rękę i szybko ucałował. Lekarz zerwał szkła i zapomniawszy je oczyścić, znowu osadził na nosie. Mrugnął oczami, niesłychanie zdumiony. Patrzył to na jednego, to na drugiego, jak gdyby nagle spadli z nieba.

- Powariowali! - krzyknął nagle wielkim głosem.

Znowu zdjął szkła, znowu ich nie oczyścił i wybiegł szybkim krokiem.

- Jakież to przezacny... - zaczął Zdzisław.

W tej chwili lekarz wetknął głowę przez drzwi i rzekł:

- Zapomniałem wam powiedzieć, że jesteście półgłówki. Nieuleczalne półgłówki. Amen!

Chłopcy spojrzeli na siebie, mimo wszystkich smutków, rozbawieni!

- Dobra dusza! - rzekł Zenobi. - Kochany człowiek!

- To mi przypomina - mówił z tklwym uśmiechem Zdzisław - że zawsze tacy z najlepszym sercem udają straszliwych okrutników. Mój ojciec był taki... Razu jednego, kiedy zasługiwałem na to, aby mnie uczciwie sprzął, zaczął grzmieć na cały dom: "Gdzie on jest? Skórę z niego zdejmę!" Poczerwieniał, huczał, wołał o pioruny. Ja ukryłem się w ciemnym kącie w drugim pokoju. Ojciec wpadł tam z trzcina w rękę i, oczywiście, ujrzał mnie od razu. I wiesz co? Odwrócił się czym prędzej i woła: "I tu go nie ma! Gdzie się podział ten obwieś? Pewnie uciekł! A ja muszę wyjść do teatru i wrócę dopiero po północy!" To było ostrzeżenie dla mnie...

- I upiekło się?

- Upiekło! Pocziwe, kochane ojczysko! Innym razem już, już miał mi złoic skórę, a ja od razu bęc na ziemię i wołam: "Tatusiu! Czy będziesz bił leżącego?" Ojciec zdumiał się i powiada: "Nie! To nie byłoby honorowo! Ale kiedyś wreszcie wstaniesz!" Ale ja wziąłem sobie książki i uczyłem się leżąc tak długo, aż mu przeszło.

- Ja jednak byłbym cię sprzął! - rzekł Zenobi z głęboką wiarą.

- Ty tak, ale mój ojciec był mądry.

Chodźmy zobaczyć, co robi Zbyszek. Zbyszek czuł się cokolwiek lepiej i poróżowiał na twarzy. Obok łóżka siedział Apasz jak grenadier na warcie i nie zdejmował z niego spojrzenia. Patrzył na swego pana z przedziwną tklwością, jak gdyby chciał powiedzieć: "Jeśli ty umrzesz, ja umrę też".

- Zbyszku najmiłszy, jak ci tam?

- Jak w raju - szepnął. - Bardzo was przepraszam za kłopot... Ten doktor strasznie zacny... i wy...

- Nie gadaj tyle. Teraz się prześpij, a my pójdziemy po lekarstwa.

- Boże, tyle pieniędzy!...

- Cicho bądź! Jeśli będziesz gadał głupstwa, to nie odwiedzimy cię ani razu. Śpij, stary, i niech ci się coś wesołego przyśni.

Poszli szybko na poszukiwanie apteki.

- Wiesz, o czym myślę? - mówił Zenobi. - Jaka to wielka szkoda, że nie ma tutaj naszego aptekarza "i owszem, proszę pana". Dostalibyśmy lekarstwa za darmo. Pokaż no te recepty! Co mu doktor zapisał?

- Nic z tego nie wiem. Moje wiadomości z tej dziedziny są jak mróz.

- Dlaczego jak mróz?

- Bo niżej zera.

- Aha! Oto apteka.

Podali recepty, a pan aptekarz je odczytywał.

- Czy lekarstwa prędko będą gotowe?

- I owszem, proszę pana - odrzekł uprzejmie. - Dlaczego się panowie śmieją?

- dodał z nagłym zdumieniem.

- Broń Boże! - rzekł szybko Zenobi. - My mamy takie usposobienie. Dziękujemy uprzejmie...

- Aptekarze to najuprzejmiejszy naród na tym, pełnym chorób, świecie - śmiał się Zdzisław w powrotnej drodze.

Zbyszek spał twardo pod strażą Apasza, który się nieufnie przyglądał wszystkim obcym, zbliżającym się do jego łoża. Podejrzliwie obserwował doktora, który zjawiał się dwa razy dziennie i jakąś trąbkę przykładając do chudej piersi Zbyszka. Ponieważ jednak śmiał się głośno, a Zbyszek uśmiechał się do niego. Apasz odłożył na inny raz ponury zamiar, aby tego człowieka chwycić za łydkę. Zdziwił się jednak bardzo, gdy siwy człowiek zawołał:

- Ach, to jest ów dzielny Apasz? Bardzo przystojny pies. Gęba złodziejska, a serce bohaterskie.

Zbyszek, wybornie leczony i karmiony rozsądnie, przychodził do sił z każdą godziną. Wciąż wołał przyjaciół, którzy przybiegali skwapliwie.

- Jutro już wstanę! - obwieścił Zbyszek piątego dnia.

- Lekarz pozwolił?

- Bardzo krzyczał, groził, że mnie przywiąże do łóżka, i oświadczył, że go zawezwano przez pomyłkę, bo trzeba było wezwać weterynarza. Straszne wyprawiał awantury, ale nagle przestał...

- Oj, czemu?

- Bo Apaszowi zaczęło się to nie podobać. Wtedy doktor powiedział cicho: "Jutro przyjdę z rewolwerem! Nie pozwolę, aby ten kundel patrzył na mnie z pogardą!" Ale wiecie - dodał ciszej - co rzekł potem? Potem, chichocząc, dodał: "Zresztą, jutro przyjdzie do was policja!"

- Tak powiedział? I on? Zenobi! Czy wszyscy poszaleli? Zenobi spojrział chmurnie i szepnął:

- Zbyszek, drogi przyjacielu! Czy mógłbyś ty wstać dzisiaj jeszcze? Ja warn mówię: dajmy my stąd drapaką dzisiaj w nocy.

W tej chwili stanęła w progu siwa pani i ogłosiła z uśmiechem:

- Ktoś z policji, do was, chłopcy.

- Złapali nas! - szepnął Zdzisław. - Raz kozie śmierć... Czuj duch, Zenobi! Zasłonili własnymi piersiami zalęknionego Zbyszka, gdy do pokoju wchodził oficer policji.

- Nareszcie - rzekł głośno - mam panów! Nareszcie!

- My, proszę pana, nic... - zaczął Zdzisław z rozpaczą. Przerwał, widząc, że oficer ma na twarzy serdeczny uśmiech.

- Który z panów jest który? - zapytał uprzejmie. - Ach, tak... tak... Pan Zdzisław, pan Zenobi, a pan Zbyszek jest jeszcze chory... Długo szukaliśmy panów, aż wreszcie pan doktor dał nam znać...

"A ja go pocałowałem w rękę! - pomyślał z rozpaczą Zenobi. - O uśmiechnięta obłudo!"

- Panowie! - rzekł oficer z powagą. - Kiedy wszystkie gazety napisały o bohaterskim czynie pana Zbyszka, zaczęli was szukać dosłownie wszyscy. A ja z urzędu, z polecenia pana wojewody... Nie chcieliście podać nazwisk, znaleźliśmy tylko imiona wasze, ach i tego psa. To sławny pies! Ja już od kilku dni wiem o panach, ale że pan Zbyszek był chory, nie chciałem go trudzić. Teraz jednak, drogie chłopaki, musimy się dowiedzieć, jak się panowie nazywają.

- Po co? - spytał Zdzisław.

- Pan Zbyszek otrzyma odznaczenie za bohaterski czyn - rzekł oficer. - Czy panów to dziwi?

- O Boże - szepnął Zbyszek. - Ja nie zasłużyłem...

- O tym inni inne mają zdanie! - zaśmiał się oficer.

- Najmocniej przepraszam, ale czy ja mogę zobaczyć tego sławnego psa, co skacze do wody za swoim panem?

- Oczywiście! Apasz! Gdzie on jest? Był tu przecie przed chwilą... Apasz! Apasz!

Nigdzie nie było Apasza.

- Zobaczę go w takim razie kiedy indziej. Teraz jeszcze jedną operację musi pan przejść, panie Zbyszku. W przedpokoju czeka fotograf z gazety. Zbyszek bronił się rękami i nogami, ale go odziano, przyjaciele wzięli go pod ręce i ustawiono ich przed aparatem.

- Zrób ludzką minę - szepnął Zenobi. - Nie kłap zębami... Bohater tego nie robi! Uspokój nogi, bo się trzęsą.

- Chwileczkę... Główka cokolwiek na prawo... Dobrze!... Cofnąć nóżkę... Tak... Uwaga! Zdejmuję... Już! Dziękuję! - gadał człowiek z pięcioma nogami, licząc trzy na aparat.

Oficer policji pożegnał ich uroczyście i poszedł z trzema nazwiskami i z adresami w notesie.

W tej chwili Apasz wylazł spod łóżka i bacznie patrzył na drzwi.

- On tu był! - zawołał Zenobi. - Ukrył się pod łóżkiem.

- Nie chciał się spotkać z policją - rzekł Zdzisław. "A panowie się dziwią?" - zapytał Apasz mądrym spojrzeniem.

#### XIV. Zdzisławie, Zdzisławie, gdzie są twoje buty?



- Hej, ty Brekekeks! - krzyknął Zdzisław. - Jak się czujesz?
- Dobrze! - odkrzyknął wesoło Zbyszek. - Ale czemu Brekekeks?
- Jest to postać z dramatu Hauptmanna "Dzwon zatopiony". Żyje w wodzie i ma płetwy między palcami. Ty jesteś taki, co żyje w wodzie.
- Mówisz do bohatera - wtrącił Zenobi. - Wyrażaj się z szacunkiem!
- "Lwie, dobrze ryknąłeś!" - to z Szekspira - zaśmiał się Zdzisław. - "Panowie towarzystwo" - jak mówili zaporoscy Kozacy - Czas nam w drogę. Pan doktor powiada, że bohater może iść.
- Nie naśmiewajcie się ze mnie - prosił Zbyszek z rumieńcem na twarzy.
- Zbyszuniu! - zawołał Zdzisław. - Czyś upadł na głowę do wody? Sześć zębów postrada ten, kto by się z ciebie naśmiewał. Więc jutro idziemy! Dzisiaj pożegnamy się z doktorem i pani gospodyni policzy srebrne łyżki...
- Po co ma liczyć łyżki? - zdumiał się Zbyszek.
- Na wszelki wypadek. Ja nigdy nie jestem pewny Apasza.
- Także coś! - zaśmiał się Zbyszek.

Wesoły był i zdrowy.

- Ty, chłopczyku, jesteś już wyleczony - mówił lekarz, gdy mu złożyli pożegnalną wizytę. - Ale ci dwaj są nieuleczalni. Wodę w głowie ma jeden z drugim. Po grecku zowie się taki: hydrokefalos.
- Ale nas pan doktor kocha! - zaśmiał się Zenobi.

Lekarz spojrział na niego przez binokle, zdjął je z nosa i wytarł czym prędzej.

- Tfy, do licha! - krzyknął zapalczywie. - Za co ja mam was kochać?
- Bo pan wszystkich ludzi kocha...
- Ludzi? A czy wy jesteście ludzie? Magot jesteś, a nie człowiek. Powinieneś siedzieć w palmowym gaju i drapać się w połędwicę. Chodź no ty, chłopaczk, ze mną do gabinetu... Mam ci powiedzieć dwa słowa... Powiedział to tak groźnie, że Zbyszek spojrzął z przestraszonym wzrokiem na Zdzisława.
- Udaje staruszek - szepnął Zdzisław - ale nie bardzo umie. Lekarz spojrzął w gabinecie głęboko w oczy Zenobiego.
- Nie gniewaj się, chłopcze, ja tak umyślnie, żeby tamci się nie spostrzegli... Niby że jestem zły, uważasz... A teraz gadaj, macie wy jakie pieniądze?

Zenobi spojrział na staruszkę rozrzuconym wzrokiem.

- Coś tam mamy - rzekł niepewnie.
- Coś, coś!... Pytam, czy wam wystarczy.
- Wystarczy, drogi panie doktorze!
- Słuchaj, chłopcze! Jeżeli łożysz, to nie wyrzysz z piekła Przez długie lata. Zbyszka trzeba dobrze karmić, rozumiesz?
- Będziemy go dobrze karmili.

- A za co? Jeśli nie macie, ja wam dam.

Nie, panie doktorze - odrzekł Zenobi z powagą. - Jakoś nam dotąd nie zabrakło i nie zabraknie. Zresztą zdążamy już do celu podróży, do ciotki Zdzisława.

- Słowo honoru?

- Słowo honoru!

- To mało. Powiedz: jak Boga Kocham!

- Jak Boga Kocham!

- Dobrze. - Zerwał szkła z nosa. - Ale gdybyście znaleźli się w potrzebie, wal do mnie list. Walniesz?

- Walnę! - gromko oświadczył Zenobi.

- Doskonale... Tamtym ani słowa, bo ci duszę wyjmę z ciała, a ja to umiem, bom doktor.

Ściskali się potem czule i po siedemkroć razy; tak samo zegnali się z siwą panią, która ucałowała ich burzliwe głowy.

W tych głowach: Zenobiego i Zdzisława, wirowały poza tym czarne myśli. Obaj, aby się nie zdradzić przed Zbyszkim usilnie udawali wesołość i wyborny humor. Ani doktor jednak, któremu Zenobi mówił, że są w posiadaniu pieniędzy, I ani Zbyszek nie wiedzieli niczego o tajnej naradzie, odbytej jednej nocy. Owszem. Zenobi mógł przysiąc, że jeszcze mają pieniądze, ale skarb ten był przeraźliwie mizerny, skurczony i do ostatnich granic. Na dnie mieszka patrzyło na siebie z głęboką troską równo złotych osiem. To było wszystko, co pozostało. Część kapitału została zamieniona na proszki i mikstury, a część została wręczona za mieszkanie i jedzenie! Dobra kobieta przyjęła jedynie zwrot własnych wydatków. Rozpaczliwy stan kasy był głównym tematem tajemnej narady. Zdzisław naradzał się z Zenobim szeptem. Co robić? Z ośmioma złotymi nie zdołają powrócić aż do Warszawy, od której znajdują się bardzo, bardzo daleko. Bliżej jest do owej nieznanym ciotki Zdzisława, jakieś czterdzieści dziewięć kilometrów. Roztropniej będzie spróbować dotrzeć do niej i albo u niej szukać ratunku, albo z jej domu wołać o ratunek do Warszawy. Nie mają jednak żadnej pewności, czy ją zastaną, czy tam w ogóle jeszcze mieszka, czy ich będzie mogła przygarnąć, choćby na dni kilka? A jak tam dobrać? Trzeba będzie wędrować powoli ze względu na Zbyszka i trzeba go będzie odżywiać uczciwie, a wszystko to potrwa z pięć albo sześć dni.

- Jesteśmy w potrzasku - szepnął Zenobi. - Zjadło nas nieszczęście. Powrócić nie możemy, a trudno iść naprzód.

- Musimy iść naprzód - odparł Zdzisław. - Nie ma innej rady. Mam wrażenie, że wybraliśmy się cokolwiek lekkomyślnie...

- Wyprawa pod psem! - bąknął Zenobi.

- Żałujesz?

- Nie. Nie żałuję! Było nam dobrze i nawet rozkosznie. Gdyby nie historia ze Zbyszkim, byłoby wszystko cudowne. Trudno. Płakać nie będziemy... A cóż to? Nedorajdy jesteśmy? Trzech dzielnych Polaków da sobie radę! Choćbyśmy się mieli wynajść do tłuczenia kamieni na gościńcu...

- Słusznie - rzekł Zdzisław po namyśle. - Umrzeć nam nie dadzą i jakoś dojdziemy. Wiesz co, Zenobiuszku? Gwizdnij na zmartwienie i przestańmy o tym gadać.

- Teraz nie będę gwizdał, bo jeszcze obudzę Zbyszka, ale jutro gwizdnę. Więc idziemy przed siebie?

- Idziemy!

- Ale przed Zbyszkim ani słowa.

- Ani mrumru. Ale jeszcze jedno... Sami będziemy oszczędzali, ale co będzie z bohaterskim Apaszem? Oduczyliśmy go kradzieży; więc teraz trzeba karmić tę leliję. Wydobyliśmy go z otchłani... To mi przypomina historię owego samobójcy, któremu przeszkodził jeden dzielny człowiek. Samobójca, który chciał utopić się z głodu, powiada do swego zbawcy: "Bardzo to ładnie, ale teraz niech mnie pan żywi!" I tak go zaczął objadać, że tamten chciał się utopić z kolei. Ten kosmaty opryszek gotów nam powiedzieć podobnie.

- Trzeba mu będzie dobrotliwie wyjaśnić sytuację. Pies, który się ukrywa przed policją, będzie miał dość sprytu, aby pojąć zły stan naszych interesów.

Nie dałbym grosza za to, czy on w nocy nie wyciąga naszej sakiewki i nie liczy pieniędzy. A zresztą niech poluje na polne myszy albo niech jada żaby. Strasznie go polubiłem, ale cóż zrobić? Zbyszek ważniejszy!

- Oczywiście, mogą Francuzi jadać żaby, może i on. Weźże, Zenobiuszku, kasę i mądrze nią gospodaruj. Obejrzyj każdą monetę siedem razy i targuj się, targuj się, bracie! Nie będziemy kupowali u chłopów, tylko u bab, bo mają miękkie serca. Och, Zenobiuszku, czemu człowiek nie może jeść siana albo liści z drzew?

- Jeść może, ale będzie jęczał. Czemu my nie jesteśmy bogaci? Ha, gdybym tak miał milion!

- To mi przypomina, że raz zapytano jednego stróża: "Co byś zrobił, gdybyś miał milion?" "Gdybym miał milion, nie zamiatałbym podwórza za mniej niż dwa złote!" - odrzekł stróż, który był filozofem. Słyszysz, Zbyszek gada przez sen...

- Może mu się śni, że ma pieniądze.

- Żeby je tylko zatrzymał do rana! Dobranoc, Zenobi. Wyśpijmy się przed podróżą... Przyznam ci się, że mnie już nogi świerzbią.

- A mnie głowa trzeszczy od rozmyślań.

- To na jedno wychodzi. "Dobranoc!" - jak mówi Mickiewicz.

- Złam świerzbiącą nogę - jak mówi Zenobi.

Postanowiwszy iść naprzód, nie roztrząsali już tej sprawy. Co ma być, będzie. Zbadali drogę dokładnie na mapie i wędrowali powoli i bardzo rozważnie. Zdzisław, pragnąc odwrócić uwagę Zbyszka od wszelkich kłopotów, nie dawali nikomu przyjść do słowa, lecz wciąż sam "brał słowo", jak mówi Homer, i pytlował bez odpoczynku. Na co tylko spojrzał, kogo tylko spotkał, wszystko mu zawsze coś "przypominało". Powtarzał stare, brodate, osiwiłe dowcipy, wymyślał je sam, przekomarzał się i terkotał jak chiński młynek do modlitwy.

- Zbyszku! - powiadał - jesteś starym oszustem, cyganem kutym na cztery nogi. Udawałeś chorego, a idziesz jak rzymski legionista. Aż ziemia drży! Brawo, młodzieńcze! Chodź tak dalej, a daleko dojdiesz, notabene, jeśli nie będziesz skakał do każdej napotkanej wody. Jest to zły nawyk, od którego musisz się odzwyczaić. Można by to zrozumieć, gdybyś za każdym razem wypływał z rybą w gębie, jak wydra albo kormoran, ale ty wynosisz z wody tylko dzieci. Potem go za to jeszcze fotografują. Ale doskonale wyglądasz na fotografii w gazecie. Doskonale! Ja mam minę cokolwiek taką, jakbym był zezowaty, a Zenobiego, na szczęście, w ogóle nie widać, bo mu tak gębę zaczerwili, jak Rafałek-Antałek zaczerwili grabarza.

- Co oni tam robią? - uśmiechnął się Zbyszek do wspomnienia.

- "Jedzą, piją, lulki palą!" - odrzekł Zdzisław. - To z Mickiewicza! Przypomina mi to, że czas, aby coś zjeść.

Coraz rzadziej jednak przypominał sobie o jedzeniu.

- Zenobi - rzekł jednego dnia. - Jak długo może człowiek wytrzymać bez jedzenia?

- Był raz taki głodomór, Włoch Succì, który wytrzymał głód przez czterdzieści dni.
- Co mówisz? W takim razie czemu ja się martwię?
- Albo ja wiem? Ty zawsze czynisz wszystko bez zastanowienia.
- A jak się objawiają skutki długiego głodu?
- Zdaje się, że człowiekowi puchną nogi czy coś takiego. Zdzisław spojrział pilnie na swoje pedały.
- Jeszcze cienkie - rzekł z uznaniem. - A ty czy jesteś głodny? ~ Nawet bardzo.
- Wiedziałem o tym, miły towarzyszu.
- "Jeżeli wiesz, to czemu pytasz?"

- Tak powiada u Homera Agamemnon do Achillesa. Wiem. To mi przypomina, że z Homerem jest niejasna sprawa. Jeden roztargniony profesor powiadał: "Nie wiadomo, czy Homer istniał, o tym jedynie wiemy z całą pewnością, że był ślepy".

- Przepraszam cię, Zdzisławku... Wiesz, w jaki sposób objawia się gorączka głodowa?

- Jak?

- W ten sposób, że człowiek zaczyna bredzić. Uważaj na siebie! Rada była dobra, lecz do wykonania trudna. Szli bardzo powoli, cokolwiek sennie. Zbyszek, zerwawszy się początkowo do wspaniałego marszu, ustawał coraz częściej, ale nadrabiał miną.

"O moja ciotko! - wołał w myśli Zdzisław. - Czemu mieszkasz na krańcach świata?"

Wciąż odbywał z Zenobim szeptliwe narady i gadali do siebie oczami jak spiskowcy. Przy każdej sposobności szukali jakiejś pracy i wypytywali o nią natarczywie. Nigdzie jej nie było, chociaż byliby się podjęli najczarniejszej.

- Ile masz jeszcze? - pytał potem Zdzisław.

- Cztery złote, piętnaście groszy - odpowiadał ponuro Zenobi. Wymyślili taki proceder, że udawali, jakby łąpczywie jedli, po kryjomu zaś chowali swoje porcje, wieczorem zaś Zenobi udawał, że je zakupił.

- Czy Zbyszek niczego nie widzi?

- Jeszcze nie, ale on zobaczy, mówię ci, że on zobaczy. Kupowali dla niego gorące mleko, masło, bułki i wędliny; Zbyszek, nie zdając sobie sprawy z finansowej ruiny, część swojego jedzenia oddawał zawsze Apaszowi. Zdzisławowi wonczas coś jęczało w duszy przeraźliwym jękiem, a Zenobi odwracał głowę. Czuł w gardle wielką suchość, więc łąpczywie połykał ślinę.

- Ostatnie grosze - szepnął jednej nocy w ucho Zdzisławowi.

- A kilometrów ile?

- Około dwudziestu - odrzekł głucho Zenobi. - Czy niczego ci to nie przypomina?

Po raz pierwszy nic się nie przypominało wesołemu Zdzisławowi. Nazajutrz wielki skarbnik Zenobi zakupił za ostatnie pieniądze obfite śniadanie. Położył je przed Zbyszkim i rzekł:

- Siedź ty tu sobie, Zbyszku, i jedz. A my ze Zdzisławem pójdziemy sobie obejrzeć ten kościółek. Śliczny, stary kościółek.

- Czy ja bym nie mógł też?

- W żaden sposób! Trzeba się drapać na górę, a tobie nie wolno się męczyć. Zjedz, a potem się zdrzemnij, bo dziś odwalimy duży kawał drogi.

- Dobrze - rzekł Zbyszek uśmiechając się na pożegnanie. Oni zginęli wśród zarośli i usiedli nie opodal na trawie.

- Teraz my! - szepnął Zenobi, wydobywając kawał czerstwego chleba. - Szanuj każdą okruszkę, bo to ostatni nasz chleb.

- "Lukullus ucztuje u Lukullusa!" - rzekł Zdzisław z powagą. - Lukullus, jak o tym zapewne nie wiesz, ciemny człowieku, był sławnym żarłokiem. Dorównali mu jedynie Witeliusz i Gamasz, którzy umieli pożreć niesłychane ilości. No i ja, za dobrych czasów... Nie ma tu gdzie wody, bo tego chleba powszedniego nie można ugryźć...

Niestety, nie ma. Trudno! Boże, pobłogosław te czerstwe dary... Ile jest ludzi, którzy by życie oddali nawet za ten kawałek chleba? Więc nie narzekajmy! Jesteśmy bogaci... To mnie jedynie martwi, że ten złodziej Apasz zjada w tej chwili szynkę.

Zenobi nie odpowiadał, gryząc twarde chleb z upartym trudem. Zdzisław gadał z przyzwyczajenia, wreszcie i on umilkł pilnie bacząc, aby nie uronić żadnej okruszyny. Nagle zaczął mamrotać:

- "...Bierze się doń siekana, kwaszona kapusta, która wedle przysłowia sama idzie w usta".

- Czyś ty oszalał?

- Bynajmniej. Jem bigos z "Pana Tadeusza". Prawdę mówiąc, wyobrażałem sobie, że jem bigos. Radzę i tobie powtórzyć parę razy: "...i chołodziec litewski, milcząc, żwawo jedli" - a wreszcie uwierzysz, że go jesz. Taka jest moc wielkiej poezji. Zenobiuszku! Zdaje mi się, że mi się zachwiały dwa zęby. Czy ten chleb jest z kamienia? Wiesz, jakie jest najstraszniejsze przekleństwo? "Obyś kamienie gryzł!" - bo atakuje ono i zęby, i przewód pokarmowy, i żołądek. Pierwszy raz w życiu żałuję, że zamiast być wybitnie przystojnym i obiecującym młodzieńcem, nie jestem głupim strusiem. Ten by zjadł nawet ten chleb... O!

- Co ci się stało? Udławiłeś się?

- Zbyszek... -jęknął Zdzisław.

Zbyszek stał nad nimi i spoglądał pełnym bólu spojrzeniem. Usta mu drżały. Widać, że stał za krzakiem od dłuższej chwili.

"Już wie!" - powiedział Zenobi wzrokiem Zdzisławowi. "Tak... - odrzekł mu Zdzisław - ale go zagadam".

- Ale nas przestraszyłeś! Chodzisz jak wilk, a my tu sobie wesoło... Poszliśmy do kościoła, a kościółek zamknięty, więc ja mówię: "Wracajmy do Zbyszka!" A Zenobi powiada: "Zbyszek pewnie chrapie na słońcu..." Pewnie spałeś? Więc siadamy sobie tutaj, a ten Zenobiuszek coś tam gada: "Założmy się, kto ma lepsze zęby?" "Założmy się!" - powiadam i zaczynamy gryźć ten chleb, tak dla zabawy... Śmieszne, co? To mi przypomina... Zaraz, zaraz, co mi to przypomina?

- To ci przypomina, że ja jem, a wy jesteście głodni... Boże mój - mówił ciężkim głosem Zbyszek drżąc cały.

Oni obaj zerwali się i chwycili go za rękę.

- To i cóż? - zaczął mówić twardo Zenobi. - Zresztą wcale nie jesteśmy głodni... Kto ma jeszcze chleb, ten nie jest głodny. Ty byłeś chory i musisz jeść, a my jesteśmy zdrowie konie.

- Ja nie jestem chory! - krzyknął Zbyszek, jakby z rozpaczą.

- Jesteś. A zresztą to wszystko jedno. Od jutra i ty nie będziesz jadł. Nie będę ukrywał... Po co? Zbyszku... My nie mamy ani grosza. Jemu pociemniało w oczach.

- To przeze mnie - rzekł głucho. - Ja wiem, że to przeze mnie. Lekarz, apteka, mieszkanie...

- Lekarz nie wziął nic! - powiedział szybko Zdzisław.

- A wszystko inne dali nam prawie że darmo. Co tu gadać? Było i nie ma. Pieniądze mają tę właściwość, że tają jak wiosenny śnieg. Jeśli będziesz mówił, że ty jesteś winien, ciężko nas dotkniesz. Czy chcesz to uczynić?

- Nie - odparł smutno Zbyszek. - Ale mnie nie przekonałeś. Powiedz mi tylko, co my teraz pocniemy?

- A cóż? Jak to pewnie zauważyłeś, idziemy. Najpierw dojdźmy do tej mojej ciotki, a potem będziemy się martwili. Na to jest zawsze czas. Zbyszku, rozpogódź twarz!

Zbyszek jednak nie rozpogodził bladej, wynędzniałej twarzy. Widać było, że go coś gryzie i że mu coś ciąży. Uśmiechnął się, gdy się spotkał z ich spojrzeniem, lecz ten uśmiech natychmiast potem odlatywał jak motyl, co przysiadł na krótką chwilę na żdźble trawy. Usiłował iść dzielnie, choć czasem zaciskał wargi, wiedział jednak, że musi się przemóc. Trzeba dojść jak najprędzej. Bał się ich zapytać, jak długo jeszcze muszą wędrować do owej przystani, w której będzie można obmyślić sposoby ratunku. Chociażby miał paść, będzie szedł długo, aż usłyszy komendę Zenobiego lub Zdzisława. Tego dnia nie uszli daleko, a tego wieczoru nie mieli nic w ustach.

- Napijmy się wody - rzekł, niby wesoło, Zdzisław. - Woda nic nie kosztuje. Apasz wyraził spojrzeniem delikatne zdziwienie, że chociaż rozpalili ognisko, niczego przy nim nie warzą. Położył się obok Zbyszka i od czasu do czasu szturchał go nosem w nogę, aby mu zwrócić uwagę, że pora wieczerzy już dawno minęła. Zbyszek jednak patrzył ciemnym wzrokiem w rozchwiane płomienie.

Nazajutrz rano znowu napili się wody i szli drogą smętni jak żołnierze Napoleona z wyprawy na Moskwę. Apasz patrzył ponuro i coś ważył w mrocznej duszy.

- Nasza droga potrwa jeszcze ze cztery dni - szepnął Zdzisław do Zenobiego.

- Zbyszek rozchoruje się na nowo. Przeszukałeś dobrze plecaki?

- Dokładnie. I kieszenie też przeszukałem. W jednej znalazłem tylko gazetę z naszą fotografią i opisem Zbyszkiego bohaterstwa. W drugiej grzebień.

- Nie da się zjeść. Zenobi, wymyśl co, u Boga Ojca! Patrz, jak Zbyszek nadrabia miną.

- Co wy tam szepczecie? - zapytał Zbyszek znienacka.

- Opowiadamy sobie wesołe historie - zaśmiał się bolesnym śmiechem Zdzisław.

- Zbyszku złoty, idziesz jeszcze?

- Idę i będę szedł. W tej miejscowości zapewne odpocniemy? - zapytał niepewnie.

- Oczywiście, oczywiście!

Gdy wchodzili na rynek, Zenobi rzekł niecierpliwie:

- Przejdźmy tą uliczkę obok, w stronę kościoła, tam jest cień.

- Czemu nie chcesz iść przez rynek? - zapytał go Zdzisław na stronie.

- Bo w oknach sklepów wystawione są rozmaite rarytasy. Zbyszkuwi zrobi się słabo, a ja wtedy wytłukę szybę.

- Aha! Rozumiem...

Usiedli w cieniu wielkich drzew i słuchali brzęczenia pszczoł. Po jakiejś godzinie, milczącej i ciężkiej,

Zenobi podniósł się powoli.

- Poczekajcie, ja zaraz wrócę - rzekł dobitnie.

Nie wracał jednak długo. Po godzinie ukazał się u wylotu uliczki i biegł bardzo szybko.

Zdzisław spojrzął bystrze i zakrzyknął:

- "Burka pełna, zdobył tam wiele!" To z Mickiewicza! - objaśnił uprzejmie.

- Zenobi, co ty tam masz?

- Bochenek chleba! - ogłosił Zenobi triumfalnie.

- O kruku, któryś żywił proroka Daniela! O zbawco! O miłosierna duszo chrześcijańska! Czy to naprawdę chleb? Czy nie jesteś szatanem, co złudne czyni sobie z nami igraszki?

Zenobi, nie zwracając uwagi na wszystkie razem wykrzykniki Zdzisława, które jak cyprysy zasadzał po każdym niemal słowie, gorączkowo krajał chleb na cztery części.

- Masz, bracie - mówił zdyszany.

- Najpierw Zbyszek... Teraz ty, rozklekotana katarynko, teraz ty. Apasz... A teraz ty, Zenobi, wzniosły człowieku, siadaj i jedz!

Przez długą chwilę słyhać było pracowite miażdżenie chleba, wreszcie rzekł Zdzisław:

- Czy jest słodsza potrawa ponad chleb? Apasz! Powoli, bo się udławisz... Zenobi, jesteś wielki! Czy możesz nam powiedzieć, kogo ocyganiłeś?

- Nikogo! Dostałem na kredyt.

Zdzisław spojrzął na niego spod oka i już chciał coś powiedzieć, ale się zatrzymał. Dopiero w drodze, gdy Zbyszek w Apaszem pozostali nieco w tyle, zagadnął go:

- Zbyszek nie słyszy, możesz nie łąć. Skąd wzięłeś chleb? Jakim sposobem?

- Bardzo prostym: sprzedałem koszulę.

- Moją?

- Nie, własną. Mam dwie koszule, a jeden grzbiet. Po co mi była ta druga koszula?

- W tym, co mówisz, jest wiele słuszności. W ogóle koszula nie jest potrzebna człowiekowi. To mi przypomina słynną opowieść. Chciano w pewnym królestwie w pewnym celu zdobyć koszulę człowieka szczęśliwego. Szukano bardzo długo tego szczęśliwego, aż wreszcie znaleziono. "Ozłocimy cię - powiedzieli mu - jeśli nam dasz dla króla swoją koszulę!" I cóż się okazało? Oto ten człowiek, który się powiadał szczęśliwym, nie miał wcale koszuli. Zenobi! Jesteś bliski szczęścia. Poza tym jesteś człowiekiem roztroptym i zapobiegliwym. Patrzaj, jak Zbyszek rażno idzie, a Apaszowi zagasły w oczach mordercze błyski. Czy pozwolisz, że cię uściskam, ale trochę później, bo teraz za gorąco?

- Uściśnij słup telegraficzny!

- Gadaj zdrów, Zenobiuszku! Uwielbiam cię, choćby mnie za to nazwano bałwochwalcą.

Jaśniej im się uczyniło po zjedzeniu tego kawałka chleba, Zdzisław zaś obliczył, że ponieważ każdy z nich ma zapasową koszulę, będzie można sprzedać jeszcze dwie i jako tako nakarmić dwa głodne dni. Na najbliższym przeto postoju zniknął z małym zawiniątkiem w zanadru. Powrócił jednak smutny i chmurny jak noc.

- Nie udało ci się - spytał Zenobi.

- Nikt nie chciał - odburknął Zdzisław. - Wzgardzono najpiękniejszą koszulą świata. Księżę Walii nie posiada takiej z całą pewnością.

- Oczywiście, bo taki nie nosi koszul pocerowanych. Ale jakże ty ją sprzedawałeś?

- Jak to: jak? Znalazłem brodatego męża i zapytałem, czy kupi koszulę. Powiedział, że nie kupi, bo na co mu koszula? Gadałem z czterema jeszcze i żaden nie chciał.

- O ciemny kmiotku! O naiwna pało! I dziwisz się, że nie sprzedałeś? Przecież w ten sposób nikt nie sprzedaje i nikt nie kupuje. Słuchaj, licha imitacja człowieka! Od czasów fenickich istnieje pewien niewzruszony ceremoniał. Skoro sprzedajesz koszulę, masz znaleźć odpowiedniego kupca i zapytać: "Czy nie kupiłby pan spodni?" Skoro chcesz sprzedać spodnie, powinieneś zapytać: "Czy nie kupi pan kamizelki?"

- Po cóż to taka ceremonia?

- Tak musi być. Są to igraszki podjazdowe, badanie sytuacji i stanu rozpaczy u sprzedającego. Kupiec bowiem, któremu zaoferujesz koszulę, zawsze powie: "Koszulę? Nie chcę. Ja bym kupił kamizelkę", bo w ten sposób z góry wyraża pogardę dla koszuli i obniża jej cenę; jeśli kupi, będzie udawał, że kupuje z łaski rzecz wcale mu niepotrzebną. Powiesz mu jednak o kamizelce, zażąda koszuli, a ty ją już wydobywasz z ukrycia.

- Człowieku, gdzieś ty się tego nauczyłeś?

- Mama mnie tego nauczyła - odrzekł skromnie Zenobi.

- Dawaj mi tę koszulinę. Za pół godziny zjemy ją.

Zjedli już wszystko płótno i pozostało im tylko to, co mieli na sobie.

- Ile kilometrów? - zapytał Zdzisław.

- Osiem - oznajmił Zenobi. - Cały jutrzejszy dzień. Potem koniec!

- Nie "potem" koniec, lecz "przedtem" koniec. Od kilku dni żywimy się suchym chlebem. Nawet ja ledwie się już wlokę. Zbyszek ma takie oczy, jakby miał za chwilę zasnąć. Ty udajesz, a na Apaszu można odczytać wszystkie koście. Pokładźcie się tutaj, a ja idę na wyprawę.

- Dokąd?

- Do dobrych Fenicjan - odrzekł Zdzisław - na "Targi Wschodnie"!

- Co będziesz sprzedawał? Nie masz już nic.

- Spróbuję sprzedać wiązanekę moich "złoty myśli".

- W takim razie nie powrócisz żywy!

Leżąc na rozgrzanej trawie, Zenobi rozmawiał czas niejaki ze Zbyszkiem, wreszcie Zenobi usnął, Zbyszek, gładząc machinalnie łeb leżącego obok Apasza, gorzko rozmyślał. Nagle, usłyszawszy wesoły głos Zdzisława, spojrzął leniwie w tę stronę i krzyknął:

- Zenobi, wstań, wstań!

- Co się stało?

- Spójrz; on nie ma butów!



Zdzisław szedł dziwacznie podskakując, dlatego w całej okazałości widać było jego nogi, owite w jakieś gałgany, w rękach za to niósł spore zawiniątko, które po chwili rzucił przed nich, wołając:

- Oto kiełbasa, godna chińskiego cesarza! Oto rozliczne chleby, rumiane i osypane kminkiem, jakby miały znaki po ospie! Oto trzy jaja na twardo, fenomenalnej wielkości. Nakrywajcie do stołu. Hej, służba, niewolnicy, pacholki!

- Ale gdzie są twoje buty?- krzyknął z rozpaczą Zbyszek. Zdzisław okazał niebotyczne zdumienie, spojrzawszy na swoje nogi.

- Istotnie - rzekł - nie mam butów... Pierwszy raz mi się to zdarzyło, abym zgubił buty! Zgubiłem, zgubiłem je przez roztargnienie... Musiały mi spaść z nóg. To nadzwyczajne! Ale to nic, bez butów nie będę taki butny... Zbyszek chciał coś powiedzieć, ale Zdzisław zaczął pytlować na nowo:

- Wiecie, co mi przypomina to niebывałe roztargnienie? To, że wszyscy genialni ludzie odznaczali się nim w wysokim stopniu. Mieli na głowie ważniejsze sprawy... Był raz jeden sławny uczyony, który idąc ulicą ujrzał przed sobą czarną tablicę - wyjmując przeto czym prędzej z kieszeni kredę i zaczyna na niej pisać formuły matematyczne. Tymczasem tablica zaczyna uciekać, a on za nią. Ona jeszcze prędzej, a on bieży i pisze. Ha, ha! Bo to było pudło dorożki.

- Ale gdzie... - usiłował mu przerwać Zbyszek.

- A o tym profesorze słyszałeś zapewne, Zbyszuniu - gadał szybko Zdzisław, udając, że niczego nie spostrzega - który gotował zegarek, a jajko trzymał w ręku, pilnie na nie spoglądając, aby gotowanie trwało trzy minuty. Stary kawał, ale dobry... A jeden znakomity uczyony, jedząc śniadanie, smarował sobie masłem własną dłoń, na której nie położył chleba. Świetne, co? Wiecie jednak, kto był najbardziej roztargnionym człowiekiem świata? Zenobi, nie wykrzywiał gęby, bo nie wiesz! Najbardziej roztargnionym był ten uczyony, który powiesił na haku płaszcz, ale zapomniał siebie z niego wyjąć i tak wisiał przez dwa dni. A wiecie...

- Jeśli natychmiast nie przestaniesz - wrzasnął przeraźliwie Zenobi - zabiję cię!

- Wielcy przewodnicy ludzkości często ginęli śmiercią męczeńską! - mruknął Zdzisław, pilnie patrząc na bardzo smutnego Zbyszka.

## XV. O jerum, jerum!

- Zbyszek dalej nie pójdzie! - rzekł Zenobi! - Albo padnie, albo rozchoruje się na dobre. Osowiał, słowa nie mówi i wygląda jak Piotrowin. Zdzisław, koniec z nami.

Zdzisław rozmyślał potężnie.

- Wcale nie koniec. Nie położymy się przecie na drodze i nie pomrzemy. Rada jakaś być musi. My dwaj jesteśmy zdrowi i wydobędziemy z tarapatów i przyjaciela, i siebie. Zresztą znalazłem już radę.

- Gadajże, na Boga!

- Będzie tak: wy przytulicie się w jakiejś chałupie, a ja pobiegnę do tej mojej ciotki. To już niedaleko, kilka kilometrów. Za parę godzin będę z powrotem z pieniędzmi, wynajmiemy furkę i Zbyszek pojedzie wspaniale jak Cezar na Kapitol. Może zresztą ciocia ma jakieś koniki, więc cała wyprawa potrwa ze trzy godziny. Ściągaj buty!

- Chcesz je sprzedać. Moje buty?

- Nie będę ich sprzedawał, ale nie mogę stanąć przed czcigodną kobietą z łachmanami na nogach, bo mnie w ogóle do domu nie wpuszczą. Co ci pomogą buty, skoro nie odmienisz gęby... Dobrze, dobrze, już zdejmuję. Zdzisław wdziewał przyjacielskie buty, mrużąc:

- Czy ty masz dwie lewe nogi? Czy co?

- Nie mam dwóch lewych nóg, tylko moje wytworne obuwie nie było przeznaczone na słoniową nogę.

Śpiesz się, Zdzisławku. Wzrusz serce cioci i tak ją rozczul, aby nie pożałowała słoika konfitur. Jeśli zna przypowieść o synu marnotrawnym, powinna zarzucić cielaka na nasze przyjście, jeśli nie zna, przypomnij jej delikatnie.

Zbyszek przyjął obojętnie wiadomość o samotnej wyprawie Zdzisława. Czuł się bardzo źle. Bardziej go martwiła zgryzota, że on jest winien wszystkiemu, niż głód i niewygody. Poszedł za Zenobim jak automat i tak długo wałęsali się po wsi, aż im pozwolono spocząć w lichej chałupinie. Zdzisław rwał z kopyta, nie zwracając na to uwagi, że zbyt ciasne buty uwierają jego nogi. Miał czas na rozmyślanie, więc wyprzął z zatroskanej głowy kłębek bardzo czarnych myśli. On dał hasło do tej oszalałej wyprawy i on musi przeprowadzić plemię izraelskie przez pustynię. Nie wolno mu upadać na duchu. Zresztą ratunek jest bliski. Krewna matka udzieli im gościny i w ten sposób zyskają na czasie, by skomunikować się z Warszawą. Będzie musiało matczyisko robić jakieś hokus-pokus i przysłać trochę grosza, a szanowny konduktor, ojciec Zenobiuszka, też będzie musiał do chudej sięgnąć kalety. Zwymyślają ich potem od lekkomyślnych wartogłowów, ale nie będzie to po raz pierwszy...

Cokolwiek weselej uczyniło mu się na duszy, nadzieja bowiem zieleniła się coraz wspanialej. Już niedaleko, jeszcze jakieś trzy kilometry. W tej chwili ujrzał zgrabny powozik, zdążający w tę samą co i on stronę. Siedziała w nim starsza pani i miłe dziewczątko.

"Boże drogi - pomyślał z niespodziewaną radością - może to moja ciotka? Ona też ma córkę..." Nie śmiał zagadnąć ich wprost, więc spojrzął jedynie tak jakoś serdecznie i błagalnie, że starsza pani kazała przystanąć.

- Dokąd to kawaler wędruje? - zapytała owa pani. - Jeżeli niedaleko, to mogę podwieźć.

Zdzisław zerwał czapkę z głowy.

- Ja niedaleko, proszę pani... Do mojej ciotki! Bardzo, bardzo byłbym pani wdzięczny...

- A jakże się nazywa pańska ciotka, bo ja tu znam całą okolicę. Zdzisław wymienił uroczyście nazwę majątku i nazwisko, dodawszy szybko:

- To nie jest właściwie moja ciotka, aleją tak nazywam, bo to bliska krewna mojej mamy.

- I pan tak z daleka wędruje?

- Z Warszawy! - oznajmił z dumą.

- W takim razie serdecznie mi pana żal. Jakże to? Czy pańska matka o niczym nie wiedziała?

- O czym miała wiedzieć, proszę pani? - głuchym głosem zapytał Zdzisław.

- A o tym, że ta pani, którą pan nazywa ciotką, przed pół rokiem sprzedała majątek i przeniosła się na Pomorze?

Dzień był promieniście jasny, a jemu uczyniło się w oczach ciemno. W uszach tak zaszumiało, jak gdyby nagły zerwał się wichur. Wszystko dokoła zaczęło wirować, powozik zatoczył dalekie koło i powrócił na dawne miejsce.

- O biedaku! - szepnęła starsza pani. - Nie ma tam po co chodzić. Nie ma po co... O kilka kilometrów stąd jest stacja kolejowa, niech pan wsiada do pociągu i wraca do Warszawy.

- Tak... tak... Do pociągu... Dziękuję pani... - mówił Zdzisław, jakby nieprzytomny. Gdy pozostał sam na drodze, musiał usiąść czym prędzej, bo nagle osłabł. Zdawało mu się, że ktoś mu wlał ołowiu w formę serca, tak się nagle stało ciężkie.

- O Boże, Boże miłosierny... - powtarzał szeptem.

Zdawało mu się, że to nie słowa spadają z jego warg, lecz umarłe, jesienne liście. Siedział długi czas i z trwogą patrzył na tę drogę, którą teraz ma powracać. Wróci i co im powie? Co im powie? Chyba tak:

"Wywiodłem was jak głupiec z domów, a teraz umieramy z głodu... Obiecywałem wam rozkosze i radości, a teraz usiadźmy w rowie i płaczmy!"

- Nie, nie! - krzyknął nagle z dziką energią. Zerwał się i zaczął iść szybko w powrotną drogę.

"Przecie - myślał wielkim zamętem myśli - nie jesteśmy na pustyni... Jesteśmy wśród ludzi... Nie dadzą nam umrzeć z głodu".

Sto pomysłów przychodziło mu do głowy, a wszystkie były beznadziejne. Trzeba będzie naradzić się z Zenobim. Zenobi to mądra głowa i umie sobie dać radę. Przede wszystkim odda swoje buty, to nie ulega wątpliwości... Potem sprzeda się plecaki i wszystko, co możliwe. Po co komu plecak, skoro w nim nosi jedynie powietrze? Byle tylko Zbyszek nie wiedział o rozpaczliwym stanie rzeczy, bo i tak już na śmierć się zamartwia. Trzeba będzie zrobić spisek z Zenobim. Potajemnie wywabił go z chaty.

- Kłapa? - zapytał zrozpaczonym szeptem Zenobi, spojrzawszy w oczy Zdzisława.

- Mortus - szepnął Zdzisław. - Waterloo... \* Klęska na całej linii. Co robi Zbyszek?

- Usnął. Opowiadaj co i jak!

Zdzisław sęczył słowa, które kapały ciężkimi kroplami jak łzy. Usiedli na płocie jak dwa umęczone ptaki i przez długi czas nie mówili do siebie ani słowa.

- Musimy wołać o ratunek - rzekł wreszcie z powolnym namysłem Zenobi.

- Do Warszawy?

- Trzeba bliżej.

Nim w Warszawie zbiorą parę złotych, nas tu pochowają, i to bez wielkiej parady. Trzeba bliżej...

- Do aptekarza?

- Jeszcze bliżej. Do doktora... Ja obiecałem temu zacnemu doktorowi, i to bardzo uroczyście obiecałem, że jeśli znajdziemy się w mizerii, dam mu o tym znać natychmiast. Wedle wszelkich oznak znaleźliśmy się w takiej mizerii, że Robinson Kruzoe był w lepszej sytuacji. Trzeba pisać do doktora.

- Pisać? Oblicz: dwa dni list tam, ze trzy dni będzie zdążała pieniądze odpowiedź. A przez ten czas?

- Słusznie. Trzeba wysłać alarmujący telegram. Gdzie jest najbliższa poczta?

- Poczta jest niedaleko, ale za telegram trzeba zapłacić. Pomyślałeś o tym? Zenobi wydał głuchy jęk.

- Sprzedamy twoje buty... - zaproponował Zdzisław nieśmiało. - Ależ tak, tak! Dawaj buty...

W całej wsi jednakże nikt nie pragnął kupić butów ani plecaków, ani scyzoryka; w ogóle niczego nie chciano kupić.

- Przygotujmy się na śmierć - rzekł Zenobi.

- I umrzeć nie będzie za co - odparł Zdzisław głosem ciemnym jak jesienna noc. Stali przed chałupą, w której spał Zbyszek. Uwiązany do płotu, drzemał przed nią Apasz.

- Czemuście go uwiązali?

- Bo głodny jest jak wilk i zamorduje każdą spotkaną kure, a wtedy zostaniemy pobici.

Zdzisław pomyślał i rzekł cicho:

- Po co ma się męczyć? Odwiążmy go, wyprowadźmy poza wieś i niech idzie na polowanie. Niech biedaczyna upoluje żabę albo mysz. Inaczej skapieje tutaj na nic. Nie obawiaj się. Zbyszek uczyniłby to samo.

- Rób, co chcesz... Wszystko mi jedno.

Zdzisław odwiązał psa i poprowadził go na sznurku. Apasz szedł bezwolny, ospały i zrezygowany. Napił się ciepłej wody z jakiejś kałuży i powłókł się za nimi. Oni też wlekli się dźwigając z największym trudem ołowiane nogi.

- Dla Zbyszka mam odrobinę chleba - mówił Zenobi. - Dzisiaj go jeszcze nakarmię. Jutro trzeba nam będzie pójść do owej miejscowości, gdzie jest poczta, i wyłagać depeszę na kredyt. A nuż się uda? Może tam zresztą będzie można sprzedać te łachy...

- A Zbyszek dojdzie?

- Jeśli się teraz wyśpi, pójdziemy na noc, a może dojdzie. Gdzie chcesz puścić Apasza?

- Tam, pod lasem.

Gdy przechodzili przez gościniec, ujrzeli ciężko naładowany wóz, ciągnięty z trudem przez dwa kościste konie. Obok wozu szedł człowiek przypominający Cygana, zakurzony i brudny. Obrzucił ich sprytnym spojrzeniem i niespodzianie zatrzymał wóz.

- Czy to wasz pies? - zapytał.

- A czyj ma być?

- Tak się tylko pytam. Ja miałem psa, ale zdechł.

- To smutna historia - odrzekł Zenobi.

- A to dobry pies?

- Bardzo dobry, ale po co panu te wiadomości?

- Tak się tylko pytam. A czemu jemu widać wszystkie żebra?

- A czemu pańskim koniom widać wszystkie żebra? - odparł Zenobi zniecierpliwiony.

- Bo łykawe, jeść nie chcą...

- Nasz pies też nie ma apetytu. Do widzenia.

- Zaraz... chwileczkę... Nie sprzedalibyście tego psa?

- Nie, nie sprzedalibyśmy - rzekł twardym głosem Zdzisław.

- Szkoda. Ja bym go kupił, chociaż ledwie żyje. On zginie za dwa dni.

- Więc czemu go pan chce kupić?

- Bo ja go odkarmię, a u was odwali kitę. Czy ja jestem ślepy? Moje konie są ślepe, ja nie. Sprzedajcie go! Dam dwa złote... Będzie mi pilnował wozu, bo ja mam towar na wozie. Sprzedacie?

- Nie... - odrzekł Zenobi. - Chodź, Apasz!

- Nie, to nie... Wio, siwy! Koniska wygięły grzbiety i powłokły się, dlatego tylko nie upadając, że były przymocowane do dyszla. Oni uszli kilka kroków, milcząc. Rozmyślali ciężko, nie patrząc na siebie.

- Słuchaj no, Zenobi - rzekł Zdzisław, z trudem dobierając słów. - Ile kosztuje telegram?

- Około dwóch złotych.

Nagle zatrzymał się i dodał cicho:

- Sprzedałbyś?

- Boże, Boże, czyja wiem? To jedyny ratunek... Serce mi się kraje...

- To byłoby straszne... Ja też o tym myślałem. Telegram nas ocali...

- Zbyszka ocali... To ważniejsze.

- Jest rada, Zenobi! Niech nam ten człowiek da swój adres... Odkupimy za potrójną cenę.

- Pomyśl, co będzie, gdy się Zbyszek dowie?

- Nie może się dowiedzieć... Nigdy się nie dowie. To jest straszne, co my chcemy zrobić, ale Bóg widzi... Bez psa nie wrócimy do Warszawy. Ten człowiek musi tu mieszkać w tej okolicy i łatwo go odnajdziemy. Pierwszą rzeczą, jaką zrobimy, to będzie wykupienie psa. My go nie sprzedamy, my go zastawimy. Rozmawiali stłumionymi głosami, jak gdyby w trwodze, że Apasz usłyszy i zrozumie każde słowo. Pies szedł jednak z głową opuszczoną i mętnym wzrokiem spozierał przed siebie. Nie obchodziło go nic, co się dzieje dokoła niego.

- Czekaj pan! - zawołał Zdzisław.

Woźnica zatrzymał konie.

- Gdzie pan mieszka?

- Albo co? - zapytał podejrzliwie.

Zdzisław wytłumaczył mu, o co idzie. Nie chcą sprzedać tego psa. Oddadzą go za dwa złote, a za kilka dni zgłoszą się po niego i zapłacą sześć. Niech im poda swoje nazwisko i adres. Niech się psem opiekuje troskliwie, a będą mu serdecznie wdzięczni. Niech go, broń Boże, nie bije. Przemawiał gorączkowo i ze wzruszeniem; woźnica patrzył na nich zmrużywszy powieki i uśmiechał się.

- Będzie mu u mnie jak w niebie - zapewnił skwapliwie. - Ja widzę, że panowie kochają tego psa. To bardzo ładnie... Bardzo go będę pilnował, a mnie łatwo znaleźć. Zdzisław zapisywał drżącą ręką nazwisko i adres, wcale nie zwracając na to uwagi, że woźnica z niejakim trudem przypominał sobie, jak się nazywa.

- Proszę... Dwa złote! Przeplacam, ale co robić? Dawaj pan psa! Zdzisław podał mu koniec sznura i w tejże samej chwili chciał go wyrwać z powrotem.

- Nie mogę, nie mogę... - krzyknął. Apasz, jak gdyby teraz dopiero zrozumiawszy, co się stało, spojrział na nich dziwnym wzrokiem, w którym załśniło niezmiernie zdumienie, rozłzawił się jakiś okropny żal i zaczerniła się pogarda. Wydał z siebie głuchy głos, jakby stłumiony jęk. Woźnica wyrwał Zdzisławowi sznur z ręki.

- Pan ma za miękkie serce! - zaśmiał się. - Chodź, kundlu!

- Za kilka dni znajdziemy pana - rzekł Zenobi.

- Pewnie, pewnie... Taka jest ugoda.

- Bądź zdrów, Apasz! Przyjdziemy po ciebie... To dla Zbyszka! - szepnął pochyliwszy się nad nim. Pies zjeżył się i odwrócił łeb.

- Pałać mnie te pieniądze - mówił Zdzisław.

- Mam wrażenie, żeśmy sprzedali rodzzonego brata. Och, jak ten pies na mnie spojrzał...

- To dla Zbyszka - powtórzył Zenobi głucho słowa, których nie chciał słyszeć Apasz. Nie rozmawiali ze sobą, jakby ich rozdzielił wstyd. Zdawali sobie sprawę, że to, co uczynili, uczynili z rozpacz, lecz ich serca nie chciały przyjąć tego argumentu. Nadaremnie rozsądek przekonywał serce. Serce było pełne goryczy i żalu. Serce mówiło, że dokonana została bezkrwawa zbrodnia. Zdzisław ukrył na piersi kartkę z adresem, jak największy skarb, a dwuzłotową monetę wrzucił z odrazą do kieszeni. Nazajutrz o bladym świcie wyszli w drogę.

- Gdzie Apasz? - spytał Zbyszek, szukając spojrzeniem dookoła.

- Znajdzie się... - bąknął Zenobi.

Zdzisław odwrócił głowę. Poranek był uroczy, lecz drżał od chłodu. Zbyszek, nie wiedząc jeszcze o "tragedii z ciotką", słuchał po drodze krótkiego sprawozdania o wielkim niepowodzeniu.

- Ale to nic - pocieszał go Zenobi. - Właśnie idziemy na pocztę, aby zatelegrafować do naszego zacnego doktora.

- Zatelegrafować? A za jakie pieniądze?

Zenobi spojrzał z rozpaczą na Zdzisława.

- Udało mi się pożyczyć dwa złote... - mówił szybko Zdzisław. - Od tej pani, którą spotkałem po drodze.

Ponieważ wielkie koło słońca dobywało się właśnie z rozlanego po niebie morza krwi, można było mniemać, że stąd pochodzi krwawy rumieniec na twarzy Zdzisława.

"Jak jego można łatwo ocyganić - myślał Zenobi patrząc na Zbyszka. - Nie ma co... Trzeba się będzie długo modlić, aby nam Pan Bóg przebaczył". Zbyszek coraz niespokojniej począł szukać Apasza.

- Czasem ginął na trzy dni - pocieszał go Zenobi. - Poszedł biedaczysko szukać jedzenia. Dostał się do głodomorów, więc musi żyć własnym przemysłem. Co to słyhać, lokomotywę? Oj, żeby to tak mój ojczulek zechciał się znaleźć na stacji! Przekląłby mnie, aleby nakarmił. Weszli do niewielkiego miasteczka, w którym otwierano właśnie nieliczne sklepy.

- Na pocztę, prędko na pocztę! - mówił gorączkowo Zdzisław. - Jeśli telegram wyślę zaraz, doktor otrzyma go za jakie dwie godziny. Odpowiedź przybiegnie za drugie dwie, a potem będziemy jedli.

- Jak myślisz, co napisać?

- Najkrócej, aby dwa złote wystarczyły: Bardzo głodni, prosimy o pomoc - i podpis.

- A dokąd doktor ma wysłać pomoc?

- Prawda! Najlepiej będzie poprosić naczelnika poczty. Siądziemy, biedne sieroty, na poczcie i będziemy czekali. Oto poczta!

Weszli wszyscy trzej, bardzo uroczyści i bardzo poważni. Pisali telegram bardzo długo i tak roztropnie, aby w najmniejszej liczbie słów wyrazić niezmierny ogrom kłeski.

- Trzeba by dodać, że pożyczkę sumiennie oddamy - wtrącił Zenobi.

- To się przecie rozumie samo przez się, a kilka słów będzie więcej.

- Choćby jedno, ale musi być! - upierał się Zenobi. Żaden na świecie minister spraw zagranicznych nie układał pilniej i rozważniej depechy, która ma zatrzęść Europą, niż to czynili oni. Wreszcie wezwanie o ratunek z dodatkiem ważkiego słowa: "Oddamy!" zostało złożone w ręce uprzejmej paniienki. Trzy

zmizerowane głowy wlażyły w okienko, ze strachem patrząc, jak panienka poczęła liczyć smutne słowa.

- Złoty, osiemdziesiąt groszy! - rzekła uprzejmie panienka, uśmiechnąwszy się do trzech głów. Panienka wzięła monetę i rzuciła ją z wysoka o stół. Coś się jej nie podobało, rzuciła raz jeszcze, potem położyła monetę na malutkiej wadze.

- Fałszywe! - ogłosiła gniewnie.

- Jezus, Maria! - zdławionym głosem zawołał Zdzisław. Panienka spojrziała na nich podejrzliwie, ujrawszy jednak trzy pary przerażonych, zrozpaczonych oczów, a łzy w oczach najmniejszego z nich, mizernego Zbyszka, zrozumiała, że nie chciano jej podejść. Rzuciła okiem na telegram i czytała: "Bardzo głodni..."

- Zawahała się. - Nie zrobię z tego użytku - mówiła niezbyt groźnie. - Proszę o inne pieniądze.

- My nie mamy, proszę pani - odparł Zenobi. - Jesteśmy w podróży... To ostatnie dwa złote... O proszę pani! Myśmy nie wiedzieli...

- Przypuszczam - rzekła. - Biedni chłopcy! - dodała patrząc na bledziutką twarz Zbyszka. - Ktoś was oszukał. I cóż teraz będzie?

- Nic... nic... Pójdziemy sobie - mówił zdyszczonym głosem Zenobi. - Bardzo pani dziękujemy... Strasznie pani jest dobra, że nas nie kazała zamknąć do więzienia. O Boże, Boże?

Trzy zrozpaczone głowy cofnęły się ciężkim ruchem.

- Chłopcy! - zawołała. - Poczekajcie! Oni byli jednak już za drzwiami i szli szybko, nie słysząc, że ich woła.

- To kara za zbrodnię! - szepnął Zenobi do Zdzisława. Zdzisław nie odpowiedział, mroczny i drżący. Zacisnął usta i biegł przed siebie, bez celu.

- Zdzisiu! Ja nie mogę tak prędko - mówił błagająco Zbyszek. Połączyli się znowu i szli powolnym krokiem.

- W tym mieście kupią buty - rzekł Zenobi. - Wyjdźmy gdzieś na pole, tam się naradzimy. Och - szepnął w stronę Zdzisława - gdybym ja spotkał tego opryszka. Wiesz?

- Wiem. Ale nie wiadomo, kto większy, on czy my dwaj? Zresztą mam jego adres.

- Oczywiście fałszywy. Ach, drab przebrzydły!

- O czym wy mówicie? - zapytał Zbyszek.

- O tej dobrej panience z poczty - bąknął Zenobi. - Usiądźmy pod tym drzewem. W tej chwili krzyknął zgoła przeraźliwie. Oni spojrzeli na niego ze zdumieniem.

- Zdzisław, patrz... tam, tam! Na polu...

- Apasz! - krzyknął radośnie Zbyszek. - Apasz... - powtórzył w niezmiernym zdumieniu Zdzisław.

- Ależ goni - mówił szybko Zbyszek. - Musiał się gdzieś pożywić.

- O jedną kurę mniej na bożym świecie! - śmiał się Zenobi z niepojętą radością. Apasz sadył ogromnymi skokami, a mizerna reszta sznurka chwiała się gwałtownie u jego szyi. Gonił ku nim zziąjany, oczami i ogonem dając całemu światu do poznania, że na całym świecie nie ma w tej chwili psa szczęśliwszego. Uradowany Zbyszek pobiegł na jego spotkanie. Korzystając z tego Zdzisław i Zenobi wymienili w niepospolitym tempie ogromną liczbę słów.

- Uciekł! Cudny pies... Kamień mi spadł z serca. O Zenobi!

- Musiał wiedzieć, że dwa złote były fałszywe... inaczej by został, to honorowy pies.
- Zenobi...
- Co?
- Jak myślisz? Czy on powie Zbyszkowi?
- Patrz, jak się ściskają... Może nie powie... To filozof! Powiedziałem mu przecie, że ten cały łotrowski handel był zrobiony dla Zbyszka. Oj, coś oni tam zbyt długo są razem... O Zdzisławku, jaki ja jestem szczęśliwy, jaki szczęśliwy! Wiesz, co ci powiem... - Może nam Bóg przebaczy tę zbrodnię. A wiesz czemu? Bo takie mam wrażenie, jak gdybyś miał łzy w oczach.
- No, to co? Mam! A ty myślisz, że nie masz?
- A jeśli mam, to też co? A właśnie że mam i wcale się tego nie wstydzę. Wstydziłbym się, gdybym beczał z głodu, ale z radości to mi wolno. Wiedziałem, że go odszukamy, ale gryźłem się, jakbym się dopuścił najgorszej zdrady.
- Ten pies rzucił na nas urok... Cicho, już się zbliżają. Zbyszek gadał głośno do Apasza, a ten jak gdyby kiwał głową. Zenobi i Zdzisław czuli, że teraz zbliża się najgorsza chwila. Jak się ten arcymądry pies z nimi przywita? Apasz zbliżył się i - kto nie widział, ten w to nigdy nie uwierzy! - spojrzał na nich porozumiewawczo. Zupełnie, jak gdyby chciał powiedzieć: "Rozmyślałem, zrozumiałem i przebaczyłem. A potem uciekłem, przegryzłszy sznurek!" Skromnie zataił, że zwiął, porwawszy wszystko jadalne, co sobie na popasie przygotował srogi drab katujący konie.
- Apasz! - zawołał niepewnym, ciężkim głosem Zdzisław.
- Apasz! - serdecznie zawołał Zenobi. Jeden objął go z jednej strony, drugi z drugiej i całowali mądry psi łeb. A on mrucał, jakby chciał powiedzieć: "No, już dobrze, dobrze... Nie ma się czym rozczulać!" Zbyszek patrzył, bardzo zdziwiony, na to niebywałe przywitanie.
- Cóż to za nagła miłość? - zapytał ciekawie.
- Nagła? Gdzie tam! Kochaliśmy go zawsze, ale teraz, gdy wszyscy razem jesteśmy głodni... Rozumiesz?
- O, rozumiem! Ale mam wrażenie, że on jeden nie jest głodny. Powiedz, duchu nieczysty, kogoś zamordował? Uśmiecha się, szelma... Tyle było cudownej i rzewnej radości z powrotu Apasza, że na chwilę zapomnieli o wszystkich czarnych zgrzyotach. Pierwszy Zenobi dojrzał je na gościńcu.
- Panowie! - ogłosił. - Trzeba pójść sprzedawać buty, a za buty wysłać depeszę.
- A może by tak sprzedać pieska Apasza? - zaśmiał się rozkosznie Zdzisław. "Czy to ma być dowcip? Jeśli dowcip, to pod ostatnim psem" - rzekł mu Apasz roztroprym spojrzeniem.
- Wiecie - rzekł Zbyszek z drzeniem w głosie. - Gdybym miał umrzeć z głodu i gdybym miał ostatni kawałek chleba, oddałbym go Apaszowi! "A ja tobie oddałbym wtedy własną krew" - powiedział Apasz ludzkim wzrokiem.
- I gdybym mógł sobie tym ocalić życie, nie sprzedałbym go! - dodał Zbyszek. "Słuchajcie, mili panowie, słuchajcie" - zdawał się mówić Apasz. Zdzisław spojrzał na Zenobiego, a Zenobi na Zdzisława i usta mu drżały.
- To mi przypomina... - zaczął Zdzisław zakłopotany.
- Nareszcie sobie coś przypomniał - zaśmiał się Zbyszek. - Gadaj prędko! Jeszcze nie jest tak źle, jeśli ci się coś wesołego przypomniało.
- To nie jest wesołe. To jest koszmarna historia. Otóż, uważajcie, jeden pan miał psa, który umiał gadać ludzkim głosem. Siedział z nim w jadalni i wesoło sobie rozmawiali.



"Czy zjesz kiszkę?" - zapytał głośno jego pan.

"Dziękuję. Mam apetyt na kielbasę!" - odpowiedział pies. "A co będziesz pił?"

"Wodę, oczywiście, a potem zapewne piwo..."

Cudownie mówił! Ludziom przysłuchującym się oczy wychodziły na wierzch ze zdumienia. Wtedy jeden powiada:

"Ja muszę mieć tego psa! Ile pan żąda za niego?"

A na to pies wrzasnął:

"Niech mnie pan nie sprzedaje! Niech mnie pan nie sprzedaje, bo się stanie jakieś nieszczęście!"

"Słyszysz pan?" - odrzekł właściciel psa.

"Słyszę i muszę mieć tego psa. Przecie to jedyny pies na świecie, który umie mówić! Dam panu za niego tysiąc złotych!"

Targ w targ i właściciel sprzedał gadającego psa za tysiąc pięćset. Nabywca wziął go na smycz i wyprowadza go, uszczęśliwiony. Wtedy stało się coś strasznego. Pies odwrócił się już od drzwi i krzyknął na cały głos: "Za to, żeś mnie sprzedał, już nie wymówię w życiu ani słowa!"

- I co, i co? - pytał Zbyszek.

- No i nie przemówił z tego prostego powodu, że w ogóle był bałwan i nie umiał gadać, tylko że jego pan był brzuchomówcą i gadał za siebie i za niego.

- "Wyborna to jest historia - bąknął Zenobi. - Ma tylko tę słabą stronę, że jest zełgana!" - jak powiada jeden Anglik. I bardzo stara. Opowiadano mi ją, gdy miałem cztery lata, a ja z rozpaczy dostałem konwulsji. A teraz chodźmy sprzedawać buty. Wleźmy jednak w jakiś cień, bo tutaj czuję się jak befsztyk na patelni.

- Przestań! - wrzasnął Zdzisław.

- Niby czemu?

- Gadaj, o czym chcesz, tylko nie o befsztyku.

- Przepraszam cię, przyjacielu. Tak, to zbyt krwawe wspomnienie.

- Naprzeciw jest jakiś park czy coś podobnego - mówił Zbyszek. - A tam w głębi widać kolumny wspaniałego domu. Zdaje się, że i dziura jest w ogrodzeniu.

Obejrzelik dokładnie teren i ujrzawszy za ogrodzeniem mocno podszytą gęstwinię, wleźli do parku. W tej chwili Apasz znieruchomiał, gdyż jakiś wielki ptak przebiegł szybko i zniknął wśród krzaków.

- Bażant! - szepnął Zdzisław.

- Szkoda, że nie upieczony - mruknął Zenobi. - O, tu sobie spoczniemy, a jeden pójdzie sprzedawać nasze ruchomości. Strasznie tu miło, bo miękko i chłodno.

Usiedli, rozglądając się ciekawie.

Nagle tuż za nimi ozwał się piskliwy głos:

- Dziadziu! Prędko tutaj! Tutaj są złodzieje!

## XVI. Serce szturmem zdobyte

Spojrzeni poza siebie ze strachem. W odległości kilku kroków stał chłopak, zapewne w ich wieku, bardzo przystojnie odziany; spoglądał na nich złośliwie oczami tak pięknymi, że dziwić się należało, skąd w nich może być tyle złośliwości.

Powtórzył zgiekliwie swój okrzyk, który wywołał spośród zarośli jakiegoś bardzo dostojnego człowieka. Był to starzec wspaniałej postawy, w świetnym odzieniu. Brwi miał niezmiernie krzaczaste, oczy patrzyły bystrze, na ustach błąkał się uśmiech. Było w nim coś bardzo pańskiego i bardzo wytwornego. Zdradzał każdym ruchem szlachetność usposobienia. Chociaż malec z pięknymi oczami darł się wniebogłosy, wspaniały starzec nie spieszył się bynajmniej.

- Przestań krzyżeć, chłopcze - rzekł niskim głosem. - Jacy złodzieje?

- O ci, ci!

Stary pan spojrzał na chłopców, którzy jak na komendę zdjęli okrycia z głów.

- Co tu robicie?

- Wleźliśmy tu przypadkiem - odrzekł Zenobi. - Przez dziurę w ogrodzeniu, za co bardzo przepraszamy. Nie wiedzieliśmy, że to prywatny park. Chcieliśmy odpocząć...

- Nieprawda, dziaduniu... To są złodzieje! - krzyczał paniczek.

- Proszę pana - odezwał się Zdzisław - czemu ten chłopiec nas krzywdzi?

- Bo mi się tak podoba! - wrzasnął smyk.

- Zygmuncie, ani słowa! - zawołał stary pan. - Czy to wszystko prawda?

- Najuczciwsza, proszę pana... Jesteśmy uczniami...

- Złodziejami! - przerwał krzykiem ów, nazwany Zygmuntem. W tej chwili Zenobi błyskawicznym ruchem rzucił pusty plecak, skoczył ku wrzaskliwemu chłopcu i tak go zwiniętym kułakiem poczęstował w bok, że tamten zawył.

- On mnie bije! Dziadziu, on mnie bije! - krzyczał. Prawda była tak oczywista, że nikt nie mógł temu zaprzeczyć.

- Więc się broń! - krzyknął stary pan.

Była to jedyna rada i należało ją zastosować w przyspieszonym tempie, gdyż Zenobi wpadł w wojenną furję i grzmocił gagatka, aż grzmiało. Gagatek, któremu wspaniałe mocarstwo odmówiło pomocy, począł się bronić niezdarnie. Udało mu się wprawdzie skaleczyć niegodnie twarz Zenobiego paznokciami, lecz już po chwili odleciał daleko i zarył nosem w ziemię, jak gdyby usiłował w niej szukać trufli.

- Trzymajcie psa! - krzyknął stary pan.

Ostrzeżenie przyszło w samą porę. Apasz bowiem, przyglądający się ponurym wzrokiem walce, doszedł do przekonania, że należy wdać się w spór. Pewna część ciała Zygmunta, całkowicie nie ostonięta, przedstawiała cel pokaźny i łakomy. Zbyszek schwycił Apasza, gdyż się już spręzał do skoku.

- Sprawiedliwości stało się zadość - rzekł sucho starzec.

- Zygmunta do domu, a wy za mną! - rozkazał.

Oni spojrzeli po sobie niewyraźnie.

- Po co, proszę pana? - zapytał Zdzisław z szacunkiem. ~ My sobie pójdziemy...

On spojrział na nich bystrze i wodził wzrokiem od twarzy do twarzy; potem z podziwem skierował spojrzenie na nogi Zdzisława, jaskrawo oznajmiające, że ich właściciel nie mógłby w żaden sposób dokonać operacji polegającej "na kiwaniu palcem w bucie". Widać było tylko wielki palec prawej nogi, wyglądający ciekawie na świat z dziurawej pończochy, jak pisklę z jaja.

- Pójdziecie ze mną - powtórzył. - Wierzę, że nie jesteście włóczęgami, ale nie podoba mi się to wszystko razem. Co jest temu chłopcu? - zapytał nagle, ruchem głowy wskazując Zbyszka.

- On jest chory - odrzekł Zenobi.

- W drogę! - rozkazał starzec niecierpliwie.

Szli za nim przez obszerny park czysto utrzymanymi ścieżkami ku domowi widnemu z dala. Był to pałac, pyszniący się sześciu kolumnami wyniosłymi na przedzie, okazały i obszerny.

Stary pan usiadł na trzciniowym fotelu na tarasie.

- Usiądźcie na schodach, pogadamy - rzekł łagodnie. - Po co ty stroisz takie miny? - zwrócił się nagle z zapytaniem do Zenobiego. Miny Zenobiego, połączone z lekkim zgrzytaniem zębów i takimi spojrzeniami, że każde z nich groziło śmiercią, skierowane były w stronę jednego z okien. Spoza szyby widać było owego krzykliwego Zygmunta, który pokazywaniem języka starał się ubliżyć ich honorowi. Stary pan, uśmiechnąwszy się niewidocznie, powiedział:

- Teraz gadaj jeden z drugim, byle krótko, prędko i bez łgarstwa. W tej chwili stało się coś dziwnego. Drzwi domu rozwarły się gwałtownie i zanim można było ujrzeć gwałtowną osobę, usłyszeli wszyscy gwałtowne pytanie:

- Który z was zjadł moje śniadanie?

- Apasz! - wrzasnęli wszyscy trzej jak na komendę. Apasz skulił się i pochylił łeb, jakby chciał rzec: "Moja wina!"

- Tak myślałam - zaśmiała się panienska, która ich wiozła w samochodzie. - Jak się macie, chłopcy!

Ku niezmiernemu zdumieniu rodzzonego swego dziadka podała każdemu z nich rękę, oni zaś, serdecznie zdumieni, uśmiechali się do niej jak do najmilszego sennego widziadła.

- Co to znaczy? - zawołał dziadek. - Czy ty ich znasz?

- Oczywiście! - zaśmiała się panienska. - Jest to najsłynniejsza trupa teatralna, poza tym... nie pamiętasz, dziadku, że ci te gęby pokazywałam oczernione w gazecie?

- To są oni? - zdumiał się stary pan.

- Oni, tylko cokolwiek odmienieni. Za mojej pamięci pan Zdzisław miał jeszcze buty, a pan Zenobi nie miał na twarzy takich odznaczeń... Co się panu stało?

- To Zygmunt... - wtrącił szybko dziadek. - Ale ten młodzieniec sprzął go na kwaśne jabłko.

- Doskonale! - zgodziła się panienska. - Dawno mu się to należało... To mój brat. Rodzice nad morzem, a dziadek i ja nie możemy sobie z nim dać rady. Gdzie on jest?

- Za oknem, pokazuje nam język - oznajmił Zenobi.

- Oświadczam, że to zostanie zanotowane.

Bardzo się zdumiał stary, z przepocziwym obliczem lokaj, kiedy mu dano w opiekę trzech całkowicie zrujnowanych młodzieńców i posępne widmo ogromnego kundla. Wytrzeszczył oczy, jak dwa księżycy

w pełni, i nie wiedział, czy śmiać się, czy płakać.

Zdzisław zbliżył się do niego z wyciągniętą ręką.

- Witam pana - rzekł uprzejmie.

- Ja jestem służącym - odrzekł tamten z niesłychanym zdumieniem, chowając swoją rękę.

- No to co? - spytał Zdzisław i serdecznie potrząsnął jego prawicą.

- Mój ojciec jest uczciwym szewcem - oznajmił Zbyszek czyniąc to samo.

- Mój jest konduktorem, ale tylko na osobowym - zakończył prezentację Zenobi.

- Bardzo, bardzo mi przyjemnie... - bąknął stary służący.

- Dobre chłopaki... To rozumiem... Ależ wy wyglądacie, niebożęta! Kiedy jedliście po raz ostatni?

- Podczas ostatniej pełni - odrzekł Zenobi melancholijnie. Ponieważ staruszek nie mógł szybko obliczyć, kiedy zaszło osobliwe to astronomiczne zdarzenie, uśmiechnął się tylko boleśnie i zawiódł ich czym prędzej do gościnnych pokojów.

Jak w zaklętym kraju stół nakrył się jakby sam i zjawiły się wspaniałe buty dla Zdzisława. Apasz został zawezwany do psich salonów, gdzie go przywitano podejrzliwymi spojrzeniami jak barbarzyńcę. Barbarzyńca jednak, rozgromiwszy zniewieściałe i we własnym tłuszczu pływające psie zgromadzenie, rozkazał, aby mu oddano hołdy.

Po kilku godzinach Zdzisław, jako mówca jeneralny, składał sprawozdanie z całego miesiąca włóczęgi, nędz, utrapień i radości. O tych nędzach i utrapieniach mówił jednak wesoło i wciąż sobie "coś przypominał". Stary pan słuchał z błyskiem w mądrych oczach, a panienska wypełniała konieczne pauzy wykrzyknikami. Usłyszawszy o przygodzie z fałszywą monetą na pocztce, zawołała:

- Jutro powiem o wszystkim tej panience!

Złośliwy Zygmunt słuchał też, ale z uśmiechem pełnym politowania. Wydął pogardliwie wargi i znaczącym spojrzeniem oglądał swoje buty na nogach Zdzisława.

- Zygmucie! - zawołał nagle dziadek. - Słyszałeś?

- Słyszałem - odrzekł chłopiec niechętnie.

- Bądź łaskaw podać rękę każdemu z nich. Pobiliście się, ale musicie o tym zapomnieć.

Chłopiec spojrział chmurnie, ociągając się.

- Zygmucie! - rzekł dziadek dobitnie.

Chłopiec podszedł niechętnie najpierw do Zdzisława i odwrócony tyłem do dziadka wyciągnął rękę a jednocześnie język.

- Spiorę cię przy najbliższej sposobności - szepnął Zdzisław.

- A ja z ciebie zrobię marmoladę - szepnął Zygmunt schowawszy język. - Będziesz pochowany w parku - zapowiedział następnie Zenobiemu.

- Rzucę twój trup Apaszowi - z niewzruszoną powagą odrzekł Zenobi.

- Co wy tam gadacie? - zaniepokoiła się panienska.

- Nic, proszę pani... My się tak czule witamy - powiedział głucho Zenobi. Wskutek tej interpelacji powitanie ze Zbyszkciem odbyło się bez śmiertelnych gróźb. Złośliwy Zygmunt, ściskając jego rękę, boleśnie go uszczyptał. Wtedy Zbyszek spojrzał dziwnym spojrzeniem w jego oczy. Tamten zarumienił się. Gdy w ciszy swego pokoju, patrząc dwoma oknami na park, sennie rozgwarzony wśród cichej nocy, omawiali niespodziane zdarzenia dnia, Zdzisław rzekł krótko:

- Ten Zygmunt jest to przystojny mandryl.

- Rozumiem słowo "przystojny" - mówił Zenobi. - A co to jest "mandryl"?

- Małpa, po prostu. Małpa w butach, bo ja mam na nogach jego buty, ale mnie pieką. Dziadek jest rozkoszny i sprawiedliwy, a panienska powinna mieć skrzydła.

- Jakie to szczęście, żeśmy ją spotkali i że wytłumaczyliśmy, kto zjadł jej śniadanie. Ale, ale! Czy widzieliście Apasza? Leży jak basza, a tuzin rozmaitych piesków siedzi dokoła niego jak jego dwór. Tak się obżarł, że nie może już tknąć jedzenia.

- Ten pies zrobi wielką karierę! Radźmy jednak, chłopcy kochani, co mamy teraz począć! Ja myślę, że poprosimy o krótką gościnę i o pożyczkę na opłacenie pośpiesznych listów, i do Warszawy, i do doktora. Za dwa, trzy dni może już będziemy w drodze.

- Sądźisz, że za dwa, trzy dni? - zapytał zamyślony Zenobi.

- Myślę, że się w tym czasie uda...

- Co ci się ma udać w tym czasie?

- Muszę sprać na amen tego Zygmunta - rzekł głucho Zenobi.

- Najpierw ty, a potem ja - mówił Zdzisław. - Z tobą walczył niehonorowo i podrapał cię jak kot, a mnie pokazał język.

- Jak małpa! - wtrącił Zenobi z pogardą.

- Dajcie pokój, dajcie pokój - prosił Zbyszek. - Przecie nas tak cudownie przyjęli!

- Toteż nie będziemy walczyli z tymi, którzy nas serdecznie przyjęli, tylko z tym, który nas przyjął po tatarsku.

- I pomyślcie sobie - krzyknął Zenobi - że ten pajac jest też Zet!

- Prawda, Zygmunt...

- Czy to nie wstyd, czy to nie hańba?

- W każdej rodzinie może się zdarzyć taka ludzka katastrofa - zauważył ponuro Zenobi. - On zatruwa życie dziadkowi i siostrze, a rodzice zapewne dlatego wyjechali, aby go nie widzieć przez czas dłuższy. Zbyszek, już idziesz spać?

- Niech idzie - wtrącił Zdzisław. - Niech używa, póki można. Zbyszek z niewypowiedzianą rozkoszą gruchnął na łóżko, lecz w tej samej chwili wyskoczył z niego i usiłował, korzystając z okazji, wyskoczyć też ze skóry.

- Co ci się stało? - zapytali z przerażeniem.

- Nie wiem... Coś mnie okropnie... O, o, to jeź! Jeź, w groźny i kolczasty kłębek zwinięty, leżał w samym środku łóżka pod prześcieradłem.

- Aha... Pan Zygmunt... -mruknął Zenobi. - Poczekaj no, kreaturo! Ostrzyżemy cię na jeż. Zobacz, Zdzisławie, co jest w naszych łóżkach.

- W twoim jest miednica z wodą, a w moim pokrzywy. Wszystko w porządku. Kiedy on to zrobił?

- Gdyśmy poszli do parku po wieczerzy.

- Czy nie wiesz, gdzie jego pokój?

- Trzecie drzwi stąd, na lewo. Wszystko jedno... Dopadniemy go, gdzie się da. Ale jutro, chłopcy, ani pary z ust! Nic o jeżu i o innych zasadzkach. Zbyszek, bardzo cię boli?

- Ej, nie bardzo - odrzekł Zbyszek i począł trzeć to miejsce, o którego położeniu mówi jeden wielki pisarz, że jest tam - "gdzie plecy nazwę swą szlachetną tracą".

Noc dyszała znojnym upałem, a oni dyszeli zemstą, wskutek czego noc jeszcze bardziej stała się parna.

Gdy rano jedli śniadanie na tarasie, rozmawiając pocziwie ze starym lokajem, nagle Zbyszek szepnął:

- Uwaga! Zbliża się...

Wróg stanął na palcach, tajemnie w czarnym radując się osierdziu. Oni zaczęli rozmawiać hałaśliwie i rzucać ku sobie rozgłosne śmiechy jak tenisowe piłki. Zygmunt stropił się i spoglądał podejrzliwie. Nie chciał z nimi zacząć rozmowy, ale nie wytrzymał.

- Jak się warn spało? - zapytał ze złośliwym uśmiechem.

- Ma być niewidzialny! - rozkazał Zdzisław.

- Jak się warn spało? - powtórzył Zygmunt podniesionym tonem. Oni nie zwracali na niego najmniejszej uwagi i rozmawiali dalej.

W pewnej chwili Zenobi, wskazując palcem Zygmunta, jak gdyby tam było powietrze, mówił:

- O, tam jest staw... Przed obiadem trzeba się będzie wykąpać.

- Zwracam uwagę, że ja tu jestem! - wołał podrażniony Zygmunt.

- Coś warn opowiem - zaśmiał się Zdzisław. - Coś o tym Zyguncie... Zdaje się, że ten ananas tak się nazywa...

- Lepiej nie mówić o nieobecnych - przerwał mu Zenobi.

- Dobrze, powiem warn to przy nim.

- Ja tu jestem! - wrzasnął Zygmunt.

- Co to tak krzyczy? - zapytał Zbyszek.

- Nikt nie krzyczy. To jakieś cielę beczy na łące przed parkiem. - Ładny dzień, cielęta się weselą - śmiał się Zdzisław.

- Wy... wy... żebraki! - krzyknął Zygmunt.

Zenobi drgnął i chciał się porwać z krzesła, ale Zdzisław położył rękę na jego rękę.

Podnieśli się spokojnie i śmiejąc się poszli do parku. Zygmunt stał ogłupiały i patrzył za nimi błędnym wzrokiem. Potem pogroził im ręką. - Poczekajcie! - mruknął.

Przez cały dzień wałęsał się chmurny i zamyślony. Opryskliwie odpowiadał siostrze i niechętnie dziadkowi. Stary pan był serdecznie zadowolony z pobytu chłopców.

- To są wyborne smyki - mówił do panienki. - Dzielni chłopcy. Mógłbyś się z nimi zaprzyjaźnić, Zygmuncie, a wiele byś się od nich nauczył.

- Chyba kraść - burknął Zygmunt.

- Chłopcze! - krzyknął dziadek. - Jesteś nie tylko nieznośny. Jesteś zły! Wstydz się, niemądry smarkaczu. Cieszyłbym się na stare lata, gdybyś był chociaż odrobinę do nich podobny. A teraz oświadczam ci, że jeszcze jedno o nich złe słowo, a dostaniesz takie cięgi, że będziesz długo pamiętał. Zrozumiałeś? Precz mi z oczu!

Zygmunt wyszedł, pochmurny.

Spotkali się wszyscy przy obiedzie; trzech przyjaciele weseli i szczęśliwi, starszy pan zamyślony i panienka czymś zasmucona. Lokaj podał półmisek najpierw dziadkowi, potem panience, wreszcie pochylił się nad Zdzisławem.

- Mnie podawać najpierw! - krzyknął Zygmunt.

- Milcz! - zawołał dziadek. - Zjesz obiad w swoim pokoju.

- Zygmunciu - szepnęła panienka z drżeniem w głosie. Nastąpiła chwila przykrego milczenia. Chłopcy ucichli i patrzyli z lękiem na starego pana.

- Przepraszam was - mówił dziadek. - Nieznośny chłopak... Nie jest zły, tylko nieznośny.

- Pójdę do niego - rzekła panienka. - Wróci i przeprosi was. Dziadku, czy mogę?

- Idź - odpowiedział ze smutkiem w głosie starszy pan. Oni jedli w milczeniu, oczekując jej powrotu. Nagle wewnątrz domu rozległ się krzyk, a po chwili panienka wbiegła ze łzami w oczach.

- Rzucił we mnie przyciskiem - mówiła przerażona.

Historia zanotowała, że w owym dniu młodzian imieniem Zygmunt przez czas dłuższy nie mógł zająć pozycji siedzącej.

Po smętnym obiedzie chłopcy poszli do gabinetu starszego pana, a Zenobi wygłosił wzruszającą mowę. Słowami rzewnymi jak śpiew słowika dziękował mu za gościnę. Oświadczył następnie, że ponieważ Zygmunt z niewiadomych powodów nie może znieść ich obecności, proszą serdecznie o dwa dni gościnny i o nieznaczny kredyt na listy i depesze. Starszy pan słuchał uważnie i zapytał:

- Jak długo jeszcze macie wakacje?

- Trzy tygodnie.

- Otóż zostaniecie tu przez trzy tygodnie. Do widzenia! Ani słowa więcej. Chłopcy wyszli na palcach.

- To jest straszne - szepnął Zenobi. - Wnieśliśmy niepokój do tego domu. Co robić?

- Dzisiaj rozmówimy się z Zygmuntem - oświadczył twardo Zdzisław. W zakątku parku złożyli wojenną naradę i toczyli ją bardzo długo. Po południu Zbyszek zbliżył się do Zygmunta, który dziwnie się kręcił siedząc na fotelu, jak gdyby ta prosta czynność sprawiała mu niewymowne cierpienie, i bez słowa podał mu kartkę.

- Zjedz ją i udław się! - rzekł Zygmunt.

Zbyszek, w milczeniu, niezmiernie poważnym ruchem położył kartkę na stole i odszedł uroczystym krokiem.

Zygmunt patrzył za nim w niespokojnym zdumieniu, potem wbił wzrok w ten tajemniczy kawałek papieru. Piekała go ciekawość i zmogła go po chwili. Porwał ją i czytał łapczywie:

"Do Zygmunta!!! Jeżeli nie jesteś tchórzem, bądź dzisiaj przed zachodem słońca w brzozowej altance. Z.Z.Z."

- Bohaterowie! - zaśmiał się, wydawszy pogardliwie usta.

- Trzech na jednego!

Nie wierzył jednakże sam tej zniewadze. Wiedział, że mu nie uczynią żadnej krzywdy i że jeśli będą walczyli, to honorowo. Nie mógł ich tylko znieść. Oczarowali dziadka, oczarowali siostrę, a ten stary Walenty, gdy o nich mówi, podnosi oczy do nieba. W gazetce o nich pisali! Najbardziej nie znosi tego cichego Zbyszka, co to niby wyratował jakieś tam dziecko... Niczego złego ten chuchrak mu nie uczynił, ale się pewnie dmie w duszy. Oberwaniec jeden! Wielkie bohaterstwo, że o głodzie wędrowali przez całą Polskę... On by to samo potrafił, gdyby mu się tak spodobało, ale jeszcze ma rozum w porządku. A nic go bardziej nie drażni, jak ta ich wesołość. Z grobu wyleźli, a śmieją się. Słowa jednego nie powiedzieli o tym, co im urządził w łózkach zaraz pierwszego wieczora. Obłudnicy! Teraz coś zamyślają i posyłają mu wezwanie. Poczekajcie, powsinogi, obdarte włóczęgi. Zobaczmy, kto się boi!

Czekał na nich w altanie na długo przed zachodem słońca. Udawał spokój, lecz zadrżał, gdy usłyszał ich kroki. Chłopcy szli w milczeniu, jakimś uroczystym i bardzo poważnym. Ujrawszy go, okazali zdziwienie, co mu sprawiło uciechę. "Aha! Myśleli, że się nastraszę, głupie łapserdaki" - pomyślał. Oni skłonili się jemu, on machinalnie skłonił się im.

- Czy to zasadzka? - zapytał mrużąc oczy.

- Jeśli jesteś zdolny pomyśleć coś podobnego, odejdz - rzeki Zenobi.

- Nie chce mi się. Zostanę.

- Jak ci się podoba...

- No i co? - zapytał zaczepnie. - Czego chcecie?

- Chcemy, abyś przeprosił... - zaczął Zdzisław.

Zygmunt roześmiał się obelżywie.

- Kogo? Was? Zjawiliście się tu z gościńca, obdarte głodomory i włóczęgi, i ja was mam przepraszać?

Oni zacięli wargi. Zenobi po chwili odezwał się, jakby z trudem:

- Nie chcemy, abyś przepraszał nas. Jesteśmy wyżsi ponad twoje pomysły z jeżem i z miednicą, bo były one godne sztubaka. Nie nas będziesz przepraszał.

- A kogóż to, jeśli łaska? - zapytał urągliwie.

- Siostrę! - oznajmił z powagą Zenobi.

- To moja siostra - mówił Zygmunt zduszonym głosem.

- Co ona was obchodzi?

- Bardzo nas obchodzi. Jest to zacna i dobra panienka, która nam wyświadczyła wiele dobrego...

- Każdy dziad pod kościołem może powiedzieć to samo.

- Spokojnie, spokojnie, Zdzisławie - mówił szybko Zenobi, ujrawszy gwałtowny ruch przyjaciela. - Ten pan nie może nas dotknąć... Najpierw skończymy tamtą sprawę. Otóż powtarzam ci, musisz przeprosić siostrę, bo twoja siostra jest kobietą. Kto obraża kobietę, jest marnym człowiekiem, a ty chciałeś ją uderzyć.



- Wcale nie chciałem, tylko uderzyłem - chełpił się Zygmunt.
  - Tym gorzej. Przepraszaj ją uroczyście, przy nas.
  - Moje uszanowanie, tylko tyle? A jeżeli tego nie zrobię?
  - Zrobisz!
  - Głupi jesteś. Nie przepraszę! Jakim prawem mieszacie się do cudzych spraw? Ładne rzeczy, żeby byle włóczęga...
  - Zygmuncie! - krzyknął Zenobi takim głosem, że tamten przerwał w połowie.
  - Czego krzyczysz? - zapytał Zygmunt ciszej. - Czy chcesz przywołać tutaj krzykiem dziadka? Czy to jest ukartowane?
  - Nie chcę przywołać dziadka, my się załatwimy z tobą sami. Po raz ostatni pytam się ciebie: czy przepraszasz swoją siostrę za zniewagę?
  - Nie przepraszę mojej siostry za zniewagę. No i co teraz?
  - Teraz odbędzie się sąd! - rzekł Zdzisław występując naprzód. Zygmunt okazał niepokój. Zbyszek przypomniał sobie, jak zmusili owego atletę w szkole, aby go przeprosił.
  - Przyjaciele! - mówił Zdzisław. - Ten człowiek z niewiadomych powodów nienawidzi nas.
  - Słusznie powiedziane - śmiał się niepewnie Zygmunt patrząc na nich bacznie.
  - Na co zasłużył za nienawiść do tych, którzy mu niczego złego nie uczynili? Zenobi i Zbyszek zamysłili się na chwilę, a potem odpowiedzieli równocześnie:
  - Przebaczymy mu!
  - Dziękuję za łaskę - rzekł Zygmunt.
- Widać było, że pობladł. Niepokoiła go ich powaga i napełniał gniewem ich uroczysty spokój.
- Dobrze odpowiedzieliście... I ja mu przebaczam... Przebaczymy mu zapewne i niemądre psoty, i to, że nas nazwał żebrakami.
  - Przebaczymy. On nie wiedział, co mówi - oświadczył Zenobi w imieniu całego zespołu sędziów.
  - Na co jednak zasłużył człowiek - zapytywał Zdzisław podniesionym głosem - który godzi w kobietę i w ten sposób śmiertelnie ją znieważa?
  - Na śmierć! - krzyknął Zenobi.
  - Och, to za wiele - szepnął przerażony Zbyszek.
  - Słyszałeś, Zygmuncie? - spytał Zdzisław. - Ja też jestem tego zdania.
  - Ale ta glista protestuje - zaśmiał się Zygmunt, aby pokryć nagłe zmieszanie.
  - I to ci przebaczam - rzekł Zbyszek gorączkowo. I to ci przebaczam, Zygmunsiu, zastanów się!
  - Czego wy ode mnie chcecie? - krzyknął Zygmunt niespodzianie i w podrażnieniu.
  - Abyś strzegł swego honoru.

- To moja sprawa!

- Słyszałeś wyrok? Nie zabijemy cię, oczywiście, możesz się nie obawiać. Zasadziliśmy cię na śmierć tak zwaną "cywilną". Nikt z nas nie poda ci ręki. Nikt z nas nie odezwie się do ciebie. Nikt z nas nie stanie w twojej obronie. Jesteś dla nas niczym. Słyszysz, niczym!

- Niczym! - potwierdził Zenobi ze straszliwą mocą. Zygmunt patrzył na nich, zmrużywszy oczy. Usiłował się uśmiechnąć, ale nie mógł. Coś go zabolalo. Zabolalo go głęboko ukrywane poczucie, że jest w tej chwili bardzo mały i mizerny. Te wstrętne oberwańce gadają z takim spokojem i godnością, że go tym najwięcej poniżają. Wie o tym, że postąpił brzydko, wie o tym dokładnie. Oni jednak nigdy o tym się nie dowiedzą! Bez ich żądania byłby siostrę przeprosił, ale teraz tego za nic nie uczyni. Związek trzech Z. tego żąda! Okazują mu łaskawie swoją rycerskość i wzniosłość, szczególnie ten Zdzisław, który chodzi w jego butach. Aha! Zaraz coś usłyszą.

- Wypowiadacie mi wojnę?

- Nie! Nie istniejesz dla nas.

- Doskonale! W takim razie jeszcze słowo...

- Mów. Po raz ostatni.

- W takim razie - krzyknął szybko - oddaj mi moje buty, ty oberwańcze! Zdawało się, że coś załomotało w ciszy przedwieczornej. Zygmunt przeraził się swoich słów. Ogarnął go nagły strach, że uczynił coś okropnego. Serce w nim drgnęło.

- Zresztą możesz nie oddawać - rzekł szybko.

W tej chwili Zdzisław, pobladły, zerwał z nóg owe nieszczęsne buty i cisnął w jego stronę. Chciał mu je cisnąć pod stopy, lecz w rozdrażnieniu rzucił jednym tak nieszczęśliwie, że ugodził w piersi Zygmunta.

- Och, ty... - wrzasnął Zygmunt i nieprzytomnie chwycił za żelazne grabie, oparte o ścianę altany.

Uderzył w głowę Zdzisława.

- Matko Boska! - jęknął Zenobi. - Krew!

Zdzisław zachwiał się i oparł ręką o Zbyszka, aby nie upaść. Zygmunt stał, jakby okrutnie zdumiony i jakby nie rozumiejąc, co się stało. Wtem Zbyszek uderzył w krzyk:

- Na pomoc! Na pomoc!

- Cicho, na Boga! - usiłował uspokoić go Zenobi.

- Na pomoc! Na pomoc! - wołał Zbyszek.

Zygmunt miał rozpacz w oczach.

- Co się tu stało? - pytał zduszonym głosem stary pan. Za nim biegła siostra Zygmunta.

- Co się stało? Dziadziu! ... Krew!

Stary pan ogarnął wzrokiem pobojuwisko i chwycił się za serce. W oczach miał przeraźliwą boleść.

- Zygmuncie, to ty?

- Nie, nie! - zaczął gorączkowo Zdzisław, zrozumiał, że prawda będzie dla starego człowieka katastrofą. - To nie on... To ja sam... Biegłem tu do nich... Potknąłem się... Leżały grabie... To ja sam, proszę pana, to ja sam! Zygmuncie, powiedz przecie... Przecie widziałeś!

Wszystkie oczy spojrzały na Zygmunta.

Chłopiec stał nieruchomo, blady jak widmo. Coś strasznego się z nim działo. Jakiś gwałtowny spazm chwycił go za gardło, bo długo łowił powietrze, zanim powiedział słowo. Znalazł je wreszcie, wydobył i oblał rześnistym łzami.

- Zdzisławie! - wołał wśród łez. - Zdzisławie!

Wyciągnął ku niemu ręce, jakby błagając o litość. Zdzisław uśmiechnął się promiennym uśmiechem i otworzył ramiona.

Objęli się jak bracia najtkliwsi. Zygmunt oznajmił głośno:

- To ja go uderzyłem... To ja!

- Za to mi przynieś...

- Co? Co?

- Buty... tam leżą...

A cichutko dodał:

- Podtrzymaj mnie, Zygmusiu, bo mi jakoś słabo...

## XVII. Skąd Litwini wracają?

Cały orszak podążył do domu, Zdzisław też szedł na własnych nogach, bo go tylko zamroczyło. Ciężej ranny był Zygmunt bo - w samo serce. I "kat", i "ofiara" byli równie bladzi, a w tej chwili podpierali się nawzajem, wedle tej starej recepty, według której "wiódł ślepy kulawego". Stary pan chciał od razu uczynić nowy sąd nad Zygmuntem, ale Zdzisław do tego nie dopuścił; począł tłumaczyć szybko i w podnieceniu, że to ich sprawa, że wojna została zakończona, a wieczny pokój podpisany uściskiem; tak długo przeto błagał, aż wybłagał. Zygmunt oczekiwał z rezygnacją zgoła wzniosłą. Chwycił rękę Zdzisława i tkwił przy nim jak cień. Zbyszek i Zenobi, niezmiernie poruszeni najpierw awanturą, a potem zdobyciem nowego wiernego serca, stali poza nimi jak przyboczna straż, gotowa do czynów szaleńczych.

Stary pan był mądrym człowiekiem. Widząc, że Zdzisławowi nie stało się nic złego, uspokoił się powoli, a potem wzruszył szlachetnością Zdzisława i nagłą zmianą Zygmunтового serca. Swawolny, nieposkromiony chłopak dał się rozbroić: szlachetność go zwyciężyła. Należy przeto odłożyć całą sprawę na później albo zostawić tym czterem pędrakom całkowitą swobodę w zakończeniu tej serdecznej historii.

Lepiej będzie nie pytać: co i jak? Najpierw trzeba opatrzyć Zdzisława. Zajęła się tym już panienska i przybiegła z jodyną. Wszyscy otoczyli Zdzisława, tworząc bardzo tłumne lekarskie zgromadzenie, wśród którego minę wielkiego profesora miał stary Walenty.

- Proszę panienski - rzekł głosem doświadczonego. - Po co jemu zalewać głowę takim, co piecze. Na te rzeczy jest jedno lekarstwo: złapać nietoperza, wysuszyć, potłuc, zmieszać z oliwą i przyłożyć, a za trzy dni śladu nie będzie.

- Niech więc Walenty idzie łapać nietoperza!

- A ja... - odezwał się nieśmiało Zbyszek - myślę, że należy zagnieść pajęczyny z chlebem. U Sienkiewicza zawsze tak leczono rany. Panienska obmyła jednak niewielkie skaleczenie i pomazała je jodyną, co Zdzisławowi "przypomniało", że należy trzymać się bohatersko.

- Bardzo cię boli? - szepnął Zygmunt.

- Jak gdyby mnie komar ugryzł - rzekł wesoło Zdzisław. - Myśleliście, że będę wrzeszczał? To mi

przypomina, jak podczas wojny lekko raniony żołnierz zaczął drzeć się wniebogłosy. A na to powiada mu drugi: "Czego wrzeszczysz? Panu kapralowi głowę oberwało i słowa nie mówi, a ty się drzesz!"

- Wszystko w porządku, proszę pana - rzekł z wielką powagą Zenobi. - Nic mu nie jest, bo zaczyna bredzić.

W tej chwili oznajmił Walenty:

- Pan doktor przyjechał.

- Kto wzywał doktora? - zdumiał się stary pan.

- To jakiś nieznajomy, co sam się zgłosił. Autem przyjechał. Bardzo krzyczy i już jest!

- Pan doktor! - krzyknęli chłopcy radośnie.

Ich przyjaciel, zacny lekarz, spojrział, zerwał z nosa szkła i szybko je oczyścił.

- Bardzo chcemy - rzekł nieśmiało Zdzisław.

- Więc po co ciągnęliście mnie tutaj, do stu par diabłów i jeszcze jednego bez pary?

W wielkim gniewie począł czyścić szkła.

- Panie doktorze kochany! - mówił serdecznie dziadek. - Niech nie tylko oni zostaną, ale i pan. Pan jest zacnym człowiekiem. Oni opowiadali mi o panu cudowne rzeczy...

- Łgali, jak zawsze - burknął doktor.

- Niech pan zostanie z nami. Dom wielki, park piękny, w stawie ryby...

- Ryby, powiada pan? Można łowić?

- Czemuż by nie?

- To straszne, co pan mówi. Ja pasjami lubię łowić ryby. Na Boga, nie kuście...

Panienka zbliżyła się do doktora i uśmiechnęła się jak poranne słońce.

- Niech pan zostanie - prosiła serdecznie.

- Nie proście - ryknął nagle doktor - bo stanie się coś straszego!

- Co straszego? - zapytała ze zdumieniem.

- Że zostanę - dokończył doktor z głębokim jękiem.

- Hurra! - wrzasnęli chłopcy.

- Słyszysz pan, jak te małpoludy krzyczą? - pytał podniecony doktor. - I pan to może wytrzymać? I ta krucha panienska? Drogi panie! Znużony jestem i chciałem wypocząć. Prawdę powiedziawszy, byłbym zabrał tych smyków i bylibyśmy pojechali razem w jakieś górskie strony... Dobrze, zostanę... Niech się pan jednak jeszcze namyśli! Trzech żarłoków już pan ma, a ja będę czwarty... Pani nie ma pojęcia, co ja potrafię zjeść! I wypić - dodał szeptem, pochyliwszy się ku gospodarzowi. - Ale, ale... Przecież tu musi być z nimi ich łajdacki pies! Ile kur zginęło śmiercią męczeńską, proszę pani?

- Ani jedna!

- Podano do stołu - śmiertelnym głosem oznajmił Walenty. Nigdy chyba jeszcze nie było tak wesoło w

tym dość mrocznym domu. W doktorze zakochali się wszyscy, a on promieniał. Przeraził się na chwilę tylko, gdy gwałtownie czyszczone binokle wpadły do talerza z zupą, co można było tym tłumaczyć, że je do tego czynu skłoniła prerażliwie przesadna czystość, więc jakiejś wreszcie zapragnęły odmiany.

Nazajutrz doktor tkwił od samego rana na brzegu stawu i łowił ryby. Było to przedsięwzięcie zgoła niegroźne, zapomniał bowiem z wielkiej radości założyć robaka na haczyk, najgłupsza zaś ryba nie dała się skusić na połykanie samego żelaza.

Chłopcy przepadali na długie godziny; już ich było czterech. Zygmunt, oczarowany, słuchał opowieści Zdzisława o ich wiernej przyjaźni; o troskach i kłopotach; o podróży i o głodach; śmiał się, gdy oni się śmieli, tarzał się po trawie, gdy Zdzisław coś sobie "przypomniał". Stał się ich przyjacielem najczulszym i najserdeczniejszym. Dziadek, nie pokazując tego po sobie, promieniał. Jednego wieczora wysłuchał z powagą relacji Zygmunta.

- Dziadziu - mówił Zygmunt z wypiekami na twarzy.

- Trzeba prędko coś zrobić, ale tak, aby oni nie spostrzegli. Czy dziadziu wie, że oni dzisiaj prali koszule? Oni mają po jednej koszuli, bo zapasowe sprzedali z głodu.

- Będzie załatwione! - rzekł dziadek poruszony. - A cóż teraz o nich myślisz, Zygmusiu?

- Myśleć? Ja o nich nie myślę, ja ich kocham! - odrzekł chłopiec gorąco.

- Czemu nie zacząłeś od tego?

- Bo byłem głupi - przyznał Zygmunt porywczo.

Dziadek tajemnie naradził się z doktorem, który ze szczęścia był bliski obłędu, gdyż złowił karasia.

Był to nieszczęsny karaś, bo go podłe raki obgryzły, ale zawsze karaś: miał głowę i kawałek ogona. Nazajutrz wpadł doktor do pokoju chłopców i wołał od progu:

- Słuchajcie, wyjcie afrykańskie, ja na śmierć zapomniałem... Zdzisławku! Twoja matka przysłała pod moim adresem bieliznę dla was. Zostawiłem w aucie i zapomniałem...

- O drogie moje matczyisko! - ucieszył się Zdzisław. Po wyjściu doktora uderzył się w głowę.

- Oj! A skąd moja matka знаła adres doktora? Czy myśmy pisali o tym?

- O doktorze pisaliśmy, ale nie podaliśmy adresu - mówił zamyślony Zenobi. - To nie matka, Zdzisławie, to oni...

- Więc co zrobić?

- Nic nie robić. Zasmucimy ich tylko, nie przyjąwszy tego, co dają z całego serca. Trzeba zanotować, zapisać, a kiedyś oddamy. Jeśli nie im, to innym...

- To mi przypomina - rzekł Zdzisław bez uśmiechu - że na świecie są dobrzy ludzie. Będę w to wierzył zawsze.

- Są i źli...

- Zapewne. Ale ci źli to więcej chyba nieszczęśliwi. Co my zresztą możemy o tym wiedzieć? Ja wiem tylko, że na naszej krótkiej drodze spotkaliśmy więcej dobrych niż złych. Dlatego wybrałbym się nawet w największą drogę i wierzę, żebym nie zginął. Witaj, Zygmuncie, stary druhu. Gdzie doktor?

- Łowi ryby, dziadek pali cygaro, a siostra poszła z Apaszem do lasu. Apasz nie opuszcza jej ani na krok. Ale wiecie, co mi opowiadał Walenty? Nadzwyczajną historię! Apasz ukradł kucharzowi pięć kotletów. Cztery pożarł sam, a jeden podrzucił innym psom, które zaczęły o niego walkę. Wybiegł kucharz, zobaczył kotlet i wszystkie psy dostały lanie.

- Ale ja spiorę Apasza! - zawołał zaczerwieniony Zbyszek.

- Akuratnie! - zaśmiał się Zenobi. - Ty byś sam ściągnął kotlet dla Apasza. Siadaj, Zygmsiu...

Chłopak gadał z nimi długo, ale jakoś niepewnie. Widać było, że ma coś na sercu, lecz nie śmie powiedzieć. Zdzisław zauważył to od razu.

- Zygmunt! - powiedział. - Coś cię dręczy... Czy między nami mogą być tajemnice? Wal, bracie! Co nam chcesz powiedzieć?

- Ja... ja chciałem... ja mam straszną prośbę...

- Zrobione!

- To nie jest takie łatwe... Ja chciałem prosić, abyście mnie... chociaż nie zasłużyłem... ale wy niedługo opuścicie nas... abyście mnie przyjęli do związku Zetów.

- O radości! - krzyknął Zdzisław. - Panowie! Czy przyjmujemy brata naszego Zygmunta do naszego związku?

Tamci powstali uroczyście i ogłosili:

- Przyjmujemy!

- Och, dziękuję, dziękuję... Co mam robić?

- Nic. Masz być wiernym przyjacielem, uczciwym i honorowym. Masz kochać nas tak, jak my kochamy ciebie. Chociaż oddzieleni, będziemy zawsze razem, Zygmsiu! Twoje serce jest naszym sercem, a nasze serca do ciebie należą.

- Tak... tak... - powtarzał Zygmunt wzruszony.

Tego dnia szepnął siostrze:

- Zostałem przyjęty do ich związku.

- A ja nie mogłabym?

- Ty? Przecież ty jesteś Irena, a to nie związek Zetów. Zresztą i tak prędko pójdziesz za męża, a nam nie potrzeba członków obarczonych rodziną. My jesteśmy wolne duchy! Dzisiaj tu, jutro tam!

Lato wolnych duchów miało się jednakże ku końcowi. Każdy dzień uśmiechał się coraz smutniej. Zbliżała się chwila rozstania. Nikt o niej nie chciał myśleć, a wszyscy myśleli. Trzej starzy spiskowcy uczynili naradę.

- Ty, Zdzisławie - mówił Zenobi - wygłosisz mowę do dziadka.

- Ja? Dlaczego ja? Nie odważę się...

- Zrobisz to śpiewająco.

- Śpiewająco? - rzekł Zdzisław. - Mogę zrobić, byle tylko nie śpiewająco. Wiecie, co mi to przypomina? Oto jeden człowiek jękał się fatalnie, gdy mówił, a nigdy mu się to nie zdarzało, gdy śpiewał. Nagle wybucha w jego domu pożar. On chwyta za słuchawkę telefonu i obawiając się jękania zaczyna śpiewać na nutę "Patrz, Kościuszko, na nas z nieba". I tak śpiewa w telefon: "Tu się pali u mnie w domu, przy Grotgera numer dziewięć, niech pożarna straż przyjedzie, bo już dach się w domu wali!" "Ach, ty obwiesiu! - zakrzyknęli mu z drugiej strony. - To ty sobie żarty stroisz ze straży pożarnej?" No i dom spłonął na amen. Dlatego ja nie będę gadał śpiewająco.

- To się jękać, wszystko jedno.

Dni nieszczęsne nie chcą się nigdy kończyć; trwają zawsze bardzo długo. Dni szczęśliwe mijają szybko. Ich najszcześniejsze dni gnały jakimś zawrotnym pędem. Wreszcie wyrżał z kalendarza ów ostatni. Jasny był i pogodny, a dziwnie zaćmiony. Na cały dom padł jakby mrok. Nawet stary Walenty jak gdyby oczadział. Wszyscy byli niezmiernie poważni. Doktor i chłopcy mieli wyjechać zrozpaczonym wozem doktora o godzinie jedenastej rano. O godzinie dziesiątej, po śniadaniu, gdy wszyscy razem zebrani oczekiwali złej chwili rozstania, nagle Zdzisław podniósł się z krzesła.

I zaczął mówić.

O ludzkiej dobroci, o wiernej przyjaźni. Dziękował pięknymi słowami za wszystko dobre i szczęśliwe, co ich spotkało w tym polskim domu. Zegnał tych, co w nim zostają, ale żegnał pozornie tylko, gdyż oni wyjeżdżają, ale ich serca pozostaną tutaj na zawsze. Serca i wszystkie myśli. A kończąc, mówił prześlicznie:

- "...Niech się w akantach kolumn tego domu białe wciąż gnieźdzą gołębie!"\* To z "Quo vadis" - objaśnił uprzejmie swoim zwyczajem. - A my nie zapomnimy nigdy ciebie, dostojny panie, najlepszej panny Irenki i ciebie, najdroższy Zygmuncie! O, tak! - prawil - przyszliśmy tu ubodzy, a odchodzimy bogaci, bo zdobyliśmy twoje serce na wieki wieków. Żegnajcie!

- Cudownie! - szepnął do Zbyszka Zenobi.

Doktor czyścił namiętnie szkła, dziadek jakoś dziwnie pochylił głowę, panienska ocierała chusteczką łzy, a Zygmunt, wydawszy niezrozumiały okrzyk, rzucił się w ramiona Zdzisława. Najmłodszy Zet nie mógł się oderwać od trzech starych Zetów.

- Od kiedy ma dziurę w głowie, ma tę głowę dziwnie otwartą - usiłował mówić wesoło doktor do dziadka.

Dziadek jednak milczał, patrząc z rozrzewnieniem na wnuka. Poczeli żegnać się gorączkowo. Chłopcy ściskali wzruszonego Walentego, który nie wiedział, co czyni. Każdy zakład dla obłąkanych miałby pociechę z tego dojrzałego pacjenta, który po dziesięć razy wkładał coś do auta i, nie wiadomo po co, znowu wyjmował.

- Apasz! - zawołał Zbyszek.

Apasz, opasy jak dostojny Turek, zbliżył się z uroczystą powagą.

Spojrzał mądrze i - jako żywo! - westchnął. Dość obojętnie pożegnał się z dziadkiem, dość przyjaźnie z Zygmuntem, serdeczny żal natomiast zaczął okazywać, gdy jego łeb objęła panienska. Odbiegł i znowu powrócił. Straszliwym ozorem całował jej ręce i tulił się do niej.

- Apasz, psisko kochane, zostań ze mną! - mówiła ona. On przystanął i zaczął kolejno zamglonym spojrzeniem patrzeć to na nią, to na Zbyszka.

- Patrzcie, patrzcie - szepnął Zbyszek. - On nas chce opuścić!

- Psia dusza! - rzekł Zenobi. - Dobra psia dusza! - poprawił szybko. Apasz patrzył przeciągle na Irenkę i można było w jego spojrzeniu przeczytać wyraźnie:

"Jesteś strasznie dobra. Kocham cię całym moim psim sercem, ale jego kocham więcej. Jego kocham więcej niż cały świat!"

Zawrócił nagle i jednym susem wskoczył do napchanego wozu.

- Apasz!

Pies nawet nie spojrzał. Po co się dręczyć? Już załatwione. Wóz jęczał, płakał, szlochał, łkał, stękał, piszczał, zgrzytał, dzwonił, trąbił, rzeził, buczał, huczał i rwał przed siebie.

Przez jeden dzień odpoczywali w mieszkaniu doktora, potem żegnali się z nim bez uroczystej mowy.

- Bądźcie zdrowe, muły afrykańskie! - mówił doktor i czyścił gwałtownie szkła.

Oni wpili się w niego jak pijawki, całując go i ściskając.

- Czy ja jestem doktorem od wariatów? - krzyczał doktor.

- Wynoście się, Abisyńczyki! Wynoście się.

Przy drzwiach jednak chwycił ich jeszcze jak karasie i ścisnął ich płowe łby.

- A na dworzec nie przyjdę, aby nie robić zbiegowiska - wołał za nimi. - Nie mogę sobie psuć opinii w mieście, że się zadaję z łapserdakami. Apasz jechał w osobnym wagonie, wzruszywszy łopatkami na takie dzikie zwyczaje. Oni zajęli przedział trzeciej klasy i jeden gadał przez drugiego. Nawet Zbyszek.

- O, jakież to wspaniałe wynalazek kolej - mówił Zenobi.

- Jak dobrze jest jechać.

- Istotnie, jest to wspaniałe wynalazek - odrzekł Zdzisław.

- To mi przypomina zabawną historię. Wsiadł raz do pociągu, idącego do Krakowa, jeden taki roztargniony, co miał jechać do Wilna. Gdy pociąg już pędził, pyta on pasażera siedzącego naprzeciwko: "Dokąd pan jedzie?" "Do Krakowa" - mówi tamten. "Co pan mówi? Patrz pan, jakim znakomitym wynalazkiem jest kolej. Pan jedzie do Krakowa, ja do Wilna, a siedzimy w jednym przedziale, tylko naprzeciwko siebie. Jak oni to robią, żeby dwóch mogło jechać zgoła w przeciwną stronę?"

- Kretyn! - ogłosił Zenobi.

- Kto, ja?

- No... nie... tamten, co jechał do Wilna.

- A inny - rozgadywał się Zdzisław - w takim pociągu, co się zatrzymuje raz na dobę, bo to było w Ameryce, leży na ławce i strasznie jęczy. "Co panu jest?"

- pytają. "Mnie już nic nie pomoże!" - płacze tamten. "Może... jednak... niech pan powie!" "Mnie już nic nie pomoże - jęknął podróżny - ja już drugi dzień jadę fałszywym pociągiem!"

- Drugi kretyn! - rzekł Zenobi.

- Teraz przynajmniej powiedziałaś wyraźnie.

Pociąg wybijał rytm swojego nudnego poematu.

- O której będziemy w Warszawie? - zapytał Zbyszek. Zdzisław machinalnie spojrzął na przegub ręki. Nagle krzyknął tak przeraźliwie, że oni zerwali się przerażeni z ławek.

- Co się stało? - zapytał niespokojnie Zenobi.

Zdzisław chwycił się rękami za głowę i jęczał:

- Zabijcie mnie, zabijcie mnie bez litości... Takiego jak ja jeszcze świat nie widział... Mówię wam, zabijcie mnie.

- Dlaczego? Czyś zmysły stracił?

- Nie, nie! Ale przecie ja mam na ręku srebrny zegarek. O, o! Sprzedawaliśmy koszule, sprzedawaliśmy buty, nie mieliśmy co jeść, a ja miałem zegarek. A "czas to pieniądz!" Zapomniałem... Otumanilo mnie... Zenobi, błagam cię, zabij mnie!



- To mi przypomina... - rzekł Zenobi z jadowitym uśmiechem.

- Że jestem bałwan?

- To też. Ale przypomina też inną, nie mniej prawdziwą historię. Zdarzyło się raz jednemu, że zgubił kamizelkę. Szuka, szuka, nie może znaleźć i tak jej szukał równo przez rok. Przed Wielkanocą chciał się wykapać, aż tu patrzy: jest kamizelka! Włożył ją przez roztargnienie pod koszulę... Nareszcie i ja sobie coś przypomniałem, a tobie powiadam... Przerwał nagle i otworzył usta jak szerokie drzwi.

- Bilety, proszę panów! - rzekł konduktor.

- Tatuś! - wrzasnął Zenobi.

Stary konduktor spojrział i wąsy mu drgać poczęły.

- Najpierw bilety, a potem przywitanie... Bo jeżeli nie macie biletów... - zaczął srogo i chciał przez pomyłkę przedziurawić rękę własnego syna.